

Krętowski:
Nagrody, a nie kary

Sulich:
Ekspansja drapieżników

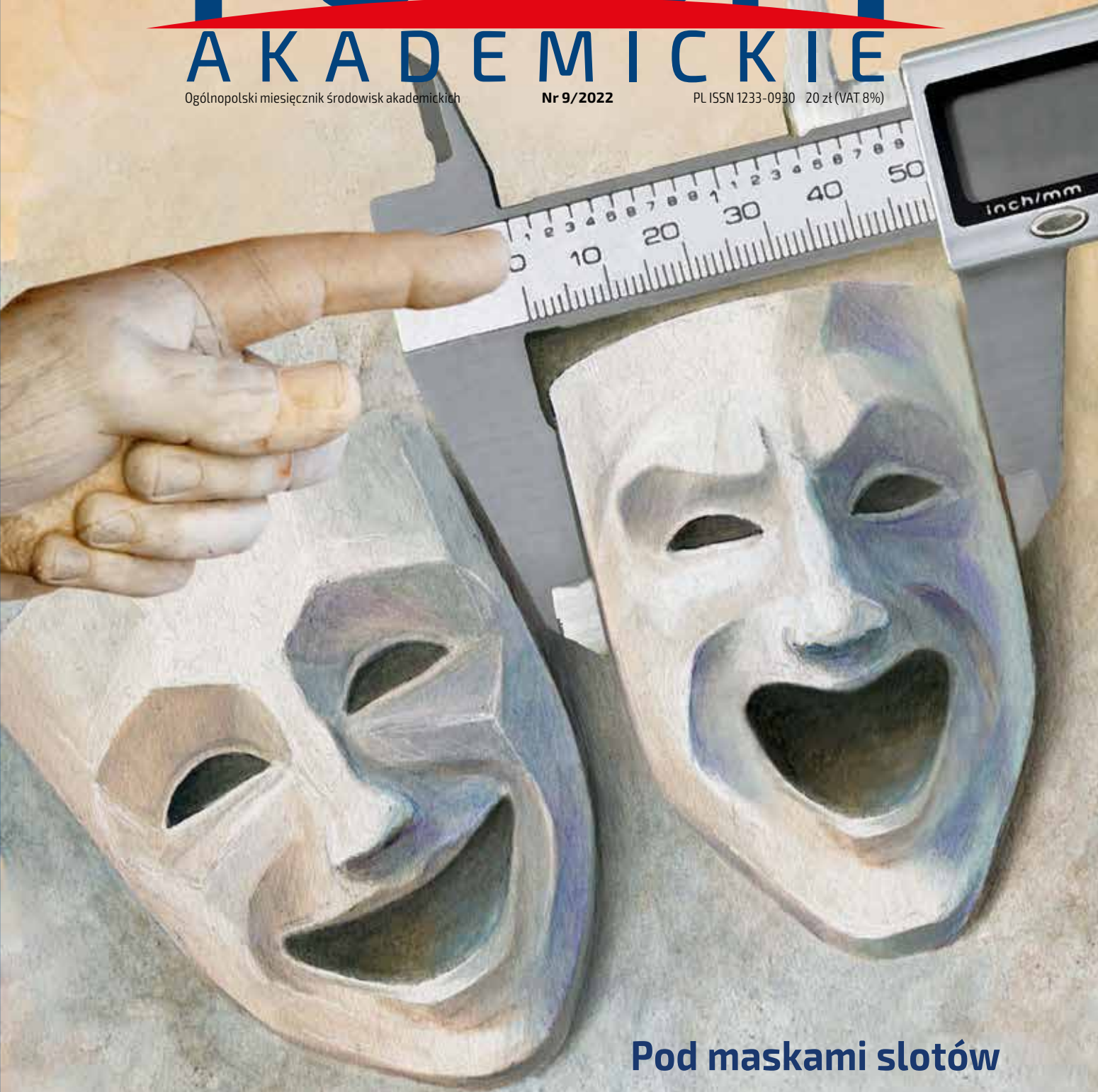
Karwowski:
W pułapce nowych mediów

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 9/2022

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)



Pod maskami slotów

Str. 16-25

Jarecka:
Jak socjolog z programistą

Łukaszewicz:
Włosko-polskie relacje

Knapska:
Strach zaraźliwy

 **Kraków**

HOST CITY

MIĘDZYNARODOWA
KONFERENCJA NAUKOWA
18–20 X 2022

INTERNATIONAL SCIENTIFIC
CONFERENCE

ŚWIAT W OBLICZU NOWYCH WYZWAŃ

THE WORLD FACING NEW CHALLENGES



150 lat Polskiej Akademii Umiejętności
150 Years Of The Polish Academy Of Arts And Sciences

Organizator / Organiser



Złoty Mecenasz Jubileuszu 150-lecia PAU
Golden Patron of the 150th PAU Anniversary



Sponsor



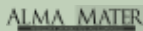
Partner wspierający / Supporting Partner



Współorganizatorzy / Co-organisers



Patroni medialni / Media patrons



Polska Akademia Umiejętności, ul. Sławkowska 17, Kraków
Polish Academy of Arts and Sciences, 17, Sławkowska St., Kraków
T.: +48 12 424 02 00, E: jubileusz@pau.krakow.pl, www.jubileusz.pau.krakow.pl

INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Lekarskie limity – Piotr Kieraciński	6
Subwencja ministra zdrowia 2022	7
Plagiatowy doktorat do poprawy? – Marek Wroński	7
Europejskie „oczko” – Mariusz Karwowski	8
Radiowcy łączą siły	9
Nie od razu w Lidze Mistrzów – Jarosław Polański	10
To nie natura zaszkodziła Odrze	11
Coraz łatwiej o drapieżne recenzje – Adam Sulich	12
Subwencja rośnie, ale nie wystarczy	14
Jaka polityka naukowa?	15

Po ewaluacji

Bez radykalnych zmian – Błażej Skoczeń	16
Brakuje zabezpieczeń – Grzegorz Węgrzyn	19
Nauki farmaceutyczne w ewaluacji 2022 – Andrzej Pilc	20
Czas na poważne dyskusje – Zbigniew Drozdowicz	21

ROZMOWA FORUM

Dieta marchewkowa – Rozmowa z prof. dr. hab. nauk medycznych Adamem Krętowskim, rektorem Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku	23
--	----

ŻYCIE NAUKOWE

Komunikacja w nowych czasach – Mariusz Karwowski	26
Socjolog kultury w internecie – Urszula Jarecka	30
Stu najzdolniejszych młodych naukowców – materiał sponsorowany	33
PWR po raz kolejny przyznana nagrodę im. Stanisława Lema – materiał sponsorowany	37

Z archiwum nieuczciwości naukowej (192)

Jak profesor splotował doktoranta – Marek Wroński	38
--	----

ŻYCIE AKADEMICKIE

Magentowe igrzyska w Łodzi – Krzysztof Sędzicki	42
Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka	44
Amerykańskie doświadczenia – Anna Worosz	45
Programowanie jest ważne – Andrzej P. Urbański	46

O czarnym tabędzie, proctorze i sic! – Aleksandra Łuczak	49
---	----

Publikuj lub giń

Nie wiecie, o co prosicie – Marek Misiak	53
---	----

Z LABORATORIÓW

Z Włoch do Polski w 2 poł. XVIII w. – Justyna Łukaszewicz	56
Mory, zarazy, epidemie – Ewa Krawiecka	60
Ja się boję, ty się boisz – rozmowa z dr hab. Eweliną Knapką, prof. Instytutu Nenckiego, kierownikiem Pracowni Neurobiologii Emocji w Instytucie Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN	63

W STRONĘ HISTORII

Pro publico bono (1)

Autoritet przyniosły mi wyniki studiów – Piotr Hübner	66
--	----

Portrety nauki polskiej

Józef Kostrzewski i prasowanie – Marcelina Smużewska	68
---	----

OKOLICE NAUKI

Uniwersytet w Getyndze, mekka matematyków

O tablicach pamięci w Getyndze – Danuta Ciesielska	72
---	----

Książki

Książki nadestane	71
Ideologie autorstwa – Paweł Bohuszewicz	77
Cykle życia publikacji – Jolanta Szczepaniak	77
Państwo to ona – Aneta Zawadzka	78
Z czego się śmiejecie? – Anna Jawor	78
Zmiany w czasie zarazy – Justyna Jakubczyk	79
Efk w dawnych wiekach – Zbigniew Chojnowski	79

FELIETONY

Szkiełko w oku

Nałkowcy – Piotr Müldner-Nieckowski	76
--	----

Na marginesach nauki

Osiem miliardów – Leszek Szaruga	80
-------------------------------------	----

Projekt okładki – Sławomir Makal	
----------------------------------	--

KPN w nowym składzie

WARSZAWA Rozpoczęła się nowa kadencja Komitetu Polityki Naukowej. W jego skład wchodzi 12 członków powoływanych przez ministra edukacji i nauki. Przez najbliższe dwa lata w zakresie polityki naukowej państwa szefowi resortu doradzać będą profesorowie: Arkadiusz Adamczyk (Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach), Elżbieta Starostawska (Centrum Onkologii Ziemi Lubelskiej), Dariusz Łydzba (Politechnika Wroclawska), Dariusz J. Gwiazdowicz (Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu), Piotr Jaroszyński (Akademia Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu), a także dr hab. Filip Szymański (Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego), dr hab. Małgorzata Podolak (Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej), dr hab. Bartłomiej Biskup (Uniwersytet Warszawski), dr Tomasz



Fot. MEN

Wicha (UMCS), dr Marcin Zarzecki (UKSW), dr Ilona Grądzka (Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II), dr Krzysztof Duda (Instytut Zootechniki – PIB w Balicach).

KPN został powołany w styczniu 2011 r. przez min. Barbarę Kudrycką jako organ doradczy ministra nauki i szkolnictwa wyższego (FA 2/2011). Początkowo swoje stanowiska i raporty przedstawiał jedynie ministrowi, z czasem coraz więcej szczegółów z jego działalności przedstawiano do wiadomości środowiska akademickiego, by w końcu jego opinie i postulaty stały się całkiem otwarte.

Nowy dyrektor NAWA

WARSZAWA Dawid Kostecki został powołany przez premiera Mateusza Morawieckiego na stanowisko dyrektora Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej. Kierująca pracami instytucji od maja 2020 r. Grażyna Żebrowska złożyła rezygnację. Nowy dyrektor ukończył studia doktorskie z prawa na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Jest absolwentem Executive Master of Business Administration, a także Doctor of Business Administration w Wyższej Szkole Menedżerskiej w Warszawie. Zasiada w Radzie Młodych Naukowców. Jest członkiem Stowarzyszenia Filozofii Prawa i Filozofii Społecznej (IVR), Naukowego Towarzystwa Tomistycznego oraz Zakładu Analiz Społecznych i Ekonomicznych Fundacji Polskiej Akademii Nauk w Lublinie. Ma na koncie autorstwo dwóch monografii: *Kultura organizacyjna good governance w jednostkach administracji publicznej. Podręcznik dobrych praktyk* oraz *Filozofia prawa Mariana Ignacego Morawskiego*, za którą otrzymał nagrodę im. Anieli hr. Potulickiej za wybitne osiągnięcie w dziedzinie chrześcijańskiego humanizmu. Współorganizował dwa Kongresy Polsko-Amerykańskie w Lublinie. Został powołany na 5-letnią kadencję.



Fot. NAWA

Zmiany w NCBR

WARSZAWA Pełniącym obowiązki dyrektora Narodowego Centrum Badań i Rozwoju został 9 sierpnia dr Paweł Kuch. Zastąpił dr. Remigiusza Kopczyka, który kierował NCBR od lutego br. Zmiana ta związana jest z przejściem NCBR spod nadzoru Ministerstwa Edukacji i Nauki do Ministerstwa Funduszy i Polityki Regionalnej, co jest konsekwencją nowelizacji

ustawy o NCBR zapowiadanej od kilku lat. Dr Kuch jest radcą prawnym, ekspertem z zakresu negocjacji, M&A, ochrony danych osobowych, tworzenia strategii biznesowo-prawnych i międzynarodowych kontraktów handlowych oraz autorem szeregu publikacji naukowych. Z wykształcenia jest prawnikiem i ekonomistą. Doktoryzował się na Uniwersytecie w Zurychu. Przez ostatnie 14 lat prowadził prywatną praktykę, reprezentując podmioty komercyjne z zakresu prawa cywilnego, prawa pracy, własności intelektualnej, prawa lotniczego i innych. Posiada również 20-letnie doświadczenie w branży telekomunikacyjnej.



Fot. NCBR

Kopa grantów ERC

BRUKSELA Dwa kolejne granty European Research Council trafiły do polskich naukowców. Prof. Andrzej Idrzejczak, kierownik Katedry Logiki i Metodologii Nauk w Instytucie Filozofii na Wydziale Filozoficzno-

Historycznym Uniwersytetu Łódzkiego, otrzymał Advanced Grant o wartości ponad 1,6 mln euro. To pierwszy w historii grant ERC dla badacza z łódzkiej uczelni. Poświęcony jest rozwinięciu teorii dowodu i programów dedukcji automatycznej dla formalnych teorii wykorzystujących złożone wyrażenia nazwowe jako nośnik informacji. Z kolei dr hab. Dawid Pinkowicz z Zespołu Nieorganicznych Materiałów Molekularnych Zakładu Chemii Nieorganicznej Uniwersytetu Jagiellońskiego został laureatem Consolidator Grant (1,7 mln euro). Jego projekt dotyczy otrzymania i wykorzystania fotomagnesów molekularnych o unikatowych właściwościach. W sumie od 2007 r. do 21 krajowych instytucji trafiło już 60 grantów ERC wszystkich kategorii, w tym 37 StG, 12 CoG, 7 AdG, 3 PoC i 1 SyG.



Fot. Barozs Kaluzny



Fot. NCB

Polak pokieruje ESCOP

KRAKÓW Prof. Michał Wierchoń z Uniwersytetu Jagiellońskiego jest pierwszym polskim naukowcem, który został wybrany na prezydenta Europejskiego Towarzystwa Psychologii Poznawczej (ESCOPE). Organizacja zrzesza blisko tysiąc naukowców. Jej nowy szef kieruje C-Lab Laboratorium Badania Świadomości w Instytucie Psychologii UJ oraz Centrum Badań Mózgu UJ. Trzy lata temu otrzymał Nagrodę NCN za interdyscyplinarne badania nad świadomością, łączące w kreatywny sposób podejścia badawcze z zakresu filozofii, psychologii poznawczej, kognitywistyki oraz neuronauki. Zaproponował oryginalny, autorski model teoretyczny świadomości, w ramach którego twierdzi, że dostęp do świadomości ma charakter stopniowalny, a subiektywny charakter informacji jest wynikiem integracji informacji percepcyjnych i pozapercepcyjnych.



Fot. UJ

Kolejny polski akcent w EMBO

WARSZAWA Do grona członków Europejskiej Organizacji Biologii Molekularnej dołączyło kolejnych 67 wybitnych naukowców zajmujących się naukami przyrodniczymi. Wśród nich prof. Bożena Kamińska-Kaczma-



Fot. OneHD

rek. To 15 osoba z Polski w EMBO. Kieruje Laboratorium Neurobiologii Molekularnej w Instytucie Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN w Warszawie. Specjalizuje się w biologii molekularnej i neurobiologii. Jest pionierką badań nad oddziaływaniem guzów mózgu na lokalny układ odpornościowy. W ub.r. otrzymała Nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej za odkrycie mechanizmów, za pomocą których komórki

układu odpornościowego, zarówno te rezydujące w mózgu (mikrogleje), jak i migrujące z krwi, zamiast niszczyć glejaka, wspierają jego rozwój. EMBO zrzesza blisko 2 tys. światowej klasy naukowców zajmujących się biologią molekularną.

Więcej naszych w Academia Europaea

LONDYN Kolejni polscy naukowcy zostali przyjęci w poczet członków Academia Europaea – prestiżowej organizacji skupiającej ponad 5 tys. uczonych z różnych dziedzin. To: prof. Andrzej Dziembowski, biolog



Fot. Archiwum

molekularny, biochemik i genetyk z Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej; prof. Elżbieta Frąckowiak z Wydziału Technologii Chemicznej Politechniki Poznańskiej (na fot.), prof. Maria Lewicka z Instytutu Psychologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu; prof. Leszek Rutkowski z Wydziału Inżynierii Mechanicznej i Informatyki Politechniki Częstochowskiej oraz prof. Marcin Wodziński z Katedry Judaistyki im. Tadeusza Taubego na Uniwersytecie Wrocławskim. Tym samym do Academia Europaea należy już 109 naukowców z Polski.

Akademicki Płock

WARSZAWA/PŁOCK Prezydent Andrzej Duda podpisał ustawę o utworzeniu Akademii Mazowieckiej w Płocku. Powstanie ona 1 października w miejsce Mazowieckiej Uczelni Publicznej. Strukturę uczelni tworzą trzy wydziały: Nauk Społecznych, Nauk Humanistycznych i Informatyki

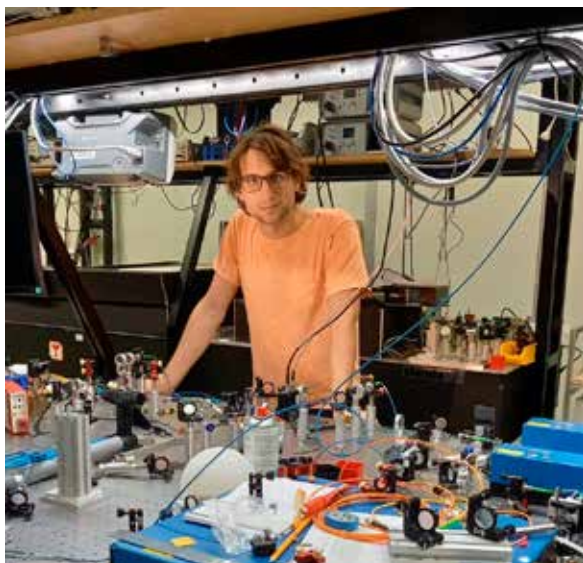


Fot. MHP

oraz Nauk o Zdrowiu. Kształcą się tam ok. 1,8 tys. studentów. Oferta MUP obejmuje 11 kierunków kształcenia I stopnia, cztery kierunki II stopnia i dwa kierunki jednolitych studiów magisterskich o profilu praktycznym. Od nowego roku akademickiego ruszy kierunek psychologia, a w kolejnym – kierunek lekarski. W ostatniej ewaluacji uczelnia uzyskała kat. B+ w dyscyplinie nauki o polityce i administracji, za czym idą uprawnienia do nadawania stopni naukowych w tej dyscyplinie.

Nagroda za kwanty

KRAKÓW/WARSZAWA Dr Michał Parniak, szef laboratorium Quantum Optical Devices w Centrum Nowych Technologii Uniwersytetu Warszawskiego, został laureatem Nagrody im. Franka Wilczka. Doceniono go za opracowanie nowych platform eksperymentalnych dla badań i tech-



Fot. UW

nologii kwantowych oraz ich wykorzystanie do demonstracji najnowszych zjawisk i protokołów kwantowych. Jednym z pierwszych jego projektów było urządzenie zdolne do zapamiętywania światła i przechowywania go w postaci pamięci kwantowej z zachowaniem dokładności do pojedynczych fotonów. Stworzył także pierwszą w Polsce wielomodową pamięć kwantową, która dzięki dalszym pracom jego zespołu szybko stała się również procesorem kwantowym. Nagroda jest fundowana przez Wydział Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej UW oraz Fundację Kościuszkowską. Przyznaje się ją co 2 lata młodym polskim naukowcom, którzy dokonali znaczącego odkrycia w fizyce, astronomii lub w dziedzinach im zblizonych.

Wspólne badania

WARSZAWA Fundacja na rzecz Nauki Polskiej rozstrzygnęła pierwszy konkurs na polsko-ukraińskie projekty badawcze. Złożono 73 wnioski. Roczne granty otrzymały trzy duety. Dr Anna Wylegała (Instytut Filozofii i Socjologii PAN) oraz dr Nataliia Otrishchenko (Centrum Historii Miejskiej Europy Środkowo-Wschodniej we Lwowie) zajmą się zebraniem i zarchiwizowaniem osobistych historii uchodźców z Ukrainy będących ofiarami rosyjskiej agresji. Dr hab. Agata Chudzicka-Czupała (Uniwersytet SWPS w Katowicach) i prof. Nadiya Hapon (Lwowski Uniwersytet Narodowy im. Iwana Franki) zbadają motywacje wolontariuszy niosących pomoc uchodźcom oraz inne psychologiczne i społeczne uwarunkowania leżące u podstaw wolontariatu. Dr hab. Sławomir Łukasiewicz (KUL) oraz dr Mykola Riabchuk (Instytut Badań Politycznych i Etnicznych im. I.F. Kurasa Narodowej Akademii Nauk Ukrainy w Kijowie) porównają historyczne doświadczenia w zakresie integracji europejskiej i poszukają odpowiedzi na pytanie, jak historia i polityka wpływają na wzajemne zrozumienie narracji o integracji i dialogu. Każdy projekt otrzymał dofinansowanie w wysokości 268 800 zł. Aplikacje do drugiego konkursu można składać do 30 września.

Zbadają mechanizmy ludzkiego mózgu

POZNAŃ Międzywydziałowe Laboratorium Neuronauki Poznawczej otwarto na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza. Będą w nim prowadzone badania z zakresu biofizyki, psychoakustyki, biopsychologii, kognitywistyki czy neuropedagogiki. Pracownię wyposażono m.in. w medyczny aparat EEG z pełnym oprogramowaniem, aparat do neurofeedbacku, stymulator mózgu typu tDCS, a także dwa wysokiej klasy komputery kontrolujące eksperymenty wraz z licznymi pakietami testów psychologicznych i dedykowanymi im padami. W jednej z części MLNP znajdują się ponadto zestawy do testów i badań psychomotorycznych. Planowane są m.in. badania dotyczące funkcjonalnej organizacji mózgu człowieka z wykorzystaniem metod przeczaszkowej stymulacji mózgu do wspomaganie procesu uczenia się. Laboratorium znaj-



Fot. UAM

duże się w budynku Katedry Akustyki na Wydziale Fizyki UAM, a prowadzone będzie we współpracy z Wydziałem Studiów Edukacyjnych UAM.

Podwawelska filia

WARSZAWA/KRAKÓW W wyniku przejęcia przez Uniwersytet SWPS kontroli nad Europejskim Centrum Certyfikacji, założycielem Wyższej Szkoły Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera w Krakowie, rozpoczęto pro-



ces integracji obu uczelni. Podpisana 31 sierpnia umowa to pierwszy krok do utworzenia kampusu Uniwersytetu SWPS w Krakowie. WSE stanie się szóstą filią jedyne publicznego uniwersytetu w Polsce (po Warszawie, Wrocławiu, Sopocie, Poznaniu i Katowicach), która – po uzyskaniu zgody MEiN – zamierza wkrótce prowadzić studia psychologiczne, a już teraz studia podyplomowe. Uniwersytet SWPS kształci obecnie ponad 15 tys. studentów. Oferuje blisko 90 specjalizacji i specjalności. Zatrudnia 75 prof., 59 dr. hab. i 183 dr. W ostatniej ewaluacji otrzymał jedną kat. A+ (psychologia), pięć kat. A i jedną B+.

Vive la Pologne! Vive la France!

WARSZAWA Pomysłodawcy Francusko-Polskiej Nagrody Naukowej im. Marii Skłodowskiej i Pierre'a Curie, przyznawanej od trzech lat przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej i Francuską Akademię Nauk, otrzymali Order Palm Akademickich. Insygnia wręczył ambasador Francji w Polsce Frédéric Billet. Uehonorowano nimi Christophe'a Paoliego i Joannę Jachimczuk-Lorę, którzy pracując w dziale współpracy naukowej i uniwersyteckiej Ambasady Francji w Polsce, podejmowali działania na rzecz rozwijania stosunków dwustronnych między oboma krajami. Uehonorowani byli także odpowiedzialni za realizację polskiej odsłony konkursu „Mój doktorat w 180 sekund”. Order Palm Akademickich ustanowiono w 1955 roku. Przyznawany jest wybitnym naukowcom oraz postaciom



Fot. Ambasada Francji

świata kultury i szkolnictwa za zasługi oraz wkład w promowanie kultury francuskiej na świecie.

Ustandaryzują standardy

WROCLAW Wypracowaniem wspólnych standardów tworzenia i wykorzystania modeli chorób neuropsychiatrycznych zajmie się konsorcjum europejskich instytutów naukowo-badawczych. Jego liderem jest Łukasiewicz – PORT. Projekt SAME-NeuroID znalazł się w pierwszej piątce wybranej z 391 aplikacji zgłoszonych w ramach programu Twinning Horyzontu Europa. Celem polsko-francusko-niemiecko-holenderskiego zespołu jest unifikacja procedur i standardów pomiędzy laboratoriami. Planuje się stworzenie ogólnoeuropejskiej sieci laboratoriów używających tych samych wystandaryzowanych metod dla prac badawczych. Pomoże w tym m.in. platforma badawcza pomyślana jako repozytorium wypracowanych procedur. W Łukasiewicz – PORT powstanie laboratorium, w którym te procedury będą testowane i walidowane. Budżet projektu to 1,5 mln euro, zakończenie prac przewidziano za 3 lata.

Nowatorska diagnostyka naczyń

ŁÓDŹ/KRAKÓW Urządzenie do nieinwazyjnej diagnostyki zaburzeń krążenia naczyniowego opracowali naukowcy Wydziału Chemicznego Politechniki Łódzkiej i Uniwersytetu Jagiellońskiego – Collegium Medicum. Podstawą jego działania jest innowacyjna metoda Flow Mediated Skin Fluorescence (FMSF). Bazuje ona na pomiarze zmian intensywności fluorescencji koenzymu NADH w skórze przedramienia w odpowiedzi na wymuszone zatrzymanie i uwolnienie przepływu krwi. Ponieważ zmiany te zależą od dostarczania tlenu do naskórka z udziałem mikrokrążenia skórno, dlatego wykorzystanie techniki FMSF jest unikatowym narzędziem do monitorowania stanu mikrokrążenia. Ta nowatorska metoda, mająca szanse zastosowania w skali ogólnoswiatowej jako standard oceny stanu naczyń krwionośnych, została opatentowana w Pol-



Fot. Pt

sce, ale również w UE, USA, Kanadzie, Chinach, Japonii, Australii, Rosji. Dzięki niej można ocenić stopień nasilenia choroby, monitorować leczenie trudno gojących się ran (w tym stopy cukrzycowej) oraz ocenić tolerancję wysiłku fizycznego w sporcie amatorskim i wyczynowym.

Olimpijskie muzealia

SZCZECIN Jesienią na Uniwersytecie Szczecińskim zostanie otwarte Muzeum Olimpizmu. Będzie to jedyne takie miejsce w Polsce oraz jedno z nielicznych w Europie. Powstaje w budynku Wydziału Kultury Fizycznej i Zdrowia USz. W placówce będą prezentowane pamiątki, m.in. medale, odznaczenia, fotografie, stroje, gadzety, które przekazali uczelni jej studenci bądź absolwenci – uczestnicy igrzysk olimpijskich. Ekspozycje zostały ofiarowane bądź użyczone m.in. przez Konrada Wasielewskiego – mistrza olimpijskiego w wioślarstwie, innego wioślarza Marka Kolbowicza, pływaka Oskara Krupeckiego, kolarzy torowych: Damiana Zielińskiego i Małgorzatę Wojtyrę (medalistkę mistrzostw świata), a także paraolimpijczyków: Irenę Pienio (lekkoatletyka) i Piotra Majkę (wioślarstwo). Ponadto swoje pamiątki przekazali także trenerzy: dr Krzysztof Krupecki (wioślarstwo), Tomasz Kazmierczak (wioślarstwo paraolimpijskie) oraz fizjoterapeutka Beata Buryta z Instytutu Nauk o Kulturze Fizycznej USz.

Samolotowe zakupy

GLIWICE Akademicki Ośrodek Szkolenia Lotniczego Politechniki Śląskiej wzbogacił się o nowy dwusilnikowy samolot Tecnam. Warta ok. 3,5 mln zł maszyna będzie wykorzystywana w szkoleniu studentów nawigacji powietrznej oraz mechaniki i eksploatacji lotniczej. Tecnam P2006T to włoski, lekki samolot turystyczny i szkolny. Dotychczas PŚ dysponowała samolotami jednosilnikowymi AT3. Nowy nabytek jest samolotem dwusilnikowym. To czteromiejscowy górnopłat zaprojektowany z myślą o szkoleniach na samoloty wielosilnikowe. Jest wyposażony w pełną awionikę do lotów, również w trudnych warunkach. Dzięki nowemu nabytkowi zwiększą się możliwości szkoleniowe



Fot. PŚ

ośrodka. Flota śląskiej uczelni liczy już 5 samolotów, w planach są kolejne zakupy. Na kierunku nawigacja powietrzna (pilotaż) kształci się na PŚ około setka studentów.

Szczyty do poprawy

WROCŁAW Naukowcy z Instytutu Geodezji i Geoinformatyki Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu przeprowadzili dokładne pomiary tatrzańskich szczytów. W wyniku ich prac trzeba będzie poprawić wiele atlasów i przewodników. Podawana w nich wysokość Świnicy to 2301 m. Pomiary satelitarne techniką bezpośrednią GNSS pozwoliły jednoznacznie określić, że wynosi ona 2302,36 m. Podobnie jest w przypadku Rysów.



Fot. UPWr

Wysokość najwyższej stabilnej skały naturalnej w Polsce to 2499,44 m. Z kolei Skrajny Granat na Orlej Perci mierzy 2228,34 m, czyli o ponad 3 m więcej niż wcześniej podawano. Wysokość Małego Koziego Wierchu to „jedynie” 2225,53 m, a nie jak sądzono 2228 m. Blisko metr wyższa okazała się też Sarnia Skała (1378 m w zaokrągleniu).

Nowy rok, nowa siedziba

ŁÓDŹ Studenci psychologii i pedagogiki na Uniwersytecie Łódzkim w nadchodzącym roku akademickim będą się uczyć w nowym gmachu Wydziału Nauk o Wychowaniu. Inwestycja kosztowała 56,2 mln zł i jest jedną z największych realizowanych przez uczelnię w ostatnich latach. Budowa 5-kondygnacyjnego budynku trwała 2 lata. Na powierzchni 6 tys. m² ulokowano laboratoria, sale dydaktyczne, monograficzne, ćwiczeniowe i konferencyjne oraz pomieszczenia sanitarne i socjalne. Są również dwie duże sale wykładowe mieszczące po 130 osób. Na ostatniej kondygnacji znajduje się taras widokowy. Na całej elewacji zamontowano osłaniające przed nadmiarem słońca tzw. łamacze światła. Część



Fot. UK

z nich po zmroku jest podświetlana pasami LED-owymi o zmiennej kolorystyce. Przeszkłony łącznik prowadzi z nowego budynku do istniejącej wcześniej auli im. Wacława Szuberta, w której odbędzie się uroczyste rozpoczęcie roku akademickiego.

Kompleksowo wydrukują w 3D

WARSZAWA Laboratorium Druku 3D otwarto na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Pracownicy tworzą trzy sekcje: kwantowo-mechanicznego modelowania nowych materiałów, wytwarzania i badania opracowanych rozwiązań oraz opracowywania parametrów druku 3D. Laboratorium jest pierwszą w kraju i jedną z niewielu w Europie



Fot. UKSW

jednostką zdolną do prowadzenia prac badawczych i wdrożeniowych w pełnym zakresie: od wstępnych koncepcji bazujących na modelach numerycznych aż do gotowego produktu. Badania prowadzone są przy wykorzystaniu najnowocześniejszego sprzętu, m.in. urządzenia Aconity MINI do wytwarzania przyrostowego w technologii topienia laserowego w złożu proszku, potocznie nazywanego drukarką 3D w metalu. To pierwsze takie urządzenie w tej części kontynentu. Nowe laboratorium będzie częścią Multidyscyplinarnego Centrum Badawczego UKSW, które powstaje w podwarszawskim Dziekanowie Leśnym. Na inaugurację minister Przemysław Czarnek przekazał 6 mln zł na opracowanie nowych materiałów metalicznych na bazie stopów renu, miedzi i srebra na potrzeby technologii wytwarzania przyrostowego.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Ewa Chojnacka, Renata Czeladko, Katarzyna Dominiak, Agnieszka Książkiewicz, Agnieszka Lizak, Małgorzata Moczulska, Paweł Śpiechowicz, Jadwiga Witek, Dominika Wojtysiak-Łarńska, Łukasz Wspólniały

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej
www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku i na Twitterze



Lekarskie limity

Wciąż borykamy się w Polsce z niedoborem lekarzy. Jak podaje GUS, mamy w kraju ponad 150 tys. lekarzy, jednak tylko nieco ponad 125 tys. z nich czynnie uprawia zawód (podaję tę ostatnią liczbę za artykułem Tomasza Wypycha opublikowanym 29 sierpnia na portalu Salon24.pl; wg Naczelnej Izby Lekarskiej jest ich ponad 149 tys.). Choć jesteśmy pod tym względem na piątym miejscu wśród 27 państw UE (jak pisze T. Wypych na podstawie danych Eurostatu), nie oznacza to zaspokojenia potrzeb społecznych w tym zakresie, bowiem znacznie gorzej – w samej końcówce – plasujemy się pod względem liczby lekarzy na 100 tys. mieszkańców kraju. Skutkuje to trudnościami w dostępie do służby zdrowia, a zwłaszcza kolejkami do lekarzy specjalistów. Zauważają to władze państwowe, które podejmują działania mające poprawić sytuację. Jednym z nich jest zwiększanie limitów przyjęć na kierunku lekarskie, a drugim przyznawanie kolejnym uczelniom – także niepublicznym, a ostatnio publicznym zawodowym – uprawnień do prowadzenia studiów lekarskich.

Jak zatem kształtowały się limity na studia lekarskie w ostatnich latach? W 2005 r. minister zdrowia przyznał 11 publicznym uczelniom medycznym – 9 akademiom medycznych i 2 kolegiom medycznym, na UJ i UMK – 2360 miejsc na studia dzienne i do 20% tej liczby, czyli 472, na studia wieczorowe w języku polskim. Już w roku 2007 limity określono w rozporządzeniu precyzyjnie. Było to 2695 osób na studiach stacjonarnych w języku polskim i 518 na studiach niestacjonarnych (proszę zauważyć, że zmieniła się nomenklatura). Oznacza to wzrost o 14% na studiach stacjonarnych i o ponad 10% na niestacjonarnych w stosunku do roku 2005. W roku 2008 limit przyjęć wzrósł odpowiednio do 2774 i 628, czyli o niecałe 3% na stacjonarnych i 21% na niestacjonarnych. Limity przyznano wówczas 12 uczelniom, bo do jedenastu „klasycznych” uczelni medycznych (dawnych akademii medycznych, które na podstawie ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym z 2005 r. stopniowo zmieniły nazwy na „uniwersytet medyczny”) doszedł Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie – pierwszy uniwersytet klasyczny, który nie łącząc się z żadną dotychczasową uczelnią medyczną uzyskał tego typu prawo. UWM dostał wtedy 80 miejsc na studiach stacjonarnych. Zajmujemy się cały czas studiami w języku polskim, bowiem studenci tego typu kształcenia pracują po studiach w polskich instytucjach medycznych, zagranicznymi, studiującymi po angielsku, zwykle wracają do swoich krajów i nie zasilają polskiego systemu opieki zdrowotnej.

W roku 2009 minister przyznał 12 uczelniom medycznym 2815 miejsc na studiach stacjonarnych i 763 na niestacjonarnych. Oznacza to wzrost o 1,4% na studiach stacjonarnych i 21,5% na niestacjonarnych. W 2010 roku limity wyniosły odpowiednio 3023 i 765, co oznacza wzrost o 7,4% rok do roku na studiach stacjonarnych. Wzrost liczby niestacjonarnych jest nieistotny. Po dołączeniu do grona uczelni kształcących lekarzy w 2015 roku kolejnych trzech uniwersytetów klasycznych: Jana Kochanowskiego w Kielcach, Rzeszowskiego i Zielonogórskiego, limity naboru na studia w języku polskim wyniosły odpowiednio 3589 na stacjonarnych i 1048 na niestacjonarnych. Oznacza to wzrost naboru w sto-

sunku do roku 2010, czyli w ciągu 5 lat, odpowiednio o 18,7% i o 37%. Jak widać z przytoczonych danych, limity kształcenia na płatnych studiach niestacjonarnych rosną znacznie szybciej od tych na stacjonarnych, których koszty pokrywane są z budżetu państwa.

W następnych latach uprawnienia do kształcenia lekarzy uzyskiwały kolejne uczelnie. Jako pierwsza uczelnia niepubliczna w rozporządzeniu o limitach przyjęć na studia lekarskie pojawiła się w roku 2016 Krakowska Akademia im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, której minister przyznał 100 miejsc na studiach stacjonarnych po polsku i 100 na studiach anglojęzycznych. Ta druga liczba nie jest nam potrzebna do statystyk, ale warto ją podać, bo „nowe” uczelnie publiczne, które podejmowały kształcenie lekarzy, nie od razu dostępowały tej możliwości, czasami nie mogły też od razu kształcić po polsku w trybie niestacjonarnym. W 2017 r. do tego grona dołączyły 3 uczelnie: Uniwersytet Opolski, Uniwersytet Technologiczno-Humanistyczny im. Kazimierza Pułaskiego w Radomiu oraz niepubliczna Uczelnia Łazarskiego w Warszawie. Zatem w roku akademickim 2017/18 lekarzy kształciło już 19 uczelni, w tym dwie niepubliczne. W roku 2019 uprawnienia do kształcenia lekarzy uzyskały Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie i niepubliczna Wyższa Szkoła Techniczna w Katowicach, a rok później niepubliczna Uczelnia Medyczna im. Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie. W roku 2022 minister zdrowia przyznał limity kształcenia na kierunku lekarskim 24 uczelniom, bowiem do dotychczasowych dwudziestu dwóch dołączył Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy im. Jana Długosza w Częstochowie i niepubliczna Akademia Medycznych i Społecznych Nauk Stosowanych w Elblągu. Obecność tej ostatniej w gronie uczelni kształcących lekarzy spowodowała protest Naczelnej Izby Lekarskiej wyrażony w postaci listu do ministra edukacji i nauki z skierowaniem do ministra zdrowia.

Wróćmy jednak do statystyk. W roku 2016 limit kształcenia stacjonarnego wynosi 4193, a niestacjonarnego 1108. Oznacza to wzrost do poprzedniego odpowiednio o 16,8% oraz o 5,7%. W roku 2020 na studia stacjonarne w języku polskim minister ustalił limit 5103 studentów, a na niestacjonarnych 1239. Wbrew temu, co napisałem w poprzednim akapicie (że wówczas już 22 uczelnie miały prawo do kształcenia lekarzy), limit został przyznany jedynie 21 uczelniom, bowiem prawa do rekrutacji nie otrzymała uczelnia radomska. Zgłoszono szereg zastrzeżeń co do jej możliwości w tym zakresie, m.in. pojawiła się negatywna ocena programowa Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Przytoczone limity oznaczają, że w pięcioleciu 2016–2020 limity przyjęć wzrosły odpowiednio o 21,7% oraz 11,8%. Zatem w latach 2015–2020 odwrócił się trend. W przeciwieństwie do poprzedniej pięcioletki (a nawet dziesięcioletki) limity przyjęć na lekarskie studia stacjonarne rosły dynamiczniej od tych na studia niestacjonarne. W mniejszym stopniu zawdzięczamy to jednak wzrostowi liczby studentów na jedenastu „klasycznych” uczelniach medycznych, a w większym dołączeniu do grona kształcących lekarzy nowych uczelni. O ile limity na tych pierwszych wzrosły o 409 osób, czyli 10,9%, to na „nowych” o 501 studentów, co oznacza jednak wzrost aż o 109%, czyli ponad dwukrotny.

W roku 2022 limity wynoszą odpowiednio 5830 dla studiów stacjonarnych i 1766 dla niestacjonarnych. Oznacza to wzrost w stosunku do roku 2020 odpowiednio o 14,2% oraz 42,5%. W stosunku do roku 2015 tegoroczne limity rosną odpowiednio o 2241 i 718 osób, czyli o 62,4% i 68,5%. Obecne limity w porównaniu do roku 2010 wzrosły odpowiednio o 2807 i 1001 osób, czyli o 92,8% i 130,8%. O ile w roku 2010 przyjęto na studia lekarskie w języku polskim w obu trybach 3788 osób, to obecnie jest to 7596 osób. To o 3808 osób, czyli 100,5 proc. więcej.

Warto na koniec zwrócić uwagę na kształcenie lekarzy wojskowych. Przez wiele lat zajmowała się tym Wojskowa Akademia

W rok akademicki 2022/23 z nowymi uprawnieniami do prowadzenia studiów na kierunku lekarskim wchodzi: Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II, Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy im. Jana Długosza w Częstochowie (ma przyznany limit rekrutacji na rok akademicki 2022/23, przeprowadzono rekrutację), Akademia Medycznych i Społecznych Nauk Stosowanych w Elblągu (ma przyznany limit przyjęć, przeprowadzono rekrutację) i Akademia Mazowiecka w Płocku. Na opinię Polskiej Komisji Akredytacyjnej czeka Akademia Kaliska.

Medyczna. Gdy jednak w latach 90. XX wieku limity przyjęć, ustalane i opłacane przez ministra obrony narodowej, spadły do minimalnego poziomu, uczelnia została połączona z Akademią Medyczną w Łodzi, tworząc Uniwersytet Medyczny w Łodzi – pierwszą o tej nazwie publiczną uczelnię medyczną. Jednak limity na studia wojskowe w latach 2010-2016 były minimalne, wynosiły od 40 do 60 miejsc. W roku 2017 zostały zwiększone o 50% do 90, a później do 120, 150 i wreszcie ostatecznie do 200 miejsc. Jest to liczba równa limitom przyjęć na kierunek lekarski w dużych publicznych uczelniach medycznych. O ile jeszcze w 2015 roku wojskowi stanowili poniżej 10% studentów stacjonarnych kierunku lekarskiego na UMŁ, to w 2022 stanowią już 27,2%.

Na koniec mała uwaga odnośnie kształtowania limitów. Minister zdrowia kieruje się tu możliwościami uczelni. Najpierw przygotowuje projekt rozporządzenia, który trafia do konsultacji społecznych, a następnie koryguje liczby stosownie do uwag zgłaszanych przez uczelnie i w rozporządzeniu publikuje ustalone z nimi liczby. Uczelnie z kolei kierują się swoimi możliwościami kadrowymi, lokalowymi i finansowymi. Z tego, co wiem od rektorów, gdyby pojawiły się możliwości skokowego zwiększenia finansowania studiów lekarskich, uczelnie mogłyby pokusić się o wzrost liczby studentów. Od niektórych rektorów uczelni publicznych wiem, że bez poważnej rozbudowy zaplecza, w tym klinicznego, i kadry, dalsze zwiększanie limitów przyjęć jest ryzykowne.

Piotr Kieraciński

Subwencja ministra zdrowia 2022

Gdy w lipcowym numerze FA pisałem o wysokości subwencji dla polskich uczelni i innych instytucji naukowych, nie było jeszcze wiadomo, jak kształtuje się ona w uczelniach medycznych podległych ministrowi zdrowia. Stosowny komunikat ogłosił on 13 lipca. W sierpniu ukazał się kolejny komunikat o zwiększeniu subwencji dla podległych ministrowi zdrowia uczelni medycznych.

Na podstawie lipcowego komunikatu wiadomo, że nakłady na subwencje dla 9 uniwersytetów medycznych wynoszą ponad 1 mld 965,6 mln zł. Daje to podwyżkę subwencji o 106 do 109% w stosunku do roku 2021. W objaśnieniach czytamy, że 106% środków ubiegłorocznych otrzymały uniwersytety, których subwencja wyliczona na podstawie algorytmu wyniosłaby od 98 do 106%, 107 te, których subwencja mieściłaby się między 106 a 110%, zaś 109 – te, których subwencja przekroczyłaby 110% ubiegłorocznej. Zaznaczono, że tegoroczne wartości subwencji zostaną uwzględnione w naliczaniu finansowania w roku 2023.

W sierpniowym komunikacie minister podniósł tę kwotę o kolejne 20,1 mln zł, które mają być przeznaczane na podwyżkę

wynagrodzeń pracowników o 4,4%. Oznacza to, że w sumie minister zdrowia na subwencje przeznaczone na podtrzymanie potencjału badawczego i dydaktycznego w 9 podległych mu uczelniach medycznych wyda w tym roku 1 mld 985,7 mln zł (o ile w kolejnych miesiącach subwencja nie zostanie kolejny raz zwiększona), a kwota ta zostanie uwzględniona w naliczaniu subwencji na rok 2023.

Najwyższą subwencję otrzymały Warszawski Uniwersytet Medyczny (292,8 mln zł) i Uniwersytet Medyczny w Łodzi (284,4 mln zł). Najniższe subwencje otrzymały Pomorski Uniwersytet Medyczny (122,7 mln zł) i Uniwersytet Medyczny w Białymstoku (163,4 mln zł). Warto zauważyć, że UMB uzyskała najlepszy wśród (wszystkich!) uczelni medycznych wynik w tegorocznej ewaluacji dyscyplin naukowych: 2 kategorie A i 1 kat. A+. Powinno to wpłynąć na wysokość przyszłorocznej subwencji tej uczelni.

(p)

Plagiatowy doktorat do poprawy?

W Instytucie Ekonomii i Finansów Uniwersytetu Szczecińskiego toczy się przewód doktorski mgr Urszuli Mentel, asystent badawczo-dydaktycznej w Zakładzie Zarządzania Projektami Politechniki Rzeszowskiej, która przygotowała dysertację pt. *Warunki pogodowe jako determinanta zmienności na rynku akcji. Behawioralna analiza ilościowa*. Promotorem jest dr hab. Sebastian Majewski, prof. USz. Recenzent, prof. dr hab. Adam Szyszka z SGH w Warszawie, odkrył dwa obszerne fragmenty tłumaczenia z angielskiego, które nie miały odniesienia bibliograficznego i są zwykłymi plagiatami. Od strony merytorycznej prof. Szyszka ocenił dysertację bardzo nisko i uznał, iż nie spełnia ona głównego kryterium wskazanego w ustawie, czyli „oryginalnego rozwiązania problemu naukowego”. Stwierdził, że praca, obok niewątpliwego plagiatu, zawiera wiele istotnych błędów merytorycznych. Recenzent nie sprawdził całości pracy pod względem obecności kolejnych zapożyczeń, gdyż i tak powziął wątpliwość odnośnie „umiejętności samodzielnego prowadzenia pracy naukowej” przez doktorantkę, która ma małe doświadczenie w przygotowaniu rozpraw naukowych i słabe przygotowanie metodyczne. W rezultacie wniósł o niedopuszczenie

nie Urszuli Mentel do obrony, ale równocześnie wnioskował o poprawę pracy! Komisja Doktorska pod przewodnictwem prof. Beaty Zofii Filipiak zezwoliła 10 marca br. na poprawę dysertacji i zwrot nowego tekstu do 10 września 2022. Należy dodać, że nie zawiadomiono rektora Politechniki Rzeszowskiej o konieczności przeprowadzenia wyjaśniającego postępowania dyscyplinarnego w związku z wykrytym plagiatem, co jest naruszeniem prawa.

Podsumowując: plagiatu nie da się poprawić, stąd ani prof. Adam Szyszka, ani Komisja Doktorska w żadnym wypadku nie powinni się zgodzić na powrót zdyskwalifikowanej dysertacji do ponownej oceny.

Czyżby na takie, a nie inne zachowanie recenzenta i komisji miał wpływ fakt, że doktorantka jest żoną rzeszowskiego profesora ekonometrii i specjalisty od rynków kapitałowych, a wśród 17 publikacji (w większości anglojęzycznych) w czasopiśmie recenzowanych, ma jedną napisaną wspólnie z rektorem Uniwersytetu Szczecińskiego, prof. Waldemarem Tarczyńskim, członkiem Rady Naukowej, która powołała komisję doktorską?

Marek Wroński

Europejskie „oczko”

Już 21 polskich uczelni działa w konsorcjach Uniwersytetów Europejskich. Do osiemnastu, które status taki uzyskały już wcześniej, dołączyły w tym roku trzy kolejne: Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu oraz Politechnika Koszalińska.

Do trzeciego konkursu (poprzednie odbywały się w 2019 i 2020 r.) zgłoszono 52 wnioski. Wśród kandydatów były m.in.: Politechnika Białostocka, Uniwersytet Rolniczy im. Hugona Kołłątaja w Krakowie i Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy im. Jana Długosza w Częstochowie. Komisja Europejska wyłoniła cztery nowe konsorcja oraz zdecydowała o wsparciu szesnastu dotychczasowych. Każde otrzyma ok. 14,4 mln euro na cztery lata. Łącznie ze środków Erasmus+ przeznaczono na ten cel rekordową kwotę 272 mln euro.

Wśród nowych laureatów konkursu European Universities znalazła się Politechnika Koszalińska, która w sojuszu EU4DUAL wraz z Mondragon Unibertsitatea (Hiszpania – lider), Duale Hochschule Baden-Württemberg (Niemcy), FH JOANNEUM Gesellschaft mbH (Austria), Savonia-ammattikorkeakoulu (Finlandia), École Supérieure des Technologies Industrielles Avancées (Francja), Neumann János Egyetem (Węgry), Visoka poslovna škola PAR (Chorwacja), Malta College of Arts, Science and Technology (Malta) zamierza stworzyć największą na świecie instytucję kształcenia dualnego, w której standardy akademickie i biznesowe będą się wzajemnie przenikały. W uczelniach tego konsorcjum kształci się obecnie ponad 80 tys. studentów.

SGGW weszła w skład aliansu UNIGreen (The Green European University), który połączył uczelnie specjalizujące się w naukach rolniczych, biotechnologii i naukach przyrodniczych: Universidad de Almería (Hiszpania – lider), Agricultural University of Iceland (Islandia), Agricultural University Plovdiv (Bułgaria), Haute École de la Province de Liège (Belgia), Instituto Politécnico de Coimbra (Portugalia), Paris Sup'Biotech (Francja), Università degli Studi di Modena e Reggio Emilia (Włochy). Sojusz, w którym studiuje obecnie około 70 tys. osób, ma być wzorcowym przykładem kształcenia na poziomie wyższym i badań w obszarach Agro, Bio i Life Science.

Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu przystąpił do European Universities Network for Sustainable Growth, Inclusive Education

and the Environment, którą tworzą ponadto: Universidad de Extremadura (Hiszpania – lider), Université d'Angers (Francja), Universidade de Évora (Portugalia), Höskolan i Gävle (Szwecja), Carlow it College (Irlandia), Otto von Guericke Universität Magdeburg (Niemcy), Università degli Studi di Parma (Włochy), University of Oradea (Rumunia). Celem sojuszu EU-GREEN, kształcącego ponad 144 tys. studentów, jest stworzenie szerokiego europejskiego centrum edukacji, badań i innowacji w zakresie zrównoważonego rozwoju.

Tym samym do 21 powiększyło się grono „polskich” Uniwersytetów Europejskich. W 2019 r. status taki uzyskały (a teraz go przedłużono): Uniwersytet Jagielloński (UNA Europa), Uniwersytet Warszawski (4EU+), Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (EPICUR), Uniwersytet Opolski (FORTHEM), Uniwersytet Gdański (SEA EU 2.0) i Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu (YUFE). Oprócz nich do wyłonionych w pierwszym konkursie konsorcjów dołączyły później: Uniwersytet Wrocławski (Arqus), Szkoła Główna Handlowa (CIVICA), Politechnika Łódzka (ECIU) i Politechnika Wrocławska (Unite!).

Z kolei w 2020 r. Uniwersytetami Europejskimi zostały: Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica (UNIVERSEH), Politechnika Śląska (EURECA-PRO), Uniwersytet Śląski (T4E), Politechnika Warszawska (ENHANCE) i Politechnika Poznańska (EUNICE), która jako jedyna z Polski jest liderem swojego konsorcjum. Później dołączyły do nich: Uniwersytet Łódzki (UNIC), Politechnika Gdańska (również ENHANCE), a ostatnio Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie (ATHENA).

W sumie pod hasłem Uniwersytetów Europejskich działają obecnie 44 sojusze (24 z 2020 r. i 20 z 2022 r.), które skupiają 340 instytucji szkolnictwa wyższego z 31 krajów, w tym wszystkich państw członkowskich UE oraz Islandii, Norwegii, Serbii i Turcji. To ponadnarodowe aliansy, których celem jest zwiększenie mobilności studentów, kadry akademickiej i środowiska naukowego, a także wspieranie jakości, integracji i konkurencyjności europejskiego szkolnictwa wyższego. Sama idea jest pomysłem prezydenta Francji Emmanuela Macrona, który w 2017 roku wysunął propozycję utworzenia takich sieci.

Mariusz Karwowski



Dr hab. Krzysztof Wasilewski, prof. PK, prorektor ds. kształcenia Politechniki Koszalińskiej:

Nasz sojusz będzie działał w trzech głównych obszarach: przyszłość pracy, zdrowy styl życia, zielona ekonomia. Chcemy udoskonalic – na poziomie lokalnym, krajowym i ogólnoeuropejskim – zasady współpracy między systemem edukacji wyższej i otoczenia społeczno-gospodarczego. Opracujemy wspólne programy kształcenia dla kierunków praktycznych i studiów dualnych, a także zainicjujemy badania naukowe w tym obszarze. Kolejnym wyzwaniem będzie stworzenie odnoszącego się do idei life learning systemu tzw. mikroreferencji (microcredentials), tzn. szkoleń, certyfikatów czy uznawania efektów uczenia się zdobytych poza formalnym systemem edukacyjnym.



Prof. Michał Zasada, rektor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego:

Nasz projekt przewiduje umożliwienie swobodnego przepływu wiedzy, ułatwienie pozyskiwania podwójnych lub wspólnych europejskich stopni naukowych, a także stworzenie połączonej oferty edukacyjnej i badawczej, skoncentrowanej na zrównoważonym rozwoju i ekologii. Warto również wymienić poszukiwanie talentów spoza Europy, poprzez promowanie wielojęzycznego uczenia się i międzykulturowości. Przyczyni się to do transformacji gospodarczej na poziomie lokalnym i regionalnym, a na szczeblu krajowym – do uruchomienia ponadregionalnych sieci na rzecz rozwoju, innowacji i przedsiębiorczości, wzmacniania kompetencji osobistych i zawodowych obywateli oraz zwiększenia ich szans na znalezienie zatrudnienia.



**Prof. Jarosław Bosy,
rektor Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu:**

Projekt zapewni wzrost mobilności zarówno studentów, jak i kadry akademickiej UPWr oraz umiędzynarodowienie studiów. W planach mamy zarówno krótkie programy kształcenia realizowane wspólnie przez członków konsorcjum, m.in. szkoły letnie, kursy specjalistyczne czy blended intensive programme (BIP), jak i anglojęzyczne wspólne kierunki studiów na wszystkich poziomach kształcenia. Uniwersytet Europejski to też możliwość pozyskania dodatkowego finansowania, m.in. z programów Erasmus+ i Horyzont Europa czy budowa międzyuczelnianego kampusu. Trzeba jednak pamiętać, że to również duże zobowiązanie wynikające z realizacji strategii przyjętej przez konsorcjum.

Radiowcy łączą siły

Ścisłą współpracę w zakresie tworzenia programów oraz wymiany doświadczeń w zakresie technologii i marketingu, a także budowanie wspólnej bazy ekspertów i naukowców zakłada porozumienie rozgłośni akademickich, jakie zawiązano w połowie lipca z inicjatywy Radia Pałac działającego w Collegium Civitas. Pomysł zrodził się przy okazji cyklicznych czwartkowych audycji *Bit of News*, podczas których Wojciech Frenszkowski, do końca września redaktor naczelny tej stacji, rozmawiał na antenie z przedstawicielami akademickich rozgłośni o realiach studiowania w ich miastach. Mówiono m.in. o tym, co przyciąga młodych ludzi do tych ośrodków. W lipcu w Warszawie postanowiono zacieśnić współpracę. Jej fundamentem ma być zachowanie pełnej podmiotowości wszystkich redakcji lokalnych. Jak zapewniają inicjatorzy przedsięwzięcia, jego uczestnicy mają sobie pomagać, a nie przeszkadzać. Na zaproszenie gospodarzy do stolicy przyjechali „radiowcy” z: Radia MORS (Gdańsk), Radia Centrum (Lublin), Radia Meteor (Poznań), Radia Egida (Katowice), Studenckiego Radia Żak (Łódź), Radia UWM FM (Olsztyn). W spotkaniu zdalnie brali udział reprezentanci Radia UJOT FM (Kraków).

– Chcemy połączyć osoby o podobnych zainteresowaniach, poszerzyć możliwości rozwoju naszych dziennikarek i dziennikarzy, ale też pokazać im różne modele pracy, żeby czerpali, co i ile uznają za stosowne – wyjaśnia Michał Tomasiak, który od października przejmie obowiązki reaktora naczelnego Radia Pałac.

Kooperacja będzie polegać na udostępnianiu sobie nawzajem materiałów i pomoc w tworzeniu lokalnych formatów radiowych. Zapowiedziano także pierwszą międzyuczelnianą audycję, która ma wystartować w nadchodzącym roku akademickim. Ponadto „radiowcy” chcą wymieniać się doświadczeniami w zakresie technologii, marketingu i innych dziedzin związanych z mediami. Porozumienie obejmuje także współorganizację imprez i wydarzeń, którymi opiekują się poszczególne stacje.

– Obiecująco wygląda zapowiedź współdziałania przy tworzeniu chmurowego dostępu do produkcji i wymiany informacji, w tym dźwiękowej. Musimy mieć stały dopływ newsów, głównie o tematyce studenckiej, więc taka chmura zapewniałaby nam regularny do nich dostęp. Chętnie dołożymy też nasze kontakty do bazy ekspertów. Wprawdzie stawiamy najczęściej na swoich, ale nie wyklucza to otwarcia się na inne środowiska w Polsce – zapowiada Marek Skowronek, red. nac. Radia Centrum działającego przy UMCS.

Z kolei Karol Stachowicz, redaktor naczelny Radia MORS, przekonuje: – Każda studencka stacja ma inną specyfikę, inne warunki i inne priorytety, ale im lepiej będziemy się poznawać, tym łatwiej będzie nam szukać przestrzeni wspólnych interesów. Mam nadzieję,

że już wkrótce przekonają się o tym zarówno nasi dziennikarze, jak i słuchacze.

Członkowie porozumienia liczą na dołączenie do projektu pozostałych rozgłośni studenckich. Na razie ustalono, że co pół roku nieformalnej sieci będzie przewodzić inna stacja. Jako pierwsze zostało wybrane Radio Pałac.

Warto przypomnieć, że to nie pierwsza próba integracji studenckich rozgłośni. W 2003 roku redaktorzy naczelni 9 koncesjonowanych stacji z Rzeszowa, Lublina, Poznania, Białegostoku, Zielonej Góry, Warszawy, Wrocławia, Olsztyna i Łodzi (później dołączyła Radiofonia skupiająca 8 krakowskich uczelni) powołali Porozumienie Rozgłośni Akademickich. Jego celem była m.in. koordynacja działań promocyjnych i strategii programowej. W 2007 r. PRA starało się o otrzymywanie pieniędzy z abonamentu płaconego na media publiczne. Dziś tamto porozumienie już nie funkcjonuje. W ostatnich latach poza niesprecyzowanymi deklaracjami nie podejmowano żadnych poważnych prób zintegrowania środowiska studentów-radiowców.

MK

Studenckie radiostacje

Na polskim rynku radiowym działa obecnie ponad 20 rozgłośni akademickich (część z nich posiada koncesję). Niektóre nadają regularny program, inne grają jedynie muzykę. Są to: Akademickie Radio Centrum Politechniki Rzeszowskiej, Akademickie Radio Centrum UMCS, Akademickie Radio Kampus Uniwersytetu Warszawskiego, Akademickie Radio LUZ Politechniki Wrocławskiej, Radio Afera Politechniki Poznańskiej, Radio Akadera Politechniki Białostockiej, Radio Index Uniwersytetu Zielonogórskiego, Radio UWM FM Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, Studenckie Radio „Żak” Politechniki Łódzkiej, Ośrodek Radia Studenckiego Politechniki Śląskiej, Radio Sygnały Uniwersytetu Opolskiego, Radio Egida Uniwersytetu Śląskiego, Radio Sfera Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Radio SAR Politechniki Gdańskiej, Radio Aktywne Politechniki Warszawskiej, Radio 17 Akademii Górniczo-Hutniczej, Radio Bonus Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II, Radio Meteor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Radio MORS Uniwersytetu Gdańskiego, Radio UJOT FM Uniwersytetu Jagiellońskiego, Radio UKSW Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Radio Nowinki Politechniki Krakowskiej, Radio Pałac Collegium Civitas oraz najstarsze Studenckie Centrum Radiowe Radiosupel działające od 1951 roku przy Uniwersytecie Medycznym w Białymstoku. W grudniu ub.r. zaczęło nadawać najmłodsze NiUS Radio Uniwersytetu Szczecińskiego.

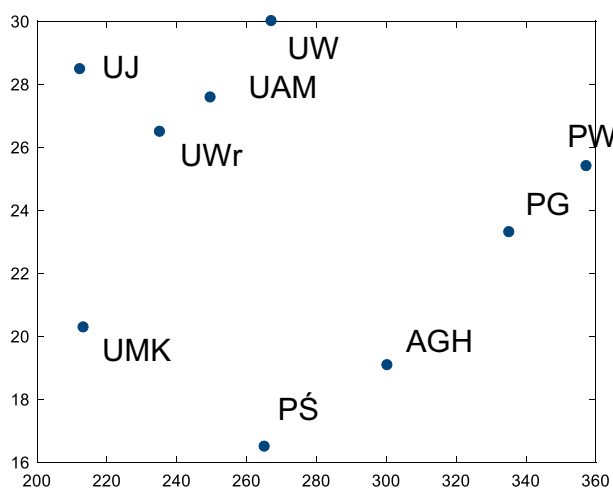
Nie od razu w Lidze Mistrzów

Joanna Wolszczak-Derlacz ze współautorami, analizując wyniki konkursów NCN, korelują sukcesy dziewięciu uczelni badawczych w konkursach Narodowego Centrum Nauki z liczbą publikacji ich pracowników w wydawnictwach MDPI (FA 7-8/2022). Ujawniając korelację ujemną, konstatują, że chociaż „nie można [...] mówić o związku przyczynowo-skutkowym”, [...] to jednak „eksperti NCN nisko oceniają MDPI” oraz podkreślają, „że MDPI to jedna z grup wydawnictw o wątpliwej renomie”. Jednocześnie wiele wydawnictw tej grupy posiada wysokie parametry naukometryczne IF, lokując się w najwyższym tzw. kwartylu (Q1) jakości naukowej czasopism (porównaj np. rankingi SCIMAGO). Także na ministerialnej liście czasopism wiele z nich premiowanych jest wysoką punktacją (np. „International Journal of Molecular Science”, MDPI, Q1, IF=6,63, 140 pkt. ministerialnych). Wysoka pozycja rankingowa MDPI kłóci się więc z niską renomą wydawnictwa. Powstaje dylemat: publikować w MDPI, czy nie?

Marek Kosmowski zauważa relację pomiędzy liczbą publikacji w MDPI a finansowaniem nauki w różnych krajach. Generalnie, udział publikacji MDPI w krajowej puli publikacji jest wysoki w krajach o średnich nakładach na naukę. Musimy mieć jakieś środki na opłacenie licencji open access, a jednocześnie wciąż nie możemy doścignąć liderów nauki z łatwością uzyskujących przewagę w najważniejszych czasopiśmie. Dobrymi przykładami są Polska i Rumunia (FA 5/2022).

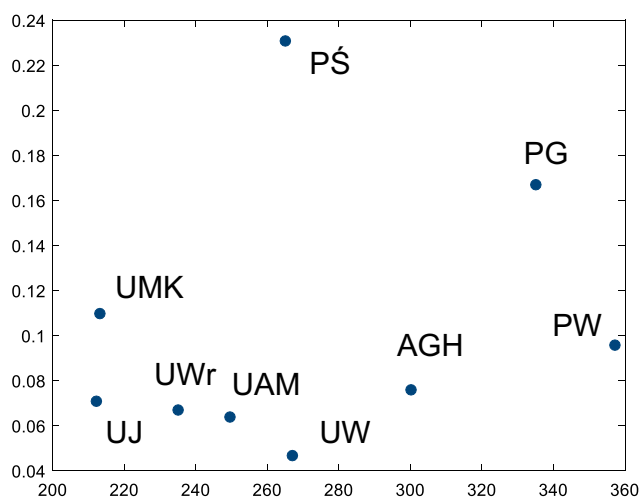
Finanse są kluczowe dla wielu obszarów aktywności człowieka. Wiele ciekawych przykładów podaje Steven Pinker (*Nowe Oświecenie*, Zysk i S-ka, 2018). Analiza liczby afiliacji publikacji w „Nature” według krajów względem nakładów finansowych na naukę ujawnia silną korelację. Efekt ten – tzw. efekt świętego Mateusza: masz dużo, będziesz miał więcej, masz mało, będziesz miał mniej – opisany jest na przykład w publikacji Bogocz, J., Bak, A., Polanski, J., 2014, *No free lunches in Nature? An analysis of the regional distribution of the affiliations of Nature publications*, „Scientometrics” 101(1), s. 547. Wysokość budżetu na badania naukowe może także wyjaśniać efekt korelacji MDPI z sukcesami w konkursach NCN. Dane ze wspomnianego artykułu J. Wolszczak-Derlacz uzupełniłem wartościami ministerialnych subwencji dla uczelni w 2022 r. Rysunek 1. przedstawia zależność między liczbą publikacji w MDPI (1a) oraz między sukcesem w grantach NCN (1b) a subwencją na jednego pracownika. Widać wyraźne trendy obu zależności, przy czym uczelnie grupują się według typów, jak np. politechniki, uniwersytety. Politechniki mają większą liczbę publi-

NCN



subwencja

MDPI

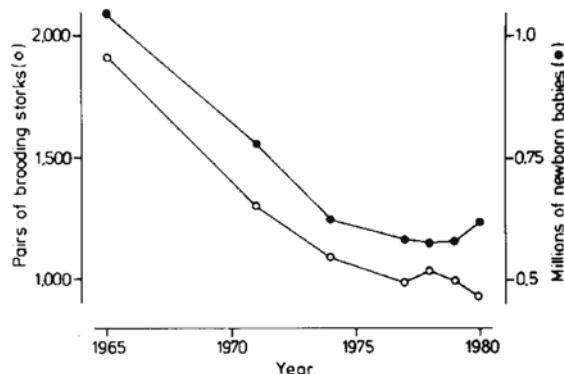


subwencja

Rysunek 1 Zależność między subwencją 2022 na pracownika (dotacja) a udziałem publikacji w czasopiśmie MDPI (a) oraz sukcesem w konkursach NCN (b). Dane według [Joanna Wolszczak-Derlacz et al., FA 7-8, 2022], pominięto Gdański Uniwersytet Medyczny ze względu na brak danych dotyczących subwencji (www.gov.pl).

A new parameter for sex education

SIR—There is concern in West Germany over the falling birth rate. The accompanying graph^{1,2} might suggest a solution that every child knows makes sense.



HELMUT SIES
*Institut für Physiologische Chemie I,
 Universität Düsseldorf,
 Moorenstrasse 5, D-4000 Düsseldorf,
 FRG*

1. *Fachserie Gebiet und Bevölkerung* (Statistisches Bundesamt, Kohlhammer, Stuttgart, 1984).
2. Bauer, S. & Thielcke, G. *Die Vogelwarte* 31, 183–191 (1982).

Rysunek 2 Pełny tekst komunikatu w *Nature*, 332 (7), 495, Copyright © 1988, Nature Publishing Group

kacji w MDPI, a niższy sukces w NCN, uniwersytety – niższą liczbę publikacji w MDPI i większe osiągnięcia w konkursach NCN. Im wyższa subwencja, tym niższa liczba publikacji w MDPI. AGH i UJ nieco wyłamują się z tych trendów.

W nauce jest podobnie jak w sporcie. Nikt nie spodziewa się wygranej Legii Warszawa z londyńską Chelsea. Nie powinno nas wobec tego dziwić, że kiedy przyglądamy się miejscu polskiej nauki w rankingach międzynarodowych, wciąż zauważamy znaczny dystans naszych uczelni do zagranicznych liderów (Kąkol, FA 2/ 2022). Dwie dekady temu śmiałyśmy się, recenzując publikacje nadsyłane z Chin. Dzisiaj te prace są w najlepszych czasopismach. Towarzyszyły temu jednak wysokie inwestycje. Publikacje w MDPI to wysoki IF, wysoka punktacja kategoryzacyjna oraz szybki cykl wydawniczy. Warto pamiętać, że najwyższy udział w publikacjach MDPI mają prace amerykańskie (M. Kosmulski, FA 5/2022). Wady to bojkot środowiska (nie cytuj, nie pisz, nie recenzuj). Jak piszą Wolszczak-Derlacz ze współautorami: „eksperci NCN nisko oceniają MDPI”.

Czy pokazane korelacje mogą być reprezentatywne? Statystyka nie pozostawia złudzeń: mało danych, niska reprezentatywność. Dla wszystkich poszukujących prostych recept na rysunku 2. przedstawiam reprodukcję komunikatu z „Nature”, który składa się z dwóch zdań i jednego rysunku. Prof. Helmut Sies z Instytutu Chemii Fizjologicznej Uniwersytetu Chemii w Dusseldorfie śmieje się i mruga okiem, proponując proste rozwiązanie problemu spadającego przy-

rostu naturalnego. Okazuje się, że przyrost naturalny koreluje z liczbą gniazdujących bocianów. Każde dziecko zna receptę. Bociany do pracy.

Problem MDPI wynika ze wszechobecności rankingów. Teoretycznie każda publikacja powinna być oceniana niezależnie od czasopisma, w którym się ukazuje. Przenoszenie rankingu czasopisma na autorów pojedynczych publikacji nie jest uprawnione. Cóż kiedy praktyka jest inna i nie należy się tu spodziewać zmian. Człowiek lubi rankingi. Lubimy porządkować rzeczywistość w postaci prostych reguł. Proces publikowania w czasopiśmie ma wiele problematycznych elementów. Wiele znakomitych publikacji zostało błędnie odrzuconych. Rozczarowanie systemem tradycyjnego publikowania doprowadziło do utworzenia domeny arXiv, publikacji bez recenzowania. Publikują tu szybko, często jako preprinty, najlepsze grupy i uczelnie. W mojej ocenie, obecna słaba renoma MDPI wynika nie tylko z jej faktycznego miejsca w szeregu, lecz także z walki na rynku czasopism. Publikowanie to także biznes. MDPI narusza interesy klasycznych wydawnictw. Szybki wzrost miejsca w rankingach pokazuje, że wbrew wielu opiniom MDPI nie jest na przegranej pozycji. Czy warto tu publikować? Oczywiście najlepiej publikować w „Nature”, ale jeżeli publikacja w MDPI wspiera budżet uczelni przez proces ewaluacji, to warto sięgnąć po takie fundusze. Nie od razu zagramy w Lidze Mistrzów.

Prof. dr hab. inż. Jarosław Polański,
Instytut Chemii UŚ, Katowice

To nie natura zaszkoziła Odrze

W ocenie działającego przy prezesie PAN zespołu doradczego ds. kryzysu klimatycznego do katastrofy ekologicznej na Odrze przyczynił się długotrwały, bardzo niski stan wody, który zwiększył wrażliwość rzeki na dopływające do niej zanieczyszczenia. Naukowcy wskazują także inne możliwe przyczyny: zrzuty ścieków zawierające związki biogenne, zwłaszcza azot i fosfor, niezbędne dla wzrostu fitoplanktonu i znacznie przyspieszające ten proces; zrzuty zasolonych wód przemysłowych lub kopalnianych prowadzące do namnożenia się tzw. złotych alg (wiciowców z gatunku *Prymnesiumparvum* lub pokrewnego), wytwarzających toksyny zabójcze dla ryb i innej fauny oddychającej skrzelami; uwolnienie dodatkowego ładunku biogenów, metali ciężkich i innych zanieczyszczeń zgromadzonych przez dziesięciolecia w osadach dennych w wyniku prac utrzymaniowych na rzece oraz niskiego stanu wody, co skutkuje zruszeniem podłoża przy nawet mniej intensywnym ruchu wodnym. Zdaniem członków zespołu nie bez znaczenia był wzrost temperatury, który przyspiesza tempo procesów biologicznych, w tym namnażanie glonów. Do tego trzeba dodać znaczącą zmianę warunków hydrologicznych w Odrze spowodowaną jej regulacją, piętrzeniem i użytkowaniem dla celów żeglugi śródlądowej, a skutkującą korzystnym dla namnażania glonów wydłużeniem czasu retencji wody w rzece.

W komunikacie, popartym przez Komitet Gospodarki Wodnej PAN i Komitet Inżynierii Środowiska PAN, zaznaczono, że wszystkie te procesy wpływają w zasadniczy sposób na funkcjonowanie organizmów zasiedlających rzekę, prowadząc do zmiany warunków fizycznych, a w rezultacie struktury biologicznej ekosystemu, obniżenia różnorodności biologicznej oraz zaburzenia wielu procesów biologicznych zachodzących na wszystkich poziomach organizacji ekosystemu, w tym procesu samooczyszczania rzeki. „Każda z wymienionych przy-

czyn wynika z bezpośredniego lub pośredniego wpływu człowieka na system przyrodniczy, tak więc w żadnym wypadku nie można twierdzić, że katastrofa ekologiczna na Odrze miała przyczynę naturalną. Można wręcz wprost powiedzieć, że stanowi ona modelowy przykład nowych, wieloczynnikowych zagrożeń związanych ze zmianą klimatu” – podkreślają naukowcy skupieni w zespole, którego pracami kieruje prof. Szymon Malinowski z Instytutu Geofizyki Uniwersytetu Warszawskiego.

Ich zdaniem katastrofa ekologiczna na Odrze pokazała konieczność głębokich zmian w organizacji zarządzania zasobami wodnymi w Polsce, m.in. potrzebę aktywnego monitoringu dla sygnalizowania konieczności zatrzymania zrzutów ścieków. Za konieczne uważają renaturyzację rzeki lub jej fragmentów i objęcie ochroną niektórych, szczególnie cennych przyrodniczo obszarów w jej dolinie i dorzeczu, a także – gdy minie już bezpośrednie zagrożenie dla ryb – odtworzenie ich populacji. Stoją też na stanowisku, że należy wstrzymać prace regulacyjne na Odrze.

Na koniec postulują zwiększenie społecznej kontroli nad gospodarką wodną, w tym podniesienie transparentności mechanizmów decyzyjnych oraz ustalenie jasnych zasad odpowiedzialności instytucjonalnej za podejmowanie decyzji lub ich brak. Apelują o rezygnację z planów rozwoju żeglugi i utworzenie specjalnego programu badawczo-wdrożeniowego, który zająłby się nie tylko odtwarzaniem życia w Odrze, ale także zapobieganiem podobnym katastrofom na polskich rzekach. Proponują powołanie niezależnej grupy składającej się z naukowców, ekspertów i organizacji pozarządowych, która mogłaby zająć się wypracowaniem kierunków adaptacyjnej polityki wodnej w Polsce.

MK

Coraz łatwiej o drapieżne recenzje

Podczas ostatniego posiedzenia Uniwersyteckiej Komisji Nauki poświęconego drapieżnym czasopismom dr inż. Adam Sulich, profesor Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu, przedstawił przygotowany we współpracy z Agnieszką Dramińską z Biblioteki Głównej UEW referat na temat drapieżnych recenzji. Poniżej prezentujemy artykuł oparty na tym wystąpieniu.

Proces recenzowania przechodzi głęboki kryzys, a przecież stanowi on fundament rzetelnej działalności naukowej. Naukowcy poświęcają znaczną ilość czasu, aby dokonać eksperckiej oceny pracy innych badaczy. Jest to praca niewidoczna, wykonywana najczęściej pro bono, z rzadka wynagradzana i doceniana.

Na jakość publikacji wpływ mają m.in. recenzenci i przygotowywane przez nich oceny eksperckie (M. Kosmulski, 2022, *Recenzent też człowiek*, „Forum Akademickie” <https://forumakademickie.pl/wokolnauki/recenzent-tez-czlowiek/>). Niestety z różnych przyczyn dochodzi do przygotowania tzw. drapieżnych recenzji (A. Sulich, 2022, *Nierzetelny proces recenzyjny a drapieżne czasopisma*, <https://forumakademickie.pl/sprawy-nauki/nierzetelny-proces-recenzyjny-a-drapiezne-czasopisma/>). To właśnie one wpływają na postrzeganie i wiarygodność samego środowiska naukowego (M. Szpunar, 2020, *O (nie) rzetelnych recenzjach w nauce*, „Przegląd Pedagogiczny”, 1, 353–366). Są też dowodem nietucznych zachowań recenzentów, redaktorów i wydawców. Ich przyczyną jest wysoka konkurencyjność w środowisku naukowym, przybierająca znamiona patologii wskaźników mierzących naukową efektywność. Ten artykuł koncentruje się wokół recenzji publikacji naukowych, choć łatwo znaleźć analogiczne sytuacje w recenzjach postępowań awansowych. Recenzje stanowią gwarancję jakości publikowanych prac naukowych, dlatego tak ważną jest wiedza dotycząca drapieżnych recenzji i kształcenie naukowców w zakresie przygotowywania rzetelnych ocen eksperckich.

Wszystkie czasopisma naukowe borykają się z dużą liczbą nadsyłanych artykułów, a z drugiej strony z niedoborem ekspertów gotowych do podjęcia się wykonania rzetelnej i czasochłonnej recenzji naukowej. Czasopisma renomowane i posiadające IF otrzymują znacząco większą liczbę prac, niż te uznawane za lokalne, niszowe i pozbawione pożądaných wskaźników.

Coraz większa automatyzacja „produkcji” publikacji służy wydawcom z rosnącą liczbą nadsyłanych prac. Rola sztucznej inteligencji w recenzowaniu zaczyna się na etapie dopasowania artykułu do tematyki periodyku (ang. journal scope). Algorytmy sztucznej inteligencji decydują np. o akceptacji lub odrzuceniu pracy, informując o tym autora za pomocą maila. Wydawcy, chcąc utrzymać określone parametry indeksacji, mogą zatem ustalić pewne parametry, które są wprowadzane przez autorów, np. reprezentowana instytucja, kraj, płeć, lub są automatycznie zapisywane, np. wykonana uprzednio recenzja dla tego wydawcy. Zastosowanie pewnych kryteriów może budzić wątpliwości natury etycznej (G. Lewandowicz, *Jeśli nie MDPI, to co?*, „Forum Akademickie”, 5/2022), jednak jest praktykowane przez wszystkich wydawców, ponieważ w połączeniu z algorytmami sztucznej inteligencji pozwala m.in. na sprawdzenie podobieństwa tekstu (tzw. analiza antyplagiatowa) lub podnoszenie wartości IF periodyku. Do ujawnianych publicznie parametrów automatyzacji pracy nad tekstem należą np.: czas odpowiedzi na zgłoszenie, liczba artykułów odrzucanych lub przyjmowanych do dalszego procesu recenzji, średni czas całkowity oczekiwania na publikację. Proces recenzowania składa się z dwóch etapów. Pierwszy etap jest zautomatyzowany, drugi wymaga udziału ekspertów w danej dziedzinie.

Recenzenci nie tylko mają wpływ na treść publikacji, ale również na jej jakość. Są „strażnikami” nauki, ponieważ nie dopuszczają do publikowania treści pseudonaukowych, godzących w bezstronność,

prawdziwość i użyteczność nauki. Niektórzy wydawcy, pomimo deklaracji, nie stosują podwójnych ślepych recenzji (ang. double blind peer review) i zdarza się, że recenzenci znają tożsamość autorów recenzowanych prac (ang. single blind peer review).

Naukowcy poświęcają znaczącą ilość czasu na napisanie recenzji. W ciągu roku na świecie przygotowuje się ok. 14 mln recenzji prac naukowych, a średni czas pracy nad jedną recenzją to ok. 5 godzin (A. Severin, M. Strinzel, M. Egger, M. Domingo, T. Barros, 2021, *Characteristics of scholars who review for predatory and legitimate journals: Linkage study of Cabells Scholarly Analytics and Publons data*, *BMJ Open*, 11(7)). Naukowcy, podejmując się recenzowania pracy naukowej, mają możliwość poszerzenia własnej wiedzy, bowiem oceniają teksty odpowiadające ich zainteresowaniom naukowym.

Jedną z agresywnych praktyk publikacyjnych jest wymuszanie cytowań prac przez recenzenta lub wydawcę, ponieważ liczba cytowań przekłada się na indeks Hirscha i wpływa na wartość IF podawane przez bazę Journal Citation Reports (JCR) firmy Clarivate Analytics. Dlatego proces recenzji jest najważniejszym, ale i najbardziej manipulowanym etapem pracy nad publikacją. Recenzja przestała być uważana za niepodważalną świętość, symbol rzetelności i obiektywizmu naukowego. „W coraz bardziej opanowanym konkurencyjnością świecie uważa się, że związane z pracą naukową zabiegi [...] skutkują nieuczciwymi i bardzo krytycznymi recenzjami prac konkurencyjnych (a) [...] wiele niepokoju budzi stronniczość” (M. Szpunar, op. cit. s. 354).

Niektóre wydawnictwa, np. De Gruyter i MDPI, stworzyły system voucherów i zniżek, które umożliwiają pracownikom naukowcom/recenzentom publikowanie za darmo (G. Lewandowicz, op. cit.). Jest to model, z którym walczą wydawnictwa subskrypcyjne, ale one również pobierają wysokie opłaty za publikację w otwartym dostępie szybką ścieżką. Z drugiej strony systemy zniżkowe narażone są na nadużycia ze strony nieetycznych naukowców, masowo produkujących recenzje. Na etapie oceny artykułu/książki może dojść do szeregu nieetycznych zachowań, skutkujących przygotowaniem drapieżnej recenzji. Prowadzi to do publikowania tekstów obciążonych wadami, które godzą w prestiż periodyku i wydawcy.

Drapieżne recenzje pojawiają się najczęściej w trzech formach. Pierwszą jest... brak recenzji. W tym przypadku albo istnieje rzekomy zespół recenzentów, ale teksty nie są poddawane recenzji, albo recenzja ma charakter czysto formalny, a wtedy nawet jeśli recenzenci wskazują uchybienia, to ich recenzje nie mają wpływu na ostateczną jakość artykułu. O ten typ nierzetelnej recenzji łatwiej w czasopismach drapieżnych, które opublikują każdy tekst w zamian za pieniądze. Czasopisma drapieżne przyjmują prace odrzucone przez innych wydawców.

Drugim typem drapieżnej recenzji jest szybka pobeżna recenzja, która skupia się na wyglądzie i układzie artykułu, czyli aspektach edytorskich lub językowych tekstu, a nie na treści naukowej. W pobeżnej recenzji formułowane są stwierdzenia ogólne (np. zaleca się skrócić lub rozszerzyć treść), z których autor nie może skorzystać, dokonując korekty tekstu.

Trzecim typem recenzji drapieżnej jest powtarzalny szablon, który nierzetelny recenzent kopiuje, zwracając uwagę m.in. na: nieodpowiedni dobór literatury, niejasny cel, złą hipotezę, niewłaściwe metody, ubogie wyniki i wnioski, niezgodność z tematyką czasopisma lub książki.

Taka recenzja przybiera rozbudowaną formę, sugerując pozory rzetelności. Schematyczność jest jednym z przejawów kryzysu procesu recenzji. Drapieżni recenzenci mogą formułować sprzeczne uwagi i zalecenia co do poprawek, skłaniać redaktorów do wielokrotnych recenzji, co przedłuża proces publikowania (M. Kosmulski, op. cit.).

W bazie Publons zbierane są informacje o zatwierdzonych i zweryfikowanych przez wydawców recenzjach. Celem powstania tego portalu było przyspieszenie prac recenzentów oraz publiczne docenienie ich pracy (A. Severin et al., op. cit.). Wykazano również, że „autorzy publikujący w czasopiśmie drapieżnych często wykonują recenzje dla tych czasopism” (A. Severin et al., op. cit.). Na podstawie ogólnodostępnych danych można dokonać identyfikacji drapieżnych naukowców, to jest takich, którzy przygotowują drapieżne recenzje. Rekordziści wykonują nawet 4 recenzje dziennie, a sami posiadają indeks Hirsha powyżej 40 i często rekordowe cytowania. Analiza bazy Publons wykazuje, że najwięcej recenzji przygotowali drapieżni recenzenci dla największych wydawnictw (Tabela 1).

Tabela 1. Lista 10 wydawnictw, dla których recenzje przygotowali drapieżni recenzenci

Wydawnictwo	Recenzje drapieżnych recenzentów [%]
Elsevier	23,46
Springer Nature	21,54
IEEE	16,49
MDPI	9,03
Wiley	4,06
Taylor i Francis Group	3,39
Hindawi Publishing Group	2,30
SAGE Publications	1,16
Inst. Engineering Technology-IET	1,13
IOS Press	0,99

Na podstawie analizy cytowań za pomocą darmowego programu VOSviewer można dokonać identyfikacji nieetycznych działań wśród autorów i recenzentów. Czasopisma drapieżne ucą pisanie drapieżnych recenzji, wymuszając szybkie i pobieżne oceny lub używanie szablonów. Z drapieżnymi recenzjami można spotkać się również

w uznanych periodykach. Autorzy publikacji w renomowanych czasopiśmie wykonują recenzje dla czasopism drapieżnych, ale ukrywają je w Publons. Program VOSviewer za pomocą map bibliometrycznych może zostać wykorzystany do odkrywania tzw. spółdzielni cytowań, sprzężeń bibliograficznych (ang. bibliographic coupling) lub szybkich zmian tematów publikacji drapieżnego recenzenta/autora (J.L. Ortega, *Exploratory analysis of Publons metrics and their relationship with bibliometric and altmetric impact*, „Aslib Journal of Information Management”, 71(1)/2019, 124–136).

Rysunek 1 przedstawia analizę cytowań źródła, tj. prac zidentyfikowanego drapieżnego naukowca, który recenzując w latach 2017-2022 dla określonych czasopism, żądał cytowań od innych autorów. W podejrzewanych o drapieżne zachowania czasopiśmie łatwiej o drapieżną recenzję. W programie można dokonać analizy sprzężeń bibliograficznych cytowań, które mogą oznaczać wymaganie cytowań prac z określonego zbioru, np. czasopism lub materiałów konferencyjnych tego samego wydawcy.

Strategie publikacyjne młodych naukowców mogą obejmować publikowanie w otwartym dostępie (ang. open access) nawet w czasopiśmie podejrzanych o praktyki drapieżne, ponieważ zwiększają one rozpoznawalność i liczbę cytowań, co jest ważne na początku kariery naukowej (A. Severin et al., op. cit.). Czasopisma renomowane nie mają mechanizmów chroniących przed drapieżnymi recenzjami, a autorzy w takiej sytuacji są bezsilni, ponieważ od decyzji recenzentów zależy los ich publikacji. Redaktorzy najczęściej polegają na opinii recenzenta.

Naukowcy żyją w kulturze „publikuj albo gin” (publish or perish), która jest przyczyną nieetycznych zachowań, dlatego wyzwaniem jest trening recenzentów i podnoszenie ich kwalifikacji. Jednak w szkołach doktorskich kształcenie w zakresie przygotowania recenzji i odpowiedzi na recenzję nie jest standardem. Wbrew pozorom napisanie rzetelnej recenzji jest tak samo trudne jak pozostałych tekstów naukowych (M. Mazur, *(Nie)recenzenci i (nie)recenzje*, „Forum Akademickie” 9/2017). Dlatego tak ważnym elementem jest kształcenie ustawiczne pracowników naukowych w zakresie przygotowania rzetelnej recenzji i wzrost świadomości możliwości weryfikacji różnych zachowań nietycznych za pomocą ogólnodostępnych baz oraz darmowych programów bibliometrycznych.

Artykuł powstał w ramach projektu Erasmus+ Capacity Building in Higher Education – „OPTIMA: Open Practices, Transparency and Integrity for Modern Academia”.

Organizator: PCG Academia | UNIWERSYTET WARSZAWSKI

KONFERENCJA

Rola bibliotek i działów nauki w cyfrowej transformacji uczelni i skutecznym zarządzaniu informacją naukową

Uniwerytet Warszawski
ul. Dobra 55, Warszawa

18 października 2022

ZAPISZ SIĘ →

Subwencja rośnie, ale nie wystarcza

W poprzednich dwóch numerach „Forum Akademickiego” obszernie informowaliśmy o wysokości tegorocznej subwencji dla uczelni podlegających MEiN. Na zlecenie KRASP dr hab. J. Kaczmarek z Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie przeprowadził analizę zmian podstaw finansowych funkcjonowania uczelni w 2022 roku. Swoim zakresem objęła ona subwencję na utrzymanie potencjału dydaktycznego i badawczego oraz koszty operacyjne i rodzajowe. Dane pochodzą z ankiet przesłanych przez uczelnie. Autor analizuje dane z uczelni publicznych, ale także w podziale na uczelnie badawcze (laureatki konkursu IDUB), artystyczne, medyczne oraz pozostałe publiczne.

Subwencja wzrosła w tym roku o 72 mln zł, tj. o pół procenta. Co dziesiąta uczelnia otrzyma niższą subwencję o co najmniej 8,7 mln zł i taki sam odsetek dostanie subwencję wyższą o co najmniej 8,5 mln zł. Autor zestawienia podaje, że największy bezwzględny jednostkowy przyrost wyniesie 39,9 mln zł, zaś spadek 25,1 mln zł, czyli odpowiednio: 20% i –13%.

Biorąc pod uwagę poszczególne grupy szkół wyższych, wzrost subwencji dotyczy uczelni publicznych, które otrzymają o 117,8 mln zł więcej (+1,9%), oraz legitymujących się statusem IDUB, na których konta wpłynie więcej o 45,9 mln zł (+0,9%). Spadek zanotują uczelnie medyczne i artystyczne. Te pierwsze dostaną mniej o 3,2%, drugie o 2%.

Jak przewidują rektorzy, w tym roku znacznie wzrosną koszty operacyjne działania uczelni. Z ankiet wynika, że będzie to skok o 2 800,8 mln zł, tj. o 13,4%. Przy czym 10% uczelni wykaże koszty wyższe o co najmniej 1,2 mln zł i również 10% będzie musiało wygospodarować na ten cel przynajmniej 91 mln zł więcej niż dotąd. W jednostkowym ujęciu największy bezwzględny przyrost kosztów operacyjnych wyniesie 279,6 mln zł, zaś spadek – 7,5 mln zł, czyli odpowiednio 33% oraz –6,3%.

Zmianę najbardziej odczuwają uczelnie badawcze, które wydadzą na koszty operacyjne o 17,1% więcej. Wzrost o 14,4% czeka uczelnie medyczne, a o 12,3% uczelnie publiczne. Więcej, ale tylko o 4,5%, wydadzą uczelnie artystyczne. Dr hab. J. Kaczmarek wyliczył, że w ujęciu rodzajowym wzrost udziału kosztów dotyczy każdej kategorii z wyjątkiem kosztów pracy (wynagrodzenia oraz ubezpieczenia społeczne i inne). Dla materiałów i energii zmiana ta wyniesie: z 7,1% do 8,4% (mediana), dla usług obcych: z 8,3% do 9,6%, dla podatków i opłat: z 0,2% do 0,21%, dla pozostałych kosztów: z 2,2% do 3,0%, a dla kosztów pracy: z 77,7% do 73,7%. Oznacza to, że skutki wzrostu kosztów rodzajowych zostaną zrekompensovane dzięki relatywnie najmniejszemu wzrostowi kosztów pracy. Te ostatnie wzrosną bowiem o 7,1%, natomiast materiały i energia o 36%, usługi obce o 25,3%, podatki i opłaty o 8,8% oraz pozostałe koszty o 30,9%.

Najbardziej zmiany te dotkną uczelnie publiczne, które będą musiały wydać o 47,6% więcej na materiały i energię, o 31% na usługi zewnętrzne oraz o 17,7% na podatki i opłaty. W pozostałych trzech kategoriach kosztów większe wydatki czekają uczelnie badawcze: wynagrodzenia (+8,4%), ubezpieczenia społeczne i inne (+14,1%), pozostałe koszty (+99,9%). W uczelniach medycznych i artystycznych, nie licząc „pozostałych kosztów”, największy przyrost dotyczy podatków i opłat (odpowiednio +42,6% i +11,7%).

Niewspółmierny do środków otrzymanych z MEiN wzrost kosztów operacyjnych pociągnie za sobą zmniejszenie pokrycia ich subwencją: z 66,7% w 2021 r. do 59,1% w 2022 roku, tj. o 11,4%. Podobnie będzie w przypadku kosztów pracy, gdzie stopień ten zmniejszy się z 90,7% w ub.r. do 85,1% w obecnym, tj. o 6,2%. Jak zauważono w analizie,

w 2021 r. prawie co trzecia uczelnia pokrywała koszty pracy z subwencji państwowej. Teraz będzie sobie mogła na to pozwolić już tylko co piąta.

Największe pokrycie kosztów operacyjnych i kosztów pracy przez subwencję będzie miało miejsce w uczelniach medycznych (odpowiednio 67,2% i 94,3%). To podobnie jak rok temu, przy czym wartości w obu relacjach wyraźnie się zmniejszyły (79,4% i 104,1%). Nie tak bardzo jednak, jak w pozostałych uczelniach publicznych, gdzie stopień pokrycia kosztów operacyjnych obniżył się aż o 21,7% – do 56,6%, oraz w grupie IDUB, w której pokrycie subwencją kosztów pracy spadło o 8% – do 83,6%.

Subwencja nadal pozostanie głównym źródłem przychodu uczelni, ale jej udział (mediana) zmaleje w tym roku z 76,2% do 72,8% (o 13,1%). W 10% placówek subwencja w przychodach z działalności nie przekroczy 56,8%, a najniższy poziom wyniesie 20,6%. Również w co dziesiątej udział ten będzie wyższy niż 87,2%, a w jednostkowym przypadku dojdzie do 95,4%. Największy udział subwencji w przychodach odnotują uczelnie artystyczne (83%). Ze zgrupowanych przez KRASP ankiet wynika, że spadną także przychody edukacyjne (z 5,3% do 4,9%). Za to wzrost przewidziany jest w przychodach z grantów i projektów (z 7,6% do 10,0%). W tej kategorii, co zrozumiałe, błyskają uczelnie badawcze, w których środki z tego źródła stanowią aż 19,1% przychodów. Rektorzy nie prognozują zwiększenia udziału przychodów z działalności komercyjnej i gospodarczej (pozostanie na poziomie 1,7%).

Liczą się za to ze wzrostem kosztów mediów w bieżącym roku. Spodziewają się słonych rachunków, wyższych nawet o połowę od obecnych (mediana 44,9%). Nie jest zaskoczeniem, że najwięcej pochłonie energia elektryczna (wzrost o 97,3%). W przypadku gazu będzie to więcej o 47%, wody i ścieków o 23,7%, odbioru odpadów o 19,1%, a centralnego ogrzewania o 12,4%. Przewidywany bezwzględny wzrost kosztu mediów w 2022 roku może wynieść 424,1 mln zł, a ich udział w ogólnych wydatkach uczelni stanowić będzie 5,6% (w tym energii elektrycznej 2,6%, a centralnego ogrzewania 2,0%). W co dziesiątej uczelni media podrożeją aż o 128,5%. Analiza danych wskazuje, że koszt energii elektrycznej w największym stopniu wzrosła w uczelniach publicznych (103,4%), gazu w badawczych (121,7%), zaś centralnego ogrzewania oraz wody i ścieków w medycznych (odpowiednio 26,4% i 53,6%).

Również w przyszłym roku uczelnie czeka zaciskanie pasa. Koszty mediów mają wzrosnąć o 19,4%, tj. o 228,7 mln zł. Szacunki te nie uwzględniają mającego nastąpić wzrostu taryf, a złożone wnioski dystrybutorów energii elektrycznej wskazują 300% wzrost cen. Jeśli dodać do tego spodziewany wzrost kosztów utrzymania czystości w obiektach (o 114,6 mln zł, tj. o 8,1%) oraz ochrony obiektów (o 106,0 mln zł, tj. o 10,9%), wychodzi, że na media trzeba będzie wygospodarować więcej aż o 644,7 mln zł. Dlatego „niezbędne jest zapewnienie przez Ministerstwo Edukacji i Nauki wzrostu subwencji w stopniu równoważnym do tempa wzrostu kosztów operacyjnych uczelni, co powinno uchronić sektor szkolnictwa wyższego przed zapaścią i wystąpieniem ostrego kryzysu”, podsumowuje swoją analizę dr hab. J. Kaczmarek.

Dane dotyczące subwencji oraz kosztów operacyjnych i rodzajowych pochodzą z ankiet z 82 uczelni, w tym m.in. 9 IDUB, 39 publicznych, 6 medycznych i 22 artystyczne. Z kolei analiza subwencji oraz kosztów mediów i obsługi obejmuje 97 uczelni, w tym m.in. 9 IDUB, 40 innych publicznych, 6 medycznych i 20 artystycznych.

Jaka polityka naukowa?

W lipcu rząd przyjął Politykę Naukową Państwa. Obowiązek jej przygotowania wynika z ustawy PWSN i spoczywa na Ministerstwie Edukacji i Nauki. Prace nad dokumentem wskazującym priorytety w zakresie funkcjonowania systemu szkolnictwa wyższego i nauki rozpoczęto jeszcze za kadencji ministra Jarosława Gowina. Ostateczna wersja oparta jest w dużej mierze na projekcie, który pojawił się w końcu 2020 roku.

Odnosząc się do potencjału instytucjonalnego sektora, wskazano na potrzebę udoskonalenia jego struktury tak, aby odpowiadała ona na pojawiające się wyzwania, np. zmiany w wielkości populacji studentów czy konieczność zrównoważonego rozwoju regionalnego. Perłę w koronie powinny stanowić uczelnie badawcze potrafiące konkurować z najlepszymi ośrodkami zagranicznymi i przyciągać do siebie wybitnych naukowców. Zarówno one, jak też uczelnie akademickie i zawodowe, mają zapewniony szeroki zakres autonomii i mogą samodzielnie kształtować swoją strukturę. Rozproszone, często wąskoprofilowe jednostki, nierzadko działające w bliskim sąsiedztwie, mają zostać skonsolidowane, co w efekcie doprowadzi do poprawy ich poziomu, zarówno dydaktycznego, jak i naukowego. Usystematyzowania i uelastycznienia wymaga, zdaniem autorów dokumentu, wsparcie tzw. wysp doskonałości, jak np. Centrów Dioscuri czy Międzynarodowych Agend Badawczych.

Tworzenie warunków do realizacji ambitnych projektów badawczych ma być podstawowym celem rządu. Doskonałość naukowa powinna stanowić jedną z najważniejszych wartości dla agencji grantowych. Oprócz finansowania badań ich główne zadanie to wsparcie współpracy międzynarodowej i tym samym zwiększanie wpływu polskich badaczy na światowy obieg nauki. Agencjom przypada także szczególna rola w promowaniu badań interdyscyplinarnych, które są niezbędne do tworzenia przełomowych innowacji. W tym procesie muszą one uwzględniać również nauki humanistyczne, społeczne i teologiczne. PNP nie pomija otwartego dostępu do publikacji naukowych i otwierania danych badawczych. Zaakcentowano rosnące znaczenie trzeciego elementu otwartej nauki – tzw. nauki obywatelskiej (więcej o tym w artykule *Komunikacja w nowych czasach* na str. 28).

Dużo miejsca poświęcono pracownikom naukowym. Autorzy dostrzegają ubytek młodej, wykwalifikowanej kadry i proponują jako antidotum zwiększenie liczby przyznawanych w Polsce doktoratów. Musi jednak za tym iść także wsparcie materialne doktorantów, zdysersyfikowanie programów kształcenia w szkołach doktorskich i ukierunkowanie ich na prowadzenie badań oraz wzrost umiędzynarodowienia. Nie bez znaczenia są także mechanizmy umożliwiające tworzenie miejsc pracy dla postdoków. W orbicie zainteresowania decydentów pozostaje także szybsze uzyskiwanie samodzielności naukowej, która – jak podkreślono – nie może być utożsamiana z faktem posiadania habilitacji, a bardziej ze zdolnością do samodzielnego prowadzenia i kierowania działalnością naukową. Sam proces nadawania stopni i tytułów musi być jak najbardziej przejrzysty, a jego zwieńczenie powinno być wyłącznie następstwem uczciwej i transparentnej oceny działalności naukowej. Aby nie ograniczać mobilności badaczy, system awansu należy skorelować z rozwiązaniami zagranicznymi. Niezbędne jest przy tym wypracowanie ścieżek kariery dla osób, które skupiają się na prowadzeniu dydaktyki, działalności klinicznej, wdrożeniowej, szeroko pojętej współpracy z podmiotami otoczenia społeczno-gospodarczego.

Ta ostatnia, jak można wywnioskować z PNP, będzie w najbliższym czasie coraz bardziej intensyfikowana. Dlatego dokument sugeruje wdrożenie lub usprawnienie mechanizmów finansowania badań prowadzonych wspólnie przez podmioty przemysłowe i sektor szkolnictwa wyższego i nauki. Należy zmodernizować metodę tworzenia strategicznych programów w ten sposób, aby uwzględniały nie tylko

aktualne, ale także przewidywane potrzeby gospodarki i społeczeństwa. Autorzy dokumentu zwracają uwagę, że również dzięki wprowadzonym w ostatnich latach rozwiązaniom instytucjonalnym (Sieć Badawcza Łukasiewicz) i programowym (doktoraty wdrożeniowe) zmienił się sposób myślenia o innowacjach. Obok absorpcji gotowych technologii, przedsiębiorstwa coraz wyraźniej dostrzegają potrzebę opracowywania własnych rozwiązań, w tym opartych na wynikach prac B+R i budowania na nich przewagi konkurencyjnej. To szansa dla polskiej nauki.

Priorytetowo w PNP potraktowano także udział Polski w rozwoju globalnym. Miałyby temu służyć m.in. większe otwarcie na badaczy z zagranicy. W tym kontekście korzystne wydaje się stworzenie systemu preferencyjnego w postaci odrębnej ścieżki wizowej oraz systemu ułatwień w pozyskiwaniu prawa do pobytu. Ograniczeniu zjawiska „wtórnego drenażu mózgów” sprzyjałoby zbalansowanie przepływów naukowców pomiędzy państwami, zwiększenie atrakcyjności oferty w zakresie mobilności, a także inwestowanie w nowoczesną infrastrukturę, która – obok wynagrodzenia – stanowi dla badaczy istotny impuls do zmiany miejsca pracy. Do tego trzeba dodać tworzenie studiów o Polsce (Polish studies) na zagranicznych uczelniach, a także stanowisk radców ds. współpracy naukowej w kluczowych placówkach dyplomatycznych. W kraju uczelnie powinny przystąpić do opracowania strategii umiędzynarodowienia. Jednym z jej kluczowych elementów jest program uniwersytetów europejskich.

W zakresie innego priorytetu – zmian klimatycznych – dokument przyjęty przez Radę Ministrów podkreśla znaczenie odpowiedzialnej polityki naukowej. Jej zadanie polega na efektywnej ochronie różnorodności biologicznej przy zachowaniu zasad zrównoważonego rozwoju. Wyzwanie stanowi zwiększenie efektywności energetycznej w przemyśle i budownictwie, a także rozwój technologii w takich obszarach, jak magazynowanie energii, inteligentne sieci energetyczne, transport niskoemisyjny, energetyka jądrowa czy wykorzystanie wodoru jako nośnika energii.

W obszarze technologii cyfrowych zapowiedziano tworzenie specjalistycznych studiów m.in. dla programistów, architektów oprogramowania, administratorów systemów, analityków danych, pentesterów (penetration tester) i bioinformatyków. Wsparciem ma być objęte również kształcenie w zakresie kompetencji cyfrowych. Większy akcent zostanie położony na badania udoskonalające systemy sztucznej inteligencji i Internetu Rzeczy. Flagowym obszarem mają szansę stać się technologie kwantowe.

W 52-stronicowym dokumencie nie pominięto nauk humanistycznych i społecznych. Podkreślono znaczenie badań skoncentrowanych na dziedzictwie narodowym, regionalnym i lokalnym. Za jedno z najważniejszych działań uznano wzmocnienie infrastruktury informacyjnej służącej do przechowywania, integracji i udostępniania zasobów kultury i nauki, w tym cyfrowych zasobów muzealnych, bibliotecznych, audiowizualnych, zabytkowych i archiwalnych. Równoległe ma być prowadzona digitalizacja wyników badań w tych obszarach.

Ostatnim tematem ujętym w PNP jest obronność i bezpieczeństwo. Chodzi o dostarczanie wiedzy, narzędzi, technologii oraz wyszkolonych kadr w dążeniu do niezależności technologicznej przez stworzenie polskiego „know-how”. Służyć ma temu stworzenie mechanizmu ułatwiającego nawiązywanie współpracy (w tym konsorcjów) uczelni cywilnych, wojskowych, służb państwowych i inne podmiotów naukowo-badawczych. Ważne jest także zwiększenie współpracy samych uczelni cywilnych z wojskiem i służbami odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo i porządek publiczny.

MK

Bez radykalnych zmian

Pejzaż nauki polskiej, jaki wyłania się z przeprowadzonej w pierwszej połowie roku ewaluacji i kategoryzacji podmiotów w dyscyplinach nauki, jest zbliżony do tego, jaki pokazały dwie poprzednie ewaluacje.

Z końcem lipca zostały przyznane kategorie naukowe podmiotom podlegającym ewaluacji w dyscyplinach nauki i sztuki. Komisja Ewaluacji Nauki przekazała wyniki swoich prac Ministrowi Edukacji i Nauki 15 czerwca br. Warto podkreślić ekspresowe tempo wykonania prac, które zakończyły się do połowy czerwca, podczas gdy w poprzednich ewaluacjach i kategoryzacjach prace trwały praktycznie do końca września. Tak szybkie wykonanie zadań było możliwe dzięki znakomitej współpracy Komisji Ewaluacji Nauki z Departamentem Nauki w MEiN oraz Ośrodkiem Przetwarzania Informacji – Państwowym Instytutem Badawczym, którego rola w pozyskiwaniu i katalogowaniu danych była kluczowa. Warto zauważyć, iż praca ekspertów Komisji odbywała się w Zintegrowanym Systemie Informacji o Szkolnictwie Wyższym i Nauce POL-on, w dedykowanym ewaluacji module SEDN opracowanym przez OPI, dzięki któremu możliwe było wykonanie dużej liczby operacji w relatywnie krótkim czasie.

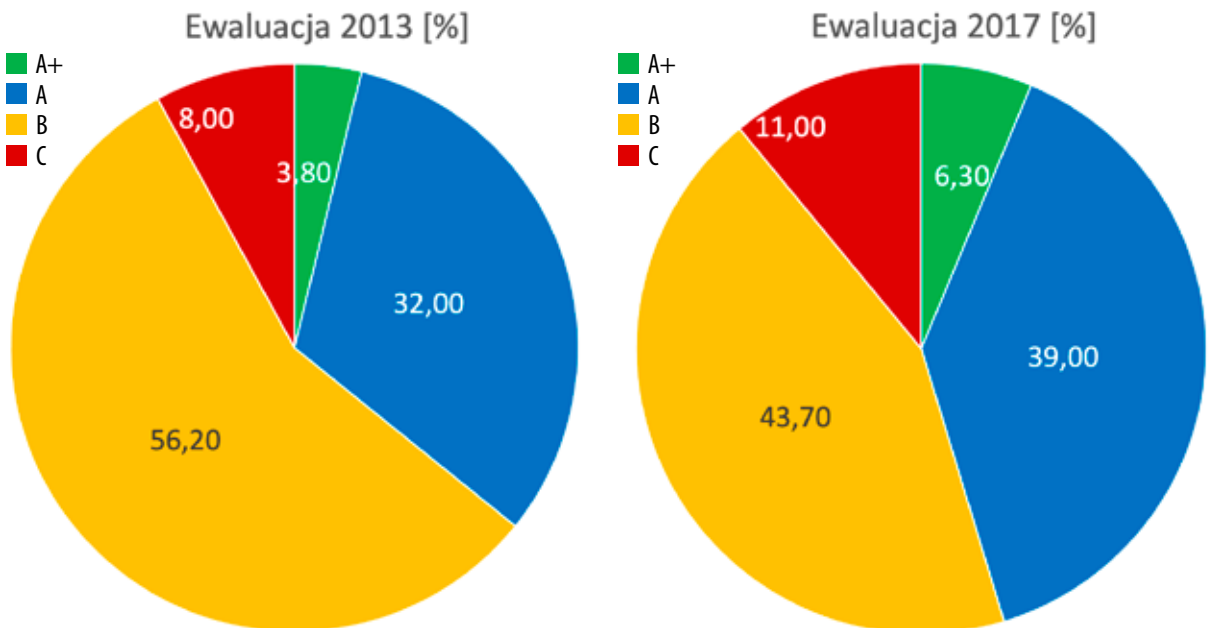
Krótką historia ewaluacji

Historia ewaluacji i kategoryzacji podmiotów naukowych w Polsce sięga lat 90. ubiegłego wieku. Rozwój systemu ewaluacji miał charakter ewolucyjny do roku 2013, kiedy wprowadzono ocenę wielokryterialną, polegającą na przyjęciu czterech kryteriów, w których osiągnięcia podmiotu były porównywane z wartościami referencyjnymi. Przyjęcie systemu wielokryterialnego odpowiadało ówczesnym trendom w tym obszarze w Europie i poza nią. Warto zauważyć, że ewaluacja wielokryterialna istnieje do dnia dzisiejszego w takich krajach, jak Francja, Wielka Brytania, Włochy czy Holandia, a poza Europą np. w Australii. Chodzi o to, aby osiągnięcia podmiotów prowadzących badania naukowe umieścić we właściwych koszykach, zważyć i porównać z odpowiednimi wartościami referencyjnymi, przyjętymi po uprzedniej analizie osiągnięć wszystkich podmiotów w danej dyscyplinie nauki. Obiektywizacja tego procesu polega na algorytmicznym przyjęciu dwóch układów odniesienia: wewnętrznego, związanego z osiągnięciami podmiotów w danej grupie wspól-

nej oceny (dyscyplinie), oraz zewnętrznego, związanego z pozycją nauki polskiej na arenie międzynarodowej, mierzoną za pomocą bazy danych o zasięgu światowym. Obydwa układy odniesienia pozwalają wyznaczyć właściwe wartości referencyjne dla poszczególnych dyscyplin nauki i dokonać porównania osiągnięć podmiotów z wartościami progowymi do poszczególnych kategorii. Warto zauważyć, że po roku 2013 zrezygnowano z algorytmu porównania parami, który okazał się mało transparentny i budził liczne protesty środowisk akademickich i naukowych w Polsce.

Natomiast po doświadczeniach roku 2017 wystąpiły dalsze istotne zmiany zmierzające w kierunku uproszczenia systemu ewaluacji, z których najważniejsza polega na przejściu od ewaluacji jednostek naukowych (wydziałów, instytutów PAN, instytutów badawczych, jednostek innych) do ewaluacji grup naukowców reprezentujących w podmiocie różne dyscypliny nauki. To oznacza rezygnację z ewaluacji jednostek organizacyjnych na rzecz ewaluacji tzw. podmioto-dyscyplin, co całkowicie zmienia optykę tego skomplikowanego procesu. Przede wszystkim ewaluacja jest adresowana do tych, którzy na co dzień zajmują się badaniami naukowymi, a więc do grup naukowców, którzy mogą być zatrudnieni w różnych jednostkach organizacyjnych, ale reprezentują tę samą dyscyplinę nauki. To oznacza, iż odpowiedzialność za przygotowanie podmiotu do ewaluacji została przeniesiona ze szczebla jednostek organizacyjnych (wydziałów) na szczebel zarządzania całym podmiotem (uczelnia, instytutem, etc.). Ewaluacja podmioto-dyscyplin usunęła jeden z najtrudniejszych aspektów ewaluacji roku 2017, jakim była ocena tzw. niejednorodnych jednostek naukowych. Okazało się bowiem, że jednostki organizacyjne (np. wydziały) reprezentowały liczne dyscypliny, dziedziny, a nawet obszary nauki, co powodowało istotną trudność w ocenie tak heterogenicznych podmiotów. Z uwagi na fakt, iż – zgodnie z ustawą Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce – przyznana kategoria ma wpływ na uprawnienia w zakresie doktryzowania i habilitowania, należało usunąć z listy kryteriów ówczesne kryterium K2, które odnosiło się do historii rozwoju jednostki nauko-

Wykres 1



wej, pozyskanych uprawnień do nadawania stopni naukowych oraz przyznanych naukowcom stopni i tytułów naukowych. Tak więc ostatecznie pojawiły się 3 kryteria, które stanowiły podstawę do oceny przeprowadzonej w roku 2021.

Ewolucja wielokryterialnego systemu ewaluacji i kategoryzacji ma zatem wymiar nie tylko historyczny, ale wskazuje na próbę znaczącego unowocześnienia tego procesu, zgodnie z obowiązującymi trendami w Europie i na świecie oraz nadania mu większego znaczenia z punktu widzenia rozwoju jednostek naukowych. Ewaluacja podmiotów w dyscyplinach nauki jest więc prawdziwym instrumentem polityki naukowej państwa.

Ewaluacje 2013, 2017, 2022

Warto zatem najpierw przyjrzeć się wynikom ewaluacji w ujęciu ogólnym, a następnie bardziej szczegółowym, odnoszącym się do kontekstu dziedzinowego lub dyscyplinowego. W pierwszym rzędzie należy zauważyć, że wyniki obecnej ewaluacji nie odbiegają znacząco od wyników poprzednich (patrz: Wykres 1 i Tabela 1).

Tabela 1

Kategoria	Edycja 2013 [%]	Edycja 2017 [%]	Edycja 2022 [%]
A+	3,8	6,3	5,68
A	32,0	39,0	28,21
B+	-	-	50,83
B	56,2	43,7	12,14
C	8,0	11,0	3,14

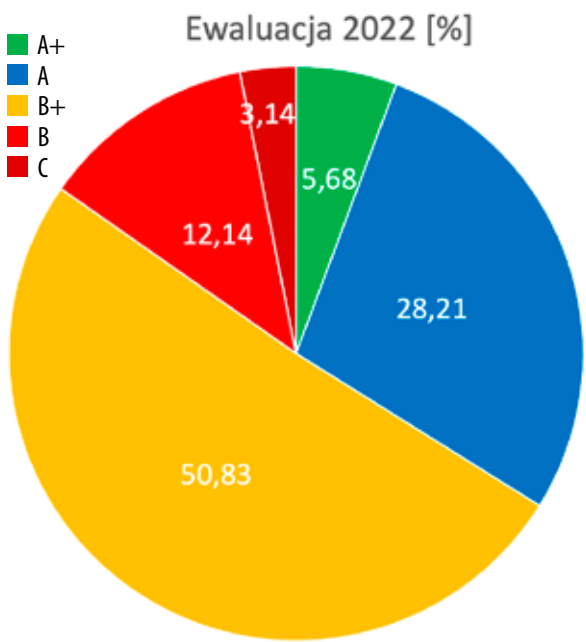
Nadal bowiem największy odsetek podmiotów znajduje się w kategorii B+, która w pewnej mierze przejęła funkcję dawnej kategorii B. Aktualna kategoria B pełni natomiast funkcję przedsiönka prowadzącego w przyszłości do uzyskania uprawnień w zakresie doktryzowania i habilitowania, ale wymaga to dodatkowego wysiłku i mobilizacji ze strony podmioto-dyscyplin, które ją otrzymały. Kategoria C zmalała do poziomu 3,14% co oznacza, że liczba krytycznie słabych grup badaczy jest stosunkowo niewielka. Zasadniczy wniosek, który można wyprowadzić z aktualnej edycji ewaluacji i kategoryzacji, jest jednak taki, iż około 84,7% podmioto-dyscyplin utrzymało lub uzyskało uprawnienia. Zostały zachowane 783 posiadane dotychczas uprawnienia, w 60

przypadkach doszło do utraty uprawnień (w tym zawarte są 43 przypadki uprawnień wykorzystywanych do kształcenia w szkołach doktorskich), natomiast w 182 przypadkach uzyskano nowe uprawnienia. Wynik ten wskazuje na spory potencjał, który reprezentują podmioty akademickie i naukowe w Polsce. Oznacza to także, iż wszędzie tam, gdzie powstały nowe grupy naukowców skupione wokół danej dyscypliny nauki, które utrzymały swoją liczebność w okresie 5 lat podlegających ewaluacji i uzyskały dobry wynik w poszczególnych kryteriach, istnieje spora szansa na wykreowanie prawdziwej szkoły naukowej dzięki pozyskanym uprawnieniom. Tej szansy nie wolno przeoczyć, ponieważ otwiera możliwość powstania w podmiocie silnego bieguna kompetencji w danej dyscyplinie nauki.

Kategoria A+

Warto wreszcie podkreślić mocną pozycję podmiotów, które uzyskały kategorię A+. Komisja – zgodnie z zapisami rozporządzenia w sprawie ewaluacji jakości działalności naukowej – ustaliła w każdej dyscyplinie nauki i sztuki próg procentowy służący do wyłonienia kandydatów do kategorii A+. Wartość progu procentowego dla każdej z dyscyplin uzależniono od pozycji nauki polskiej w danej dyscyplinie na arenie międzynarodowej. Podmioty, które otrzymały w danej dyscyplinie kategorię A i uzyskały w kryterium K1 wynik wyższy aniżeli ustalony przez Komisję próg procentowy, zostały poddane dodatkowej ocenie eksperckiej. Dokołało jej dwóch ekspertów, w tym jeden pochodzący ze znaczącego zagranicznego ośrodka naukowego. Ocenili oni łącznie 175 wyłonionych przednio podmioto-dyscyplin. Komisja przyjęła, iż warunkiem koniecznym udzielenia rekomendacji w zakresie kategorii A+ jest uzyskanie przez podmioto-dyscyplinę dwóch pozytywnych opinii, wydanych odpowiednio przez eksperta polskiego oraz eksperta zagranicznego. Nie negując faktu, iż wśród podmiotów, które uzyskały jedną opinię ekspercką pozytywną, a drugą negatywną, znajdują się podmioty zasługujące na kategorię A+, Komisja przyjęła jednak zasadę, że rekomendacja nie budząca wątpliwości to taka, kiedy obydwie opinie są pozytywne. Komisja Ewaluacji Nauki, po przeanalizowaniu wyników oceny eksperckiej, wskazała 40 podmiotów, które jej zdaniem na ten najwyższy emblemat zasługują. Minister poszerzył tę listę o kolejnych 25 podmioto-dyscyplin, tak więc ostatecznie kategorię A+ uzyskało 65 podmioto-dyscyplin. Ten wynik również nie odbiega od wcześniejszych ewaluacji i kategoryzacji podmiotów, co pozwala sądzić (na podstawie rekomendacji Komisji), iż co najmniej 3,5% podmioto-dyscyplin w Polsce reprezentuje poziom pozwalający nawiązać do poziomu naukowego znaczących ośrodków zagranicznych.

Pośród podmiotów rekomendowanych przez KEN do kategorii A+, największa grupa reprezentuje uniwersytety (20 podmioto-dyscyplin), a nieco mniejsza instytuty PAN (11 podmioto-dyscyplin). Politechniki zyskały 4 rekomendacje, podobnie jak akademie, natomiast 1 rekomendacja przypadła w udziale instytutowi międzynarodowemu (Wykres 2).



Wykres 2

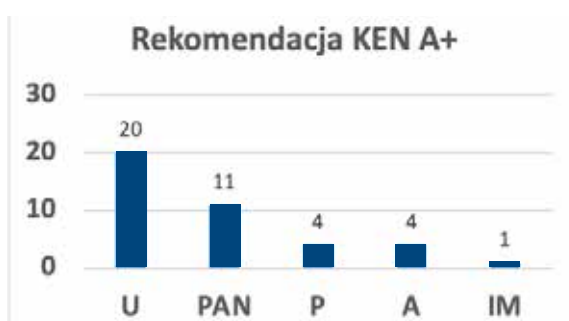


Tabela 3

Dziedzina	A+	A	B+	B	C
Nauki humanistyczne	4,40%	37,11%	47,17%	10,69%	0,63%
Nauki inżynierjno-techniczne	2,46%	30,74%	51,64%	12,30%	2,87%
Nauki medyczne i nauki o zdrowiu	2,83%	34,91%	49,06%	8,49%	4,72%
Nauki rolnicze	14,52%	29,03%	48,39%	6,45%	1,61%
Nauki społeczne	4,32%	18,83%	56,79%	15,74%	4,32%
Nauki ścisłe i przyrodnicze	10,81%	25,41%	51,35%	9,19%	3,24%
Nauki teologiczne	8,33%	50,00%	41,67%	0,00%	0,00%
Sztuka	9,43%	37,74%	28,30%	20,75%	3,77%

Powyższy rozkład wskazuje na intensywną współpracę między narodową prowadzoną przez uniwersytety i instytuty PAN, co nie jest zaskoczeniem, a znajduje swoje odzwierciedlenie we współautorskim procesie publikacyjnym.

Wpływ liczby N

Innym problemem, który budził wątpliwości w trakcie licznych dyskusji na temat wyników ewaluacji, był wpływ liczby N na możliwość osiągnięcia sukcesu. Istniało bowiem przekonanie, że mała liczba N gwarantuje sukces i możliwość uzyskania wyższej kategorii. Tak się jednak nie stało, o czym świadczy statystyka zestawiona w Tabeli 2.

Tabela 2

	N < 12	12 ≤ N < 20	20 ≤ N < 50	50 ≤ N < 100	N ≥ 100
A+	0	5	15	26	19
A	20	60	112	81	50
B+	21	117	212	122	110
B	12	58	58	10	1
C	12	16	6	2	0

Małe podmioty-dyscypliny uzyskiwały zatem raczej niższe kategorie, podczas gdy duże podmioty-dyscypliny uzyskiwały na ogół kategorie wyższe. Zatem przekonanie, że podmioty o dużej liczbie N radzą sobie gorzej w ewaluacji i nie potrafią konkurować z małymi podmiotami o niewielkiej liczbie N, nie znajduje potwierdzenia w wynikach oceny. Wydaje się, że jest dokładnie odwrotnie: to podmioty o dużej liczbie N osiągnęły sukces w postaci wyższych kategorii, a co za tym idzie – możliwości utrzymania lub pozyskania uprawnień w zakresie doktryzowania lub habilitowania. W tym względzie prymat wiodą podmioty reprezentujące nauki ścisłe, a w pierwszym rzędzie nauki chemiczne i nauki fizyczne.

Kategorie w dziedzinach nauki

Warto wreszcie przyjrzeć się kategoriom uzyskanym przez podmioty w poszczególnych dziedzinach nauki (Tabela 3).

Zauważalny jest sukces nauk rolniczych, nauk ścisłych i przyrodniczych, nauk teologicznych oraz dziedziny sztuki w uzyskaniu relatywnie wysokiego odsetka podmioty-dyscyplin w kategorii A+. O ile nauki ścisłe i przyrodnicze są tradycyjnie wysoko premiiowane, także z uwagi na mocną pozycję publikacji w międzynarodowych bazach danych, o tyle zaskakuje bardzo dobry wynik nauk rolniczych i dyscyplin artystycznych w uzyskaniu wysokiego odsetka podmiotów w katego-

riach A i A+. Równocześnie nauki społeczne i dyscypliny artystyczne uzyskały wysoki odsetek podmiotów w kategoriach B i C, odpowiednio: 20,1% oraz 24,5%. Warto zauważyć, że w przypadku dyscyplin artystycznych ocena miała charakter w pełni ekspercki. Należy wreszcie podkreślić bardzo dobry wynik nauk rolniczych, które uzyskały niemal 92% podmioty-dyscyplin w kategoriach B+, A i A+, oraz nauk humanistycznych, które uzyskały zbliżony wynik (88,7%). Nieco słabszy wynik uzyskały nauki medyczne i nauki o zdrowiu (86,8%) oraz nauki inżynierjno-techniczne (84,8%). Generalnie, przekonanie, iż nauki humanistyczne, społeczne i teologiczne osiągają znacząco słabsze wyniki w porównaniu do pozostałych rodzajów nauk się nie potwierdza.

Wnioski

Pejzaż nauki polskiej, jaki wyłania się z przeprowadzonej w pierwszej połowie roku ewaluacji i kategoryzacji podmiotów w dyscyplinach nauki, jest zbliżony do tego, jaki pokazały dwie poprzednie ewaluacje (2013, 2017). Nowe podejście w postaci oceny podmiotów w poszczególnych dyscyplinach nauki nie spowodowało radykalnej zmiany w proporcjach pomiędzy odsetkiem podmioty-dyscyplin w poszczególnych kategoriach. Sam fakt, że około 84,7% podmiotów utrzymało lub uzyskało uprawnienia w zakresie doktryzowania lub habilitowania, świadczy o mobilizacji polskich środowisk akademickich i naukowych oraz dobrym przygotowaniu do oceny. Wśród podmiotów zasługujących na najwyższe laury dominują uniwersytety oraz instytuty PAN, co nie jest zaskoczeniem, szczególnie w kontekście w pełni eksperckiej oceny w odniesieniu do kategorii A+ z udziałem ekspertów zagranicznych. Nie potwierdza się również przekonanie, iż podmioty o dużej liczbie N przegrywają konkurencję z małymi podmiotami. W świetle najnowszych wyników podmioty o dużej liczbie N w większości lokowały się w wyższych kategoriach. W ujęciu dziedzinowym widać siłę nauk ścisłych i przyrodniczych oraz nauk rolniczych, ale także sukces nauk humanistycznych, nauk teologicznych czy dyscyplin artystycznych. Największy odsetek podmiotów w kategoriach B i C wystąpił natomiast w naukach społecznych i dziedzinie sztuki.

Warto wreszcie zauważyć, iż powyższy obraz nie jest ostateczny. Rozpoczęła się bowiem procedura odwoławcza, która wymaga szczegółowej analizy złożonych przez podmioty wniosków o ponowne rozpatrzenie sprawy. Komisja Ewaluacji Nauki przystąpiła zatem do pracy, która będzie w całości realizowana w systemie POL-on, w module SEDN przygotowanym przez OPI oraz we współpracy z Departamentem Nauki MeIn.

Brakuje zabezpieczeń

Prof. Grzegorz Węgrzyn, przewodniczący Rady Doskonałości Naukowej komentuje skutki ostatniej kategoryzacji dla systemu i jakości awansów naukowych w Polsce oraz jej wpływ na działalność RDN.

Wyniki tegorocznej ewaluacji i przyznane w jej rezultacie kategorie naukowe bardzo wpływają na system, a zapewne także wpłyną na jakość awansów naukowych w Polsce. W tej chwili uprawnienia do nadawania stopni naukowych zależą tylko i wyłącznie od uzyskanej kategorii, co zasadniczo różni skutki obecnej ewaluacji od poprzedniej. Wiąże się z tym spore niebezpieczeństwa, na co wielokrotnie zwracaliśmy, jako Rada Doskonałości Naukowej, ale i ja osobiście, uwagę. Po pierwsze, wystarczy mieć dwunastu naukowców w danej dyscyplinie, aby uzyskać kategorię B+, czyli pełne prawa akademickie. W związku z tym możemy mieć do czynienia z sytuacją, gdy te osoby, od których wymagano opublikowania artykułów w wysoko punktowanych czasopismach, ale już nie posiadania stopni naukowych, mogłyby nadawać habilitacje, nie mówiąc o doktoratach. Co więcej, wedle obecnych przepisów, jeśli dzień po uprawomocnieniu się decyzji o przyznaniu kategorii B+, jednostka, która ją uzyskała zwolni połowę z tych 12, albo nawet wszystkich pracowników, którzy przyczynili się do jej sukcesu w danej dyscyplinie, to nadal ma prawo nadawać stopnie naukowe w tej dyscyplinie. To sytuacja ekstremalna, ale już łatwiej wyobrazić sobie taką, że profesor odchodzi na emeryturę, a dwaj inni samodzielni pracownicy zmieniają uczelnię i w dyscyplinie zostaje kilku doktorów i kilku magistrów. Oni nadal mogą nadawać doktoraty i habilitacje. To jest groźne, bo trudno będzie w takiej sytuacji utrzymać odpowiedni poziom awansów. Nawet najzdolniejsi magistrowie i młodzi doktorzy nie mają przecież odpowiedniego i bardzo ważnego doświadczenia w ocenianiu prac i osiągnięć naukowych, w tym rozpraw doktorskich czy wniosków habilitacyjnych.

Rezultatem obecnej kategoryzacji jest ponad dwukrotny wzrost liczby podmiotów uprawnionych do nadawania stopni naukowych. Dotychczas było około 900 uprawnień, z tym, że wiele jednostek miało tylko uprawnienia do doktoryzowania. Teraz 970 dyscyplin na uczelniach i w instytutach, a zapewne liczba ta wzrośnie w wyniku odwołań, uzyskała kategorię B+ lub wyższą, co oznacza, że mamy na pewno dwukrotność tej liczby, czyli 1940 uprawnień, bo każda z tych instytucji może nie tylko doktoryzować, ale i habilitować. Dotychczas wyglądało to tak, że jednostki naukowe najpierw dostawały uprawnienia do doktoryzowania, a dopiero, gdy spełniły kryteria formalne, ale także przeprowadziły procesy doktoryzowania - czym niejako potwierdziły swoje kompetencje w zakresie nadawania stopni naukowych, również w kontekście zgodności z obowiązującymi procedurami - dostawały prawo do habilitowania. Teraz mamy zupełnie nową sytuację, gdy uczelnia może nadawać habilitacje bez przeprowadzenia choćby jednego przewodu bądź postępowania doktorskiego. Istnieją duże obawy, czy szereg małych, niedoświadczonych jednostek, z wciąż nieliczną i słabo związaną z uczelnią lub instytutem kadrą, podoła utrzymaniu odpowiedniego poziomu realizacji doktoratów i habilitacji. W RDN mamy co do tego spore obawy. Mamy jeszcze jakiś wpływ na habilitacje, gdyż powołujemy czterech na siedmiu członków komisji, w tym trzech z czterech recenzentów, zatem możemy mieć nadzieję, że to będą niezależni specjaliści. Pozostali są powoływani przez rady naukowe lub senaty uprawnionych jednostek, z których część nie miała dotychczas żadnych doświadczeń w prowadzeniu postępowań o nadanie stopni naukowych. W dalszym ciągu pewnym zabezpieczeniem jakości doktoratów i habilitacji, które nie wszystkim się podobało, jest to, że dwie negatywne recenzje uniemożliwiają nadania stopnia naukowego. Niestety, jest to jedyny ogranicznik dowolności działania instytucji w nadawaniu stopnia doktora.

Wzrost liczby uprawnień najpewniej spowoduje wzrost zainteresowania awansami naukowymi. Zatem Rada Doskonałości Naukowej będzie miała więcej pracy. Zapewne nie będzie to dotyczyło unikatowych dyscyplin, jak historia sztuki czy astronomia, ale właśnie tych najbardziej popularnych w uczelniach niepublicznych, a zarazem najliczniejszych kadrowo, jak np. ekonomia, zarządzanie. Dawniej Centralna Komisja mogła w określonych przypadkach przeprowadzać kontrole przewodów doktorskich i habilitacyjnych, a nawet zawieszając uprawnienia do nadawania stopni na jakiś czas, ograniczać te uprawnienia (każdy nadany stopień musiał być zatwierdzony przez CK), a także – w przypadku drastycznie niskiego poziomu prac, na podstawie których nadawano stopnie – odbierać takie uprawnienia. RDN nie ma żadnych uprawnień kontrolnych, nie mówiąc o zawieszaniu praw do nadawania stopni naukowych. Wyjątkiem są przypadki popełnienia przestępstwa, np. plagiatu, lub naruszanie procedur w konkretnym postępowaniu doktorskim czy habilitacyjnym. Ale nawet wtedy możemy jedynie kontrolować to postępowanie awansowe i spowodować odebranie niesłusznie nadanego stopnia konkretnej osobie, ale już nie kontrolować całą jednostkę. O zawieszaniu uprawnień w ogóle nie ma mowy. Jeśli jakaś jednostka będzie nadawać bardzo marne doktoraty, nie możemy z tym nic zrobić. To duże zagrożenie dla jakości polskiej nauki.

O tych zagrożeniach mówiłem trzem kolejnym ministrom. Niestety, bez skutku. Uprawnienia są już przyznane, a nie mamy żadnych mechanizmów kontroli jakości awansów przeprowadzanych przez uprawnionych, ani tym bardziej możliwości odbierania uprawnień jednostkom, które łamią wszelkie zasady rzetelności naukowej i akademickiej. Nawet jeśli teraz ustawa by się zmieniła w tym zakresie, to przecież nie będzie działała wstecz, te uprawnienia będą obowiązywały co najmniej przez cztery lata. Możemy się tylko bezradnie przyglądać aktywności awansowej realizowanej na niskim poziomie przez jakieś instytucje, które uzyskały uprawnienia w wyniku kategoryzacji, ale nie mamy możliwości zapobiec nadużyciom. Jedyna nadzieja w tym, że te problemy dostrzeże samo środowisko, które będzie wiedziało, co oznacza doktorat czy habilitacja uzyskana w renomowanej jednostce, a co stopień naukowy nadany przez podmiot nie zwracający dostatecznej uwagi na poziom naukowy.

Podsumowując, automatyczne powiązanie nadanej kategorii naukowej z uprawnieniami do nadawania stopni naukowych nie wydaje się być dobrym rozwiązaniem. Ocena średniej wydajności publikowania prac naukowych oraz szacowanie wpływu działalności danej jednostki na społeczeństwo i gospodarkę (do czego w dużej mierze sprowadza się aktualna ewaluacja uczelni i instytutów) nie jest jednocześnie dobrym miernikiem możliwości nadawania stopni naukowych na odpowiednio wysokim poziomie. Nie bierze się bowiem pod uwagę faktycznych kompetencji całej kadry naukowej, doświadczenia w ocenianiu prac naukowych, itd. Rezygnacja z możliwości odbierania uprawnień tym jednostkom, które nie dbają o odpowiedni poziom merytoryczny przy nadawaniu stopni naukowych również jest bardzo ryzykowna z punktu widzenia zapewnienia wysokich standardów przy awansach akademickich. Konieczne są zatem pilne zmiany w przepisach, aby uniknąć opisanych wyżej zagrożeń, albo chociaż je istotnie ograniczyć.

Notował Piotr Kieraciński

Nauki farmaceutyczne w ewaluacji 2022

Ukazały się wyniki ewaluacji dyscyplin naukowych w latach 2017-2021. Szereg jednostek zgłasza zastrzeżenia do jej wyników. Postanowiłem w związku z tym porównać wyniki ewaluacji w dyscyplinie nauk farmaceutycznych (NF), jednej z dyscyplin, w których oceniany był Instytut Farmakologii PAN im J. Maja oraz UJ CM, w których jestem zatrudniony. Oceniano w tej dyscyplinie 14 jednostek naukowych, jedna z nich dostała kategorię C, żadnej nie przyznano kategorii B, osiem uzyskało kategorię B+, cztery kategorię A, jedna najwyższą kategorię A+ (patrz: Tabela).

W bazie Scopus pod hasłem „Poland” znalaziono 1.013.794 dokumentów naukowych z całego okresu, który obejmuje ta baza. Z tego 37.691 prac (3,71% całości) dotyczyło farmacji (z farmakologią i toksykologią). Następnie wyszukano badaczy przodujących pod względem 3 parametrów: po pierwsze – liczby publikacji (należało ich mieć ≤ 50), po drugie – liczby cytowań (≤ 1000) oraz po trzecie – indeksu Hirsha (≤ 20). Znalaziono 132 takich naukowców. Myślę, że tworzą

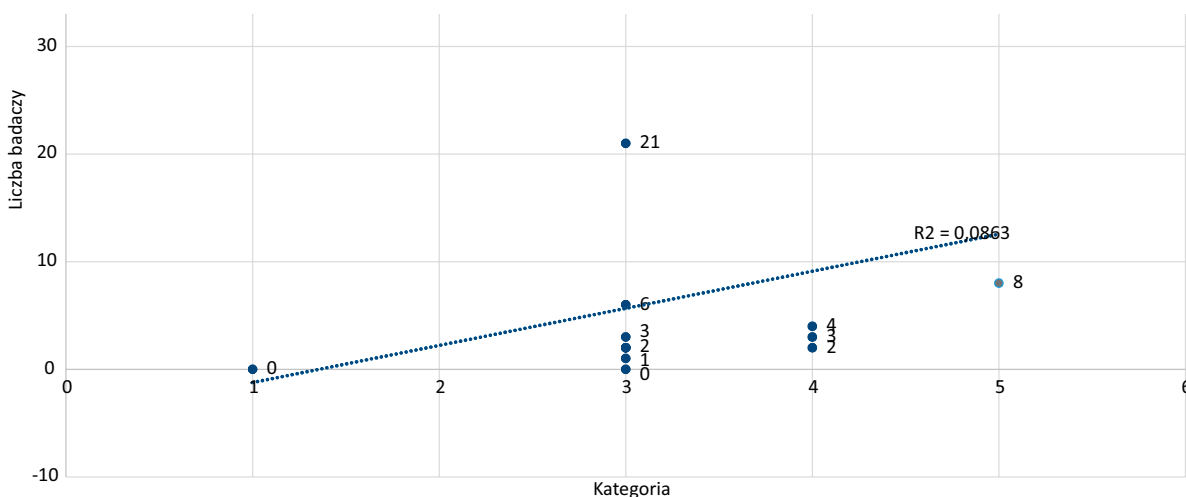
oni czołówkę badaczy w tej dyscyplinie nauki, a zatrudnieni są w 31 różnorodnych jednostkach naukowych.

W 14 jednostkach naukowych ocenianych w dyscyplinie nauk farmaceutycznych pracują 93 takie osoby. Jednostki z kat. B+ zatrudniały od 0 do 21 najwyżej notowanych naukowców. Jednostki z kat. A od 2 do 39 takich badaczy, a jednostka z kat. A+ – 8. Zagadką pozostaje nieprzyznanie kat. B (zagadką pozorna, bo wtedy jednostka traci prawo do przyznawania stopnia doktora). Jak wynika z wykresu, nie ma zależności między zatrudnieniem najwyżej cytowanych badaczy a uzyskaną kategorią naukową ($R^2 = 0.0863$). Myślę, że wynik ten pokazuje wady obecnej parametryzacji i jej kłopoty z wyłonieniem najbardziej wartościowych instytucji. Dlatego w przyszłych parametryzacjach warto brać pod uwagę wymienione tu wskaźniki naukowe, a zwłaszcza indeksy cytowań i Hirscha.

Andrzej Pilc, Instytut Farmakologii PAN oraz UJ CM,
e-mail: nfpilc@cyf-kr.edu.pl

A - Nazwa jednostki	B. Dyscyplina	C. Kat	D. Kat/pkt	E. N nauk
Gdański Uniwersytet Medyczny	N. farmaceut	A	4	4
Instytut Farmakologii im. Jerzego Maja PAN	N. farmaceut	A	4	39
Narodowe Centrum Badań Jądrowych	N. farmaceut	C	1	0
Narodowy Instytut Leków	N. farmaceut	B+	3	2
Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie	N. farmaceut	A	4	3
Śląski Uniwersytet Medyczny w Katowicach	N. farmaceut	B+	3	2
Uniwersytet Jagielloński w Krakowie	N. farmaceut	B+	3	21
Uniwersytet Medyczny im. K. Marcinkowskiego, Poznań	N. farmaceut	A	4	2
Uniwersytet Medyczny im. Piastów Śląskich we Wrocławiu	N. farmaceut	B+	3	0
Uniwersytet Medyczny w Białymstoku	N. farmaceut	A+	5	8
Uniwersytet Medyczny w Lublinie	N. farmaceut	B+	3	6
Uniwersytet Medyczny w Łodzi	N. farmaceut	B+	3	3
Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu	N. farmaceut	B+	3	1
Warszawski Uniwersytet Medyczny	N. farmaceut	B+	3	2
				93

Nazwa jednostki, jej kategoria i liczba najwyżej notowanych badaczy zatrudnionych w jednostce.
Każdej kategorii przypisano punkty od 1 (kat C) do 5 (kat A+)



Zależność między liczbą najlepiej ocenianych badaczy zatrudnionych w jednostce a przyznaną jej kategorią naukową

Czas na poważne dyskusje

U osób znających akademickie realia wyniki ostatniej parametryzacji dyscyplin naukowych wywołały zróżnicowane odczucia. U jednych zadowolenie, a być może nawet euforię, u innych jednak rozgoryczenie lub co najmniej spore zdziwienie. Dotyczy to zarówno ministerialnej listy przyznanych kategorii, jak i listy KEN-u wnioskowanych kategorii. Poważnej dyskusji warte są jednak obie.

Zadowolenie

Zadowolenie pojawia się głównie w wypowiedziach tych osób, których dyscypliny otrzymały kategorię A lub A+. Tych ostatnich jest jednak stosunkowo niewiele – na liście ministerialnej jest ich 65, natomiast na liście KEN-u jedynie 40 (z 1145 zgłoszonych do oceny dyscyplin). W przeliczeniu na poszczególne dyscypliny oznacza to, że takich, które ją otrzymały, jest w najlepszym przypadku kilka. Są również takie, w których nie ma żadnego A+. Lista uczelni, instytutów i centrów badawczych, które mają kilka dyscyplin z najwyższą kategorią (oznaczającą prowadzenie badań naukowych na światowym poziomie), jest jednak krótka. Znacznie dłuższa jest natomiast lista tych, które nie posiadają żadnej takiej dyscypliny. W tym gronie są dyscypliny realizowane na uczelniach zaliczanych dotychczas do wiodących. Zapewne sprawi to, że pojawią się liczne odwołania od ministerialnych decyzji i niejedno z nich może okazać się skuteczne. Pogłębi to jeszcze bardziej rozbieżność między listą MEiN-u i KEN-u. Nie czuję się powołany do roli obrońcy żadnej z tych instytucji. Co więcej, uważam, że w funkcjonowaniu obu sporo warto zmienić, w tym sposób oceniania wyników badań naukowych – nie tylko dlatego, że obecnie daje satysfakcję niewielkim, ale przede wszystkim dlatego, że jest spora liczba osób, którym daje on złudne poczucie naukowej wielkości. Mówię to z pozycji dyscypliny, w której jestem afiliowany (są to nauki o kulturze i religii), i która otrzymała kategorię A+. Mam nadzieję, że tym stwierdzeniem nie zepsuję radosnego nastroju świętowania tym, których dyscypliny otrzymały najwyższą kategorię. Funkcjonujący od kilku lat w otwartym dostępie wykaz osiągnięć naukowych pracowników mojego uniwersytetu (UAM) jasno pokazuje, że ponadprzeciętne wyniki mają nieliczni. O wielu natomiast można z pełnym przekonaniem powiedzieć, że mają wyniki co najmniej przeciętne lub odsetek badaczy ponadprzeciętnych jest w nich jeszcze niższy.

Tak czy inaczej nie przesadzałbym ze świętowaniem, bowiem okres kolejnej parametryzacji już się zaczął i może się okazać, że dzisiejszy sukces nie będzie możliwy do powtórzenia. Sugerowałbym natomiast wszystkim przeprowadzenie poważnej dyskusji nad dotychczas osiągniętymi wynikami naukowymi, także tym, którzy w obecnej parametryzacji dali swoim dyscyplinom najwięcej. Mają oni prawo postawić decydom w swoich uczelniach, instytutach i centrach badawczych pytanie o zasadność prowadzonej polityki kadrowej w zakresie zatrudniania i przyznawania nagród za osiągnięcia naukowe.

Rozgoryczenie

Najbardziej rozgoryczeni mogą być pracownicy naukowcy, których dyscypliny otrzymały negatywne kategorie, tj. C lub co najwyżej B. Tych z kategorią B na liście KEN-u jest więcej niż na liście ministerialnej. Jednak na obu jest ich ponad 12% (a łącznie z C ponad 15%). Można je uznać za przegrane w wielkiej batalii nie tylko o prestiż, ale także o uprawnienia do nadawania stopni naukowych, prowadzenia studiów oraz otrzymywania środków finansowych na badania naukowe. Zasadne jest pytanie: na co liczyli decydenci, zgłaszając te dyscypliny do oceny parametrycznej? Nie chciałbym spekulować, nie można jednak wykluczyć, że ich rachuby oparte były jeśli nie na wie-

rze w pomoc „niewidzialnej ręki opatrności”, to przynajmniej widzialnej ręki ministerialnych decydentów. Według ich zapewnień, poważni uczeni i poważne badania prowadzone są nie tylko w dużych ośrodkach akademickich, ale także w mniejszych. Wyniki parametryzacji w niejednym przypadku postawiły te zapewnienia pod wielkim znakiem zapytania. Wprawdzie kategorie pozytywne przyznane zostały również niektórym dyscyplinom naukowym realizowanym w niewielkich ośrodkach, jednak to właśnie tam jest stosunkowo dużo kategorii B i C. Wygląda na to, że nawet ich decydenci nie są w stanie dokonać „cudu przemienienia” bylejakości w przyzwoite kategorie naukowe.

Minister podniósł kategorie naukowe również niektórym dyscyplinom realizowanym na dużych uczelniach i w znaczących instytutach badawczych. Jednak w nich miarą sukcesu jest uzyskanie kategorii A+, a w najgorszym przypadku A. Wszystko to, co jest poniżej, może być odbierane jako porażka. Kategoria B+ może być wprawdzie traktowana jako kategoria pocieszenia (otrzymała ją przecież ponad 50% dyscyplin), jednak głównie przez tych, którzy mają na sumieniu dosyć swobodne traktowanie obowiązków pracownika naukowego. Mogli przecież przez wiele lat „ogrzewać się” w blasku osiągnięć osób wyznaczających standardy naukowej przyzwoitości, a nawet reprezentujących w badaniach poziom międzynarodowy. Ci ostatni mają prawo mieć pretensję do swoich kolegów, którzy nie angażowali się w pracę na tyle, by ich dyscyplina wyszła powyżej kategorii B+. Mogą mieć pretensję również do władz, które tolerują swobodne traktowanie zawodowych obowiązków przez liczną grupę pracowników. Warto jednak, aby osoby niezadowolone z wyników parametryzacji nie ograniczały się do kontestowania poczynań innych, lecz odważnie występowały przeciwko bylejakości w swoich instytucjach. Sama krytyka nie daje bowiem wielkich nadziei na poprawę pozycji w następnej parametryzacji.

Zdziwienie

Należę do osób, które są w miarę zadowolone z przyznanej ich dyscyplinie kategorii A+, ale także nieco zdziwione wynikami uzyskanymi przez niektóre dyscypliny zarówno na mojej, jak i na innych uczelniach. W pierwszej kolejności dotyczy to uczelni o statusie badawczych. Wprawdzie na obu listach (MEiN i KEN) prym wiodą Uniwersytet Warszawski i Politechnika Gdańska, ale już na kolejnych miejscach są spore różnice. Dotyczy to zarówno pierwszej dziesiątki uczestników konkursu IDUB, jak i tych uczelni, które znalazły się w „poczekalni”. Przede wszystkim zdziwiło mnie, jak wiele dyscyplin uprawianych w tych uczelni uzyskało kategorię B+, która wskazuje na przeciętny poziom badań. Spore zdziwienie budzi również fakt, że na ceniomym w akademickim środowisku rankingu szanghajskim relatywnie wysokie miejsce zajmuje Uniwersytet Jagielloński, bowiem w tegorocznej ewaluacji wiele dyscyplin uprawianych w tej uczelni uzyskało całkiem przeciętną kategorię B+. Natomiast próżno byłoby na niej szukać wielu tych, których dyscypliny otrzymały sporą liczbę kategorii A. Skłania to do postawienia pytania, czy niedoskonałe są zasady sporządzania rankingów, czy też parametryzowania dyscyplin naukowych w naszym kraju?

Zdziwienie budzi również fakt, że wysokie kategorie otrzymały dyscypliny humanistyczne i społeczne realizowane na uczelniach technicznych, gdzie najwyższe noty powinny otrzymać dyscypliny ścisłe i techniczne, a nierzadko otrzymały zaledwie kategorię B+. Być może uważniejsze przyjrzenie się wykazowi publikacji badaczy, którzy dawali swoją afiliację do wysoko ocenionych dyscyplin, pozwoliłoby odpowiedzieć na pytanie, skąd wziął się ich sukces. Nie bez znaczenie jest również liczba takich osób. Im jest ona niższa, tym łatwiej

uzyskać lepsze wskaźniki parametryczne. Istotną wagę mają również możliwości finansowego wsparcia publikacji w najwyższych punktowanych czasopismach z ministerialnej listy. Skłonny jestem zaryzykować twierdzenie, że uczelnie, których władze tolerują i wspierają finansowo publikowanie w czasopismach stosunkowo łatwo i szybko publikujących za opłatą każdy tekst o nawet niewielkich znamionach naukowości, łatwiej uzyskiwały wysokie kategorie. O ile wiem, na mojej uczelni takiej polityki się nie prowadzi i zapewne nie jest ona pod tym względem wyjątkiem. Nie stanowi to jednak wyjaśnienia ani też usprawiedliwienia dla uzyskania „kategorii pocieszenia” przez dyscypliny, które zarówno w opinii reprezentujących je osób, jak i zewnętrznych obserwatorów uchodziły za naukowe wizytówki instytucji. Po ogłoszeniu wyników parametryzacji ich przedstawiciele mogą usłyszeć pytanie: gdzie są te naukowe wielkości, o których mówili z takim przekonaniem, że uwierzyło w nie akademickie otoczenie? Można je znaleźć w niejednej uczelni badawczej. Jeśli chodzi o moją, to nie zachwyca mnie tym, że na 23 dyscypliny zgłoszone do parametryzacji kategorię wyższą niż B+ uzyskało 12 z nich. Jednak z najwyższą są tylko dwie. Taki wynik może ucieszyłyby wiele osób na innych uczelniach, ale nie na UAM. Nie tylko dlatego, że w rankingu uczelni badawczych UAM znalazł się na wysokim trzecim miejscu, ale także dlatego, że posiada dość liczną grupę uczonych prowadzących badania co najmniej na poziomie europejskim (świadczy o tym m.in. ich udokumentowany publikacjami udział w międzynarodowym życiu naukowym).

Parametryzacja po nowemu

Ministerstwo zapowiada, że kolejna parametryzacja będzie przeprowadzona według innych zasad niż dotychczas. Zgadza się, że sporo w tym zakresie trzeba zmienić. Nie wiadomo jednak na czym te zmiany będą polegały ani nawet w jakim pójdą kierunku. Zakładam jednak (w dobrej wierze), że zarówno ministerialnym decydom, jak i samym uczonym zależy na tym, aby wyeliminować lub przynajmniej istotnie ograniczyć anomalie, które generuje obecny sposób określania jakości prowadzonych badań naukowych i upowszechniania ich wyników. O wielu z nich mówi się zresztą od dość dawna i póki co kolejne próby uporania się z nimi okazywały się mało skuteczne. Taką anomalią jest między innymi tzw. punktoza, związana z przeliczaniem na punkty wartości publikacji naukowych. Jest to wpraw-

dzie tylko jedno z trzech kryteriów oceny dyscypliny, jednak w każdym przypadku jest ono znaczące, a w przypadku nauk humanistycznych i społecznych w gruncie rzeczy decydujące, bowiem stanowi 70% końcowej oceny. Problem nie tyle w tym, że bazuje się na wskaźniku przywołań publikacji w prestiżowych wydawnictwach i czasopismach, a w tym, że prestiż uzyskują kierujące się zarówno względami naukowymi, jak i biznesowymi. Oba względy starają się godzić wydawnictwa, które publikują monografie i ze środków własnych, i od zleceniodawców (takie praktyki występują również w tych, które na liście ministerialnej mają najwyższą punktację). Kwestią dyskusyjną jest, na ile są to udane łączenia. Tak czy inaczej samo piętnowanie tzw. drażliwych czasopism i wydawnictw na razie przypomina walkę z wiatrakami. Nie oznacza to jednak, że nie da się w żaden sposób utrudnić im życia. Potrzebne jest do tego m.in. uwolnienie się od złudzenia, że przy pomocy prostych wskaźników ilościowych, które da się ustalić komputerowo, można się z tą anomalią uporać.

Podobne złudzenie jest w moim przekonaniu również udziałem członków KEN-u z uporem obstających przy ocenie publikacji opartej na bazach, w których prym wiodą angielskojęzyczne czasopisma z zakresu nauk przyrodniczych i ścisłych, natomiast marginalizowane są np. monografie naukowe – nie tylko z zakresu nauk humanistycznych i społecznych, w których stanowią z reguły najważniejsze osiągnięcia publikacyjne. Generuje to uzyskiwanie znacznie lepszych wskaźników punktowych za artykuły wieloautorskie niż za autorską monografię naukową. W przypadku dowartościowania monografii w nowych zasadach oceny nauki, trzeba jednak pomyśleć o określeniu odpowiednich warunków brzegowych, aby to, co jest jedynie informacyjną broszurą, nie mogło być uznane za monografię. Nie podzielałam opinii członka KEN-u Emanuela Kulczyckiego, który w komentarzu do wyników ewaluacji stwierdził, że „nic nikomu ona nie powie, a w najlepszym razie niewiele” powie o stanie polskiej nauki. Mimo wszystkich zastrzeżeń, daje ona sporo informacji nie tylko o różnicowaniu poziomu badań prowadzonych w polskich ośrodkach naukowych, ale także o sposobie ich oceniania.

Prof. dr hab. Zbigniew Drozdowicz, Instytut Kulturoznawstwa UAM, w okresie objętym parametryzacją opublikował 4 monografie naukowe w wydawnictwach zachodnich oraz kilkadziesiąt artykułów naukowych w czasopismach z listy ministerialnej

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA
METROLOGICZNA

M NEW TRENDS
IN METROLOGY 2022

LUBLIN, 17-19 PAŹDZIERNIKA 2022

Rozmowa z prof. dr. hab. nauk medycznych Adamem Krętowskim,
rektorem Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku.

Dieta marchewkowa

Moją dewizą w polityce naukowej uniwersytetu jest stwarzanie warunków do rozwoju i premiowanie osiągnięć. Nie wierzę w system kar, bo nie dają one tak dobrych efektów, jak nagrody.

Uniwersytet Medyczny w Białymstoku przedstawił do ewaluacji trzy dyscypliny z dziedziny nauk medycznych i jako jedyna uczelnia medyczna uzyskał same kategorie A i A+. Jesteście zatem w swojej grupie najlepsi w kraju.

Po pierwsze, mimo dobrego wyniku kategoryzacyjnego, nie mamy wrażeń, że jesteśmy najlepsi spośród uczelni medycznych, bo przecież współpracujemy z kolegami z innych uczelni i wiemy, jakie mają osiągnięcia. Zapewne w wielu obszarach jesteśmy dobrzy, bo od lat bardzo ciężko na to pracujemy. Po drugie, to nie jest pierwsza kategoryzacja, w której Uniwersytet Medyczny w Białymstoku uzyskuje same kategorie A i A+ (tak było również w ewaluacji w 2013 r. – red.). Nasza strategia rozwoju nauki ma już kilkunastoletnią tradycję. Miałem zaszczyt uprzednio pełnić funkcję prorektora UMB ds. nauki przez dwie kadencje, a teraz od sześciu lat kieruję uniwersytetem. Oprócz dobrych wyników ewaluacyjnych, uzyskaliśmy też w poprzednich latach sukces w postaci statusu Krajowego Naukowego Ośrodka Wiodącego – to była też ciekawa inicjatywa. W 2018 r. braliśmy udział w konkursie IDUB i choć nie weszliśmy do grona laureatów, to zagraniczni recenzenci w ostatecznym sprawozdaniu ocenili nas bardzo wysoko, a statusu „badawczego” nie dostaliśmy m.in. dlatego, że nasza uczelnia jest zbyt mała.

Niemniej wyniki kategoryzacji to sukces UMB – inne uczelnie wypadły tym razem, wciąż przed odwołaniami - gorzej. Co do niego doprowadziło?

Stawiamy na najlepszych naukowców, rozwój technologii i zaplecza badawczego. Żeby osiągać sukcesy w nauce, trzeba mieć trzy rzeczy: dobrych ludzi, dobre zaplecze, ale też możliwość pozyskania środków, które pozwolą stworzyć taką sytuację, gdy dobrzy naukowcy mogą pracować w najlepszych laboratoriach. Do tego usilnie dążymy od kilkunastu lat. Wydaje mi się, że stąd nasze sukcesy, nie tylko w kategoryzacji, których trudno nie zauważyć, ale po prostu w badaniach naukowych, co jest widoczne już tylko dla specjalistów.

W rankingu „Perspektyw” ładnie wyliczono pozyskane przez uczelnie środki zewnętrzne. Mimo, że jesteśmy małym uniwersytetem, to pod tym względem znajdujemy się na trzecim miejscu w Polsce. Zapewne znaczy to, że mamy tych pieniędzy najwięcej w przeliczeniu na jednego pracownika. Te środki dają nam podstawę do budowy dobrego zaplecza naukowego i klinicznego, infrastruktury, urządzeń naukowych - mamy m.in. najnowsze sekwencjatory DNA i sprzęt do technik wielkoskalo-

wych. Staramy się to robić najlepiej, jak możemy i potrafimy. Mamy pieniądze na kupowanie kolejnych aparatów, które będą nam potrzebne do badań naukowych. Nie pochodzą one z subwencji, ale z grantów zewnętrznych.

Jak tak niedużej, niektórzy mówią – regionalnej, uczelni udaje się zdobywać tyle środków?

Od wielu lat prowadzimy politykę skierowaną na ich pozyskiwanie. Naukowiec, który zdobywa grant, dostaje za to od uczelni dodatkowe pieniądze. Podobną politykę prowadzimy w stosunku do publikacji. Uznaliśmy, że nie rozliczamy projektów wewnętrznych publikacjami „wartymi” mniej niż sto punktów. Zatem naukowcy muszą publikować w dobrych czasopismach. Nagrody rektorskie na końcu roku są przyznawane za najlepsze publikacje w najlepiej punktowanych, czyli najlepszych, czasopismach. Za prace za dwieście punktów w dobrym czasopiśmie dostaje się dziesięć razy większą nagrodę niż za pracę za 140 punktów. U nas opłaca się, i w przełożym sensie, publikować w bardzo dobrych czasopismach.

Pan wspomina tylko o zachętach, a co z tymi, którzy słabiej sobie radzą?

Gdy kilkanaście lat temu zostałem prorektorem ds. nauki, pokazałem w prezentacji mojego programu dla uczelni slajd pt. „Same marchewki”. Nadal moją dewizą w polityce naukowej uniwersytetu jest stwarzanie warunków do rozwoju naukowego i premiowanie osiągnięć. Nie wierzę w system kar, bo nie dają one tak dobrych efektów, jak nagrody. Taką marchewką może być np. zmniejszenie pensum dydaktycznego badacza, który uzyskuje grant. Ma on finansowanie z grantu, w związku z tym nie musi wykonywać tylu obowiązków dydaktycznych, jak ci, którzy w danym momencie nie są mocno zaangażowani w realizację projektów badawczych. Ta możliwość nie dotyczy tylko profesorów, ale także asystentów czy adiunktów. Wynika to z ustawy i nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Ruch odbywa się tu jednak w dwie strony. Ci, którzy kiedyś nie mieli grantów, a zatem mieli więcej obowiązków dydaktycznych, piszą projekty i zdobywają środki na ich realizację, w związku z czym zmniejszamy ich pensum, ale ci, którzy swoje granty zrealizowali, a środków na nowe badania jeszcze nie udało im się pozyskać, dostają więcej zadań dydaktycznych. Bardzo ważni są dla nas młodzi naukowcy, zatem ten system zachęt do prowadzenia

badan zaczyna funkcjonować już na poziomie studiów. Bardzo się cieszę, że ostatnio dostaliśmy trochę środków pozwalających na zaangażowanie studentów w badania naukowe.

Mówił pan o dodatkowych pieniądzach, a sama subwencja UMB należy do najniższych wśród tych, które otrzymują z Ministerstwa Zdrowia „stare” uniwersytety medyczne.

Zgadza się. A na dodatek, nasza subwencja pokrywa tylko 70 procent kosztów funkcjonowania uczelni. Nawet granty, które są ważnym źródłem finansowania badań, nie dają środków na wszystko. Gdybyśmy nie mieli studentów zagranicznych, którzy do budżetu uczelni wnoszą konkretny wkład finansowy, nie moglibyśmy prowadzić żadnej polityki naukowej. Gdy zacząłem swoją pierwszą kadencję rektorską, mieliśmy na roku trzydziestu studentów zagranicznych. Teraz na pierwszym roku mamy ich ponad 120, a w sumie ponad 500, czyli zwiększyliśmy tę liczbę czterokrotnie. Zwiększyliśmy liczbę studentów kształcących się w języku polskim w trybie niestacjonarnym, którzy płacą na studia. To też pomaga np. poprawić wynagrodzenia pracowników – za dodatkową pracę z tymi studentami. Innym źródłem dodatkowego finansowania są nasze spółki celowe. Gdy zacząłem urzędowanie na stanowisku rektora, mieliśmy co roku ok. 5 milionów strat. Żeby to zmienić poczyniliśmy ruchy w dwóch kierunkach: z jednej strony oszczędzaliśmy, gdzie się dało, a z drugiej poszukiwaliśmy dodatkowych źródeł pieniędzy.

Proszę wskazać inne poza kadrowymi i finansowymi elementy pańskiej polityki naukowej?

Bardzo ważnym elementem naszej – bo chodzi o cały zespół rektorski, a nawet całą uczelnię, bo cóż mogą sami rektorzy – polityki naukowej jest wybór obszarów badawczych. Jakiś czas temu, być może jako jedni z pierwszych w Polsce, postanowiliśmy zainwestować w badania wielkoskalowe: sekwencjonowanie DNA, genomikę, proteomikę, epigenomikę, metabolomikę. Dzięki temu generujemy bardzo dużo danych, które ktoś musi analizować, wysnuwać z tego wnioski. Tu jest wąskie gardło. Postawiliśmy zatem na rozwój biostatystyki. Jako jedyni w Polsce mamy kierunek studiów o tej nazwie, który utworzyliśmy z Uniwersytetem w Hasselt w Belgii i pracującym tam profesorem Tomaszem Burzykowskim. Jest on pewnie jednym z nielicznych profesorów - specjalistów w zakresie biostatystyki na świecie. Przyjeżdża do nas i pomaga nam budować ten typ badań i kształcenie w tym kierunku. Analiza danych to zajęcie pracochłonne i specjalistyczne. Naukowcy, którzy u nas często są też lekarzami, nie mają dość czasu, żeby zajmować się szczegółami. Ktoś musi im pomagać w analizie danych. Warto zatem, żeby zajmowali się tym fachowcy od takich właśnie analiz. Trzeba też zaprojektować eksperymenty. Uznaliśmy też, że rozdrobnienie badań, gdy każdy robi jakiś nieduży temat, badania na swoich trzydziestu pacjentach, nie daje szans na dobre publikacje. Tworzymy zatem duże badania kohortowe, np. Białystok Plus. Mamy badania i duże zbiory danych w zakresie cukrzycy, chorób onkologicznych, biobank materiału onkologicznego. Tu są duże liczby i każdy naukowiec może wykorzystać ten ogromny materiał do swoich badań. To bardzo pomaga nie tylko w zapewnieniu tematyki, ale też podnosi jakość i znaczenie wyników badań.

A infrastruktura badawcza, o której wspominał pan nieco na początku rozmowy?

Podjęliśmy decyzję o budowaniu wspólnych dla całej uczelni laboratoriów i zakupach aparatury, czyli o powołaniu tzw. core facilities. Kiedyś kupowaliśmy na przykład PCR dla każdego zakładu, który tego potrzebował. Musieliśmy mieć zatem nawet

ponad dwudziestu specjalistów od obsługi jednego rodzaju urządzenia - w każdym laboratorium, które je posiadało musiał być człowiek, który je kompetentnie obsługiwał. Teraz kilka osób obsługuje dla całej uczelni najlepszej klasy urządzenie, na którym każdy może wykonać potrzebne badania. To jest wynik doświadczeń z pobytu w Stanach Zjednoczonych. Nasze Centrum Badań Klinicznych to prosta kalka z Narodowego Instytutu Zdrowia w Bethesda w USA.

Na czym, oprócz wspomnianych marchewek, polega polityka personalna? Jakich danych używacie do oceny efektywności naukowej pracowników?

Co roku robimy ocenę postępów naukowych dla naszych własnych potrzeb. W Bibliotece Głównej gromadzimy dane dotyczące osiągnięć i badań każdego naszego pracownika, nie tylko naukowców, bo czasami pojawiają się publikacje osób, które są zatrudnione na etatach szpitalnych czy dydaktycznych. Co roku informację są przekazywane dziekanom i prorektorowi ds. nauki. Szefowie jednostek uniwersytetu spotykają się ze wszystkimi pracownikami w celu omówienia sytuacji. Szczególnie ważne jest to w przypadku osób, którym w danym momencie idzie słabiej. Jeżeli widzimy w kimś potencjał, który w danej chwili nie jest wykorzystywany, wspieramy takie osoby pomagając im wejść w bliską jej tematykę badawczą, np. do zespołu realizującego grant o odpowiedniej tematyce, czy też w przygotowaniu nowego własnego projektu. Bardzo często kończy się to sukcesem. Aktywną politykę personalną, polegającą na przechodzeniu z etatów naukowo-dydaktycznych na badawcze lub odwrotnie, prowadzimy od wielu lat. W poprzednich latach niektóre uczelnie potrafiły zmniejszyć liczbę N o 30 procent. U nas od lat jest polityka, w wyniku której pomagamy ludziom prowadzić badania, pisać prace naukowe, lub spełniać się w roli dydaktyków czy lekarzy, bo to charakterystyczne dla tego typu uczelni, jak nasza. Lekarze w coraz mniejszym stopniu interesują się nauką, odchodzą zatem z etatów naukowych do kliniki, a czasami do prywatnych jednostek leczniczych. Postawiliśmy od lat na mobilizowanie ludzi do pracy naukowej. Szereg osób przeszedł więc w ostatnich latach także na etaty naukowo-dydaktyczne, bo dzięki możliwościom, które stwarzamy – bazom danych czy core facilities - odnaleźli się w tym obszarze.

Pytał pan o ocenę efektywności naukowej - to bardzo ważna sprawa. Mój zastępca, prof. Marcin Moniuszko, nasz prorektor ds. nauki, stworzył wskaźnik kosztów uzyskania jednego punktu IF (Impact Factor). Ile trzeba zapłacić, aby zdobyć jeden punkt IF? Okazuje się, że na Uniwersytecie Medycznym w Białymstoku „zdobycie” jednego punktu IF za publikację, będącą efektem projektów finansowanych z subwencji UMB kosztuje średnio kilkanaście razy taniej niż w grantach NCN. Może to nie jest absolutny wskaźnik, ale pokazuje on korzyści z dobrego zarządzania środkami na badania.

Co pan sądzi o zasadach oceny dyscyplin, wedle których prowadzona była obecna ewaluacja?

W różnych dziedzinach nauki ocena może, a pewnie wręcz powinna, odbywać się na odmiennych zasadach, na podstawie dopasowanych do ich specyfiki kryteriów. Akurat w medycynie dobre publikacje są właściwą podstawą ewaluacji osiągnięć naukowych. Abstrahując od listy czasopism, jej wad i zalet, dla nas ewaluacja tego rodzaju jak obecna, wydaje się być miarodajną. Natomiast kwestia wyceny publikacji powinna być przemyślana na nowo. Taka sama liczba punktów za artykuł w najbardziej prestiżowym wydawnictwie i za monografię opublikowaną w regionalnym czasopiśmie nie wydaje się być najlepszym rozwiązaniem. Chcielibyśmy, aby nasi pracownicy publikowali w najlepszych międzynarodowych



Fot. Iawreszok.eu

Prof. n. med. **Adam Krętowski** (ur. w 1966 r.) jest specjalistą diabetologii, endokrynologii i chorób wewnętrznych. Jego dorobek naukowy obejmuje ponad 250 publikacji. Wg WOS jego prace były cytowane ponad 3,8 tys. razy, a indeks Hirscha wynosi 27. Na Uniwersytecie Medycznym w Białymstoku kieruje Kliniką Endokrynologii, Diabetologii i Chorób Wewnętrznych, pełni również obowiązki kierownika Centrum Badań Klinicznych. W latach 2008–2016 był prorektorem ds. nauki, a od 2016 r. jest rektorem UMB. W latach 2005–2007 pracował jako Visiting Associate Professor w Barbara Davis Center for Childhood Diabetes, University of Colorado w Denver (USA).

dowych periodykach, bo dzięki temu ich wyniki są widoczne i doceniane w świecie. Mamy na uniwersytecie własne czasopisma naukowe, jednak nie są one pierwszym wyborem przy publikowaniu ważnych wyników, choć staramy się o ich dobrą pozycję w nauce.

Jak wiemy w kontekście oceny, istnieje też dyskusja o czasopiśmie z grupy MDPI, ale niektóre prace tam publikowane są także wysoko cytowane. Może więc nie brać pod uwagę przypisanego czasopiśmie punktów czy ich współczynnika wpływu, czyli miejsca publikacji, ale cytowania konkretnego artykułu, czyli wartość samej pracy naukowej, a przynajmniej jej postrzeżenie przez międzynarodowe środowisko badaczy?

Chciałem też zwrócić uwagę na pewne niedoskonałości, a może tylko cechy ewaluacji, które nie pozwoliły nam pokazać całego dorobku. Nasi najlepsi badacze mogli zapełnić swoimi osiągnięciami nawet czterdzieści slotów, a mogli pokazać do oceny tylko cztery. Dlaczego inne uczelnie medyczne trochę słabiej wypadły? Dlatego, że do jednego worka wrzucono uczelnie medyczne z instytutami naukowymi. Nasi pracownicy uczestniczą w dydaktyce, leczą w szpitalach, a to stawia ich w zupełnie innej sytuacji niż naukowców z instytutów.

Nie było nam też potrzebne całe to zamieszanie z dyscyplinami. Mamy w medycynie trzy dyscypliny: nauki medyczne, farmaceutyczne i o zdrowiu (nauk o kulturze fizycznej, czwartej dyscyplinie w dziedzinie nauk medycznych, nie uprawia się w żadnej uczelni medycznej). Ludzie się zastanawiali się, do której się zapisać, jak raportować do POL-onu dane osiągnięcia. Nie jestem też zwolennikiem slotów. Nasi naukowcy nie rozumieli, co to jest. Trochę żartem powiem, że u nas na

Uczelni w pewnym momencie było „zabronione” posługiwanie się tym pojęciem. Oczywiście na wewnętrzne potrzeby sprawdzaliśmy, komu jak idzie w kontekście ewaluacji dyscyplin, np. po to, żeby wiedzieć komu trzeba pomóc, kogo zmobilizować. Czasami, gdy jacyś pracownicy orientowali się, o co chodzi w tych slotach i punktach, nagle chcieli się afiliować do innej dyscypliny, bo gdy jesteś jedynym autorem z określonej dyscypliny, to masz przypisane dużo punktów. Powodowało to szereg niepotrzebnych działań. Naukowcy zamiast myśleć o pracy naukowej, zastanawiali się, jak dobrze wypełnić sloty. To był zmarnowany czas i siły. Musimy się skupiać na wartościowych badaniach i dobrych publikacjach. Zamiast tracić czas na te problemy, róbmy dobre badania. Nie ma sensu zastanawiać się, czy należą one do tej, czy innej dyscypliny. Może trzeba akurat w przypadku medycyny lepiej byłoby oceniać jedną dziedzinę, a nie trzy dyscypliny?

Podsumowując, cieszymy się z wyniku ewaluacji, jaki uzyskał Uniwersytet Medyczny w Białymstoku, ale nie traktujemy tego z triumfalizmem. Mamy szereg nowych pomysłów na to, jak i jakie prowadzić badania. Natomiast najważniejszym elementem są ludzie. Coraz mniej młodych chce pracować na uczelni, gdyż w innych miejscach znajdą lepsze warunki pracy i lepsze wynagrodzenia. I to jest smutne. Boje się, żebyśmy tego celu nie zgubili. Sama ewaluacja to rzecz wtórna. Ważne, żeby jej nowe zasady pojawiły się szybko, bo już kolejny raz jesteśmy w takiej sytuacji, gdy trwa nowy okres oceny, a nie wiemy, jak ona będzie wyglądać, jakie zasady będą w niej obowiązywać.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Komunikacja w nowych czasach

Niektórym naukowcom wydaje się, że mogą wejść do sieci i dopasować ją do swojego stylu. Nie, to działa odwrotnie – jeżeli chcą być skuteczni w przekonywaniu, propagowaniu, informowaniu, to oni muszą się dostosować.

Przygotowując zawczasu jedno ze swoich konferencyjnych wystąpień, dr hab. Agnieszka Kampka nie mogła przypuszczać, że tak szybko przejdzie ono próbę ognia. Miała mówić o komunikacji naukowej przyszłości. I o wyzwaniach, jakie w związku z tym nieuchronnie czekają naukowców. W sieci, a zwłaszcza w mediach społecznościowych, gdzie już teraz forma dominuje nad treścią, obraz waży więcej niż słowo, a zaangażowanie oparte jest na interakcji, uczonym niełatwo się odnaleźć. Nie chodzi przecież o to, by od czasu do czasu zamieścić wpis na Facebooku, „ćwierknąć” na Twitterze, opublikować Instastory czy filmik na YouTube. Aby trafić „pod strzechy”, to za mało. „Z przeglądanych w Internecie treści przyswajamy ledwie około 20%. Czy zatem naukowcy są nauczeni, by konstruując swój przekaz traktować te 20% jako kluczową jego część?” – chciała zainicjować dyskusję badaczka KSGW podczas wykładu, do którego ostatecznie nie doszło.

Podobnie jak cała konferencja, został odwołany. Ponad dwa lata temu, wraz z początkiem pandemii, taka rzeczywistość stała się codziennością. Niecodzienne, zwłaszcza na początku, było za to zainteresowanie wiedzą: o odmianach koronawirusa, jego specyfice, rodzajach testów, a później szczepionek, pojawiających się emocjach... Całkiem słusznie do roli przewodników po świecie dotkniętym nieznanym dotąd żywiołem wyniesiono więc przedstawicieli świata nauki. Owszem, bywały już wcześniej zdarzenia, choćby w astronomii, które przyciągały tłumy, ale nigdy wcześniej na tak wielką skalę. Ten niedoceniany, marginalizowany, a dla wielu z pewnością aż nadto skomplikowany obszar życia znalazł się w świetle reflektorów. Do tego interdyscyplinarność zjawiska sprawiła, że od strony komunikacyjnej mogli się nim zająć i wirusolodzy, i epidemiolodzy, i biotechnolodzy, jak również matematycy, inżynierowie, psychologowie czy socjologowie. Czy jednak dziś możemy uznać, że naukowcy, jakkolwiek by to nie zabrzmiało, „wygrali” pandemię, czyli obrane przez nich narzędzia, język i kanały okazały się skuteczne, a może wręcz odwrotnie: ten czas zweryfikował komunikację naukową, która nie sprostała i nagłemu popytowi na wiedzę, i wymaganiom współczesnych odbiorców?

– Pandemia w gruncie rzeczy zmieniła niewiele, choć oczywiście zyskała na niej garstka osób, które skutecznie były w sta-

nie komunikować swoje doniesienia za pośrednictwem Internetu – już na wstępie jasno stawia sprawę prof. Dariusz Jemielniak z Akademii Leona Koźmińskiego.

W pułapce nowych mediów

Oprócz ekspertów, którzy od dawna są z Internetem za pan brat, ta nietypowa sytuacja podziałała osmielająco też na innych, stroniących wcześniej od sieci. Wielu właśnie w tym czasie założyło swoje profile, część odświeżyła dawno nieużywane konta, niektórzy poszli jeszcze dalej i zaczęli „ewangelizować”. Nie wszyscy byli na to gotowi. Kierując swój przekaz, używali języka niedostosowanego do użytkowników. Bywali źle zrozumiani, bo jedno niewłaściwie dobrane słowo wzbudzało inne od zamierzonych skojarzenia. Wpadali w pułapki, które wynikały albo z nieprzemyślanego działania albo z nieznamomości kodów, norm obowiązujących w danym medium.

– Niektórym naukowcom wydaje się, że mogą wejść do sieci i dopasować ją do swojego stylu komunikacji. Nie, to działa odwrotnie – jeżeli chcą być skuteczni w przekonywaniu, propagowaniu, informowaniu, to oni muszą się dostosować – podkreśla A. Kampka, badaczka języka, socjolożka zajmująca się m.in. retoryką, dodając, że lekceważenie tych reguł prowadzi nierzadko do zbudowania fałszywego przekazu.

Pandemia dobitnie pokazała, że fake newsy nie są tylko domeną życia społecznego czy politycznego. Mogą dotyczyć również nauki. Jak dezinformacja potrafi wypaczyć naukowe treści, udowodnił, nieco prowokacyjnie, D. Jemielniak w tekście: *Lek na COVID-19 bez recepty! Lekarze Ci tego nie powiedzą*. Była to przy okazji doskonała ilustracja sytuacji, w jakiej znaleźli się naukowcy. Z jednej strony coraz chętniej przekonani do popularyzacji, z drugiej – świadomi, że nie każdy projekt jest na miarę Nobla i bez śmiałej tezy, kategorycznego tytułu, chwytliwego leadu artykuł może dziś przejść bez echa. Czy jest zatem sposób na pogodzenie interesów naukowców i oczekiwań społeczeństwa, tak by nie odbyło się to kosztem nauki, nie naraziło jej na clickbajty, a jednocześnie pozwalało dotrzeć do dużego grona odbiorców?

– To trudny temat – przyznaje autor wspomnianej publikacji, która spotkała się z gigantycznym odzewem. – Wiemy z badań,

że mężczyźni znacznie częściej stosują sensacyjne tytuły artykułów naukowych, co przekłada się na większą liczbę cytowań. Jednocześnie przesadzanie z relacjonowaniem wyników prowadzi wprost do fałszowania wiedzy, zarówno w kręgach naukowych, jak i w społeczeństwie.

Zagrożenie związane z przekroczeniem granicy, za którą komunikacja naukowa staje się już tylko narzędziem marketingu, odbiega od realnych ustaleń badaczy, a przez to traci cnotę uczciwości, dostrzega także Anna Korzekwa-Józefowicz, rzeczniczka Narodowego Centrum Nauki i przedstawicielka tej instytucji w grupie komunikacyjnej Science Europe, skupiającej ponad 50 instytucji finansujących lub prowadzących badania z 27 krajów (w Polsce także Fundacja na rzecz Nauki Polskiej). Jej zdaniem takie niebezpieczeństwo w erze ekonomii uwagi wzrasta. W przyjętej niedawno deklaracji, opatrzonej wielce wymownym tytułem *Wielka nauka nie mówi sama za siebie*, SE zauważa, że takie wyzwania społeczne, jak choćby pandemia, obrazują znaczenie inwestowania w badania naukowe. Ich wyniki muszą być jednak łatwo dostępne i w pełni zrozumiałe, by mogły wpływać na świadome decyzje. Dokument przyznaje naukowcom rolę głównych aktorów w procesie komunikowania, ale docenia media jako kluczowe narzędzie w budowaniu zaufania do nauki.

– Ta deklaracja jest pierwszym efektem działalności naszej grupy komunikacyjnej. Jesienią przeprowadzimy pilotażową kampanię w mediach społecznościowych, w trakcie której instytucje członkowskie podzielą się swoimi doświadczeniami związanymi z przybliżaniem nauki społeczeństwu. Zamierzamy pokazać przykłady dobrych praktyk w zakresie: komunikacji między naukowcami a mediami i ich użytkownikami, badań, w które angażuje się osoby spoza świata naukowego, i współpracy między naukowcami a władzami publicznymi. Chcemy, by było to źródło inspiracji, jak lepiej komunikować naukę i angażować w nią szersze grona użytkowników – tłumaczy Korzekwa-Józefowicz.

Na poligonie

Moi rozmówcy twierdzą, że wymiana informacji między naukowcami a społeczeństwem, której nowe media sprzyjają, stanowiąc przy tym doskonały pas transmisyjny dla fake newsów, będzie musiała – choćby w celu minimalizowania szkód z tego drugiego powodu – przejść proces profesjonalizacji.

– W Polsce takie próby podejmuje z sukcesem np. Pro Science. Sądzę jednak, że brakuje przede wszystkim globalnych graczy, którzy tworzyliby platformy informacyjne zorientowane na tradycyjne media, nie na szeroką publiczność. Nie ma profesjonalnych instytucji brokerskich, które byłyby w stanie przyjmować doniesienia naukowe i tworzyć odpowiednie „feedy” dla mediów, dopasowane do ich potrzeb. Sławę zyskują naukowcy wystarczająco przedsiębiorczy lub z odpowiednim budżetem – przekonuje Jemieliński.

Współzałożycielka i dyrektor zarządzająca wspomnianej firmy Pro Science, Natalia Osica, od 12 lat pomaga naukowcom w prowadzeniu dialogu z otoczeniem. Internetu wcale nie uważa za cudowne narzędzie do tego celu. Już dawno się przekonała, że tak naprawdę... szkodzi on nauce. Przed wypuszczeniem newsa w świat długo się zastanawia, w jaki sposób się go przetworzy. Rzadko kiedy to, co dociera do odbiorców, przypomina bowiem początkową wersję. Najczęściej się okazuje, że... właśnie wynaleziono „lek na raka”.

– Na szkoleniach powtarzam naukowcom: jeśli zdecydujecie się wejść w ten świat, musicie być świadomi konsekwencji i tego, że możecie nie być zadowoleni – ostrzega.

Wśród słabości współczesnej komunikacji wymienia: myślenie przede wszystkim narzędziami, a nie przekazem, co skut-

kuje bezrefleksyjnie wrzucaniem treści, oraz brak selekcji materiałów do popularyzacji. Nie każdy projekt jest wart tego, by zainteresować nim odbiorcę, efekt może być odwrotny do zamierzonego: przesył i zniechęcenie adresatów przekazu. Pandemia, jej zdaniem, dowiodła, że możemy liczyć na naukowców. Dla większości był to swego rodzaju poligon doświadczalny, ale nawet ci, którzy nie mieli dotąd obycia medialnego, dzielnie stawiali czoło wyzwaniu, zaspokajając nagłą potrzebę rzetelnej wiedzy. A jeszcze całkiem niedawno, wspomina, narzekano, że polscy naukowcy są mało widoczni, powoływano się głównie na ich amerykańskich kolegów. Rozpatruje tę zmianę jednak nie w kontekście pandemii, lecz procesu, który zachodzi mniej więcej od dekady.

– Idea komunikowania nauki poza środowisko to stosunkowo młody koncept, narodził się w latach 90. Wtedy zaczęto postrzegać naukę jako służebną wobec społeczeństwa. Teraz, gdy my dopiero dochodzimy do tego momentu, już mówi się, że nauka ma być jednak dla gospodarki, a więc użyteczna, dająca konkretne owoce. Dzisiaj więc wchodzimy w kolejny nurt, który u nas jest jeszcze mało rozwinięty. Ale jesteśmy na dobrej drodze – prognozuje.

Jej zdaniem stworzenie warunków do tego, by społeczeństwo podążało za nauką to jedno, ale „do tanga trzeba dwojga”. Naukowcy już się otworzyli, teraz tą wiedzą muszą być też zainteresowani odbiorcy. Na to, czy ludzie chcą ją zdobywać, przyswajając, wyciągając z niej wnioski, uczeni wpływu już nie mają. Z drugiej strony, zjawiska takie jak pandemia sprzyjają nabywaniu świadomości w odróżnianiu fake newsów od faktów.

– Uczestniczyłam niedawno w projekcie, który miał na celu wskazanie, co należy robić, aby komunikacja naukowa była skuteczniejsza. Doszliśmy do wniosku, że być może naukowcy powinni zacząć odwoływać się do emocji, a jeśli nawet nie oni – bo trudno oczekiwać, żeby ktoś, kto całe życie rozwija się według logicznego myślenia, nagle wszedł w buty człowieka w emocjach – to osoby zajmujące się komunikacją – podpowiada.

Jeszcze inna rzecz to, jak naukowiec, co do zasady pełen wątpliwości, dostrzegający niuanse, ma skonfrontować się z kategoryczną, czarno-białą wizją świata. Połączenie wody z ogniem, na pozór niemożliwe, w tym przypadku może dać efekty. Zaczynają to rozumieć także uczelnie, które obok biur komercjalizujących wiedzę, wspierających pozyskiwanie grantów czy do działań PR, tworzą jednostki zajmujące się umiejętnym informowaniem o wynikach badań. Pierwsze jaskółki już są, np. na Uniwersytecie Gdańskim, UMCS czy Politechnice Śląskiej. W tej ostatniej prowadzi się m.in. kursy „O nauce po ludzku”, ale także szkolenia ze storytellingu, a wkrótce także z infografiki i design thinkingu w edukacji i popularyzacji nauki.

– Myślę, że następnym krokiem, który powinni zrobić doświadczeni naukowcy-popularyzatorzy, jest połączenie sił z osobami zajmującymi się komunikacją naukową zawodowo i systemowe podzielenie się doświadczeniem i wiedzą, – uważa dr Aleksandra Ziemińska-Buczyńska, dyrektor Centrum Popularyzacji Nauki PŚ.

Portalowa choroba

Zmian czeka nas więcej. Niektóre można dostrzec już teraz. Jeszcze całkiem niedawno popularnością wśród naukowców cieszyły się blogi. Format wydawał się wręcz dla nich skrojony, ale z dziesiątków takich stron pozostało dziś niewiele. Naukowcy przenieśli się gdzie indziej.

– Każdy indywidualnie dopasowuje swoją strategię komunikacyjną. Niektórzy mają dość samozaparcia, aby prowadzić własnego bloga. Ja sam od czasu do czasu publikuję na Medium. Zrobiłem to choćby w odpowiedzi na wirusowe rozpowszech-

nienie się informacji o współrealizowanych przeze mnie badaniach na temat modlitw. Twittował o nich Elon Musk, pisały polskie i zagraniczne media, dorobiliśmy się nawet mema, co doprowadziło do nieuniknionych przeinaczeń i nieporozumień. Na co dzień jednak używam jedynie Twittera, Facebooka i LinkedIn i sądzę, że z uwagi na prawo Metcalfe'a, to rozsądne podejście wobec ograniczonego czasu – tłumaczy Jemielniak.

Nie znaczy to, że blogi całkiem zanikły. Format ten przejęły uczelnie, tworząc specjalne sekcje, w których prezentują wywiady i teksty poświęcone osiągnięciom naukowym. Tak dzieje się m.in. na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, Uniwersytecie Jagiellońskim czy niepublicznej Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie. To trend, jak wskazuje N. Osica, widoczny już od jakiegoś czasu na Zachodzie. Radzi, by korzystać z tej możliwości, a nie rzucać się na głęboką wodę i zakładać własnego bloga, do tworzenia którego za pół roku zabraknie zapału. Takich porzuconych stron jest w sieci bez liku.

– To jedna z chorób, które trawią świat nauki. Płakać mi się chce, jak pomyślę, ile pieniędzy wydaje się na powstanie stron, które po realizacji projektu przestają być aktualizowane. Jak już chcesz zrobić swoją stronę, to prezentuj na niej swoją działalność naukową, jako punkt wyjścia przyjmij problem badawczy, a nie konkretny projekt. Niech to będzie miejsce agregujące całą wiedzę, którą generujesz w ramach swoich badań – zwraca się do naukowców.

Jej zdaniem, nadal nie korzystają oni ze zbyt wielu kanałów komunikacji, nawet tych, które służą do budowania ich widoczności w świecie nauki. Prowadząc szkolenia uświadamiające naukowców, na czym polega budowanie widoczności poza akademią, np. we współpracy z dziennikarzem, przy użyciu Facebooka, często bywa zaskoczona, gdy okazuje się, że wielu z nich nie jest widocznych w podstawowych kanałach komunikacji naukowej, np. ResearchGate, Google Scholar czy Mendeley.

Sugeruje też potrzebę dywersyfikacji. Uważa, że media tradycyjne, z dłuższymi formatami, idealnie nadają się do popu-

laryzacji nauki, jej osiągnięć i sukcesów, z kolei sieć powinna służyć do treści, których ludzie potrzebują, tego, co chcą wiedzieć. W tym drugim przypadku należałoby bardziej działać na zasadzie rozwiewania wątpliwości, korygowania informacji z powoływaniem się na dostępne badania.

– Czyli przyjąć inny punkt wyjścia w komunikacji, nie od badań do ludzi, lecz odwrotnie. Skoro internet najdoskonalej obrazuje poziom wiedzy społeczeństwa, to warto zastąpić informowanie o wynikach badań per se mapowaniem dyskusji i potocznej wiedzy na dany problem i tworzeniem przekazu w reakcji na to, co piszą internauci. Inna rzecz, że łatwo przy tym narazić się na hejt. Z tego względu naukowcy uciekają, nie chcą być elementem tej układanki i ja się im nie dziwię. Trzeba mieć naprawdę grubą skórę, żeby przejść ponad tym – zauważa.

Wtórą jej Ziemińska-Buczyńska, nawołując do edukacji i naukowców, i odbiorców, właśnie choćby w zakresie umiejętnego dyskusowania w wirtualnym świecie. Popularyzacja „w realu” zdaje się jej o wiele ciekawsza i stymulująca dla obu stron. To proces dwukierunkowy, tyle że jeden z tych wektorów – poddanie się weryfikacji i otwarcie na potencjalną krytykę – jest, w jej ocenie, największą słabością wersji online. Przyznaje, że sieć, a w niej media społecznościowe, daje o wiele większe możliwości, lecz ograniczone do krótkich, „zachęcających” form. Nie jest to miejsce na elaboraty, raczej na coś w rodzaju teasera: ładny obraz, krótki film czy infografika. W odpowiedzi na to zapotrzebowanie, przekonuje, w siłę mają szansę urosnąć podcasty naukowe, które umożliwią słuchanie „przy okazji” innych czynności. Zwraca też uwagę, że podobnie jak w badaniach naukowych, coraz wyraźniej widać konieczność interdyscyplinarności również w komunikacji. Tworzy się większe zespoły, żeby zwiększyć jej zasięg i efektywność.

– Naukowcy wychodzą ze swojej strefy komfortu, testując na własnej skórze nietypowe formy popularyzacji, również dla nieoczywistej publiczności. To już nie tylko filmy, teksty czy audycje radiowe, ale np. planszówki popularnonaukowe lub stand up naukowy, tzw. soap box science. Komuś, kto nigdy nie pój-



Rys. Sławomir Makal

dzie na festiwal nauki, można w takim naukowym Hyde Parku podać wiedzę poprzez żart – przekonuje.

Cieszy ją, że nauka zaczyna „mówić ludzkim głosem”, wychodzi poza akademię i – co ważne – jest bardzo dobrze przyjmowana. Jej zdaniem zapotrzebowanie w pandemii na takich przystępnych naukowców wynika być może z poszukiwania prawdziwych, twardych faktów, czyli jest czymś stabilnym w niestabilnych czasach. To właśnie dzięki zawojowaniu tej przestrzeni możliwe były szeroko zakrojone kampanie związane m.in. z fake newsami i szeroko pojętą pseudonauką czy też akcje prozdrowotne. Obserwuje jednak także wysyp inicjatyw realizowanych bez konsultacji merytorycznej z naukowcami biegłymi w danym temacie czy bardziej doświadczonymi w komunikacji naukowej. Stosunkowo prosta i przystępna forma nie idzie często w parze z merytoryką.

– Dlatego niezbędne jest uczenie odbiorcy krytycznego myślenia i selekcjonowania faktów, sprawdzania źródeł. Tylko w taki sposób będzie można odśiać treści wartościowe od szumu pozostałych informacji – nie ma wątpliwości Ziemińska-Buczyńska, dodając, że również naukowcy muszą się edukować, np. w zasadach dobrej komunikacji, w tym bezwzględnie pilnowaniu merytoryki wypowiedzi.

Oczywiście w polu ich widzenia to komunikacja wewnętrzna pozostanie na pierwszym miejscu. Nie powinno to dziwić: to sół ich pracy, dzięki niej mogą budować swoją markę, widoczność. Zdaniem prof. Marzeny Świgoń z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, media społecznościowe nie tylko przyspieszyły, ale także umożliwiły autorom rozpowszechnianie informacji o swoich badaniach, zaś odbiorcom śledzenie tych dokonań.

– Spowodowały pojawienie się wskaźników altmetrycznych typu wzmianki, liczba ściągnięć i odczytań tekstu, rekomendacje itd., które obok cytowań (w innych pracach naukowych) mogą do pewnego stopnia służyć np. do śledzenia popularności tematów badawczych. Ponadto ułatwiły wzajemne kontakty i nawiązywanie współpracy, zwłaszcza poprzez ResearchGate czy Academia.edu – tłumaczy.

Z wywiadów prowadzonych przez nią w ramach międzynarodowego projektu Harbingers 2, dotyczącego komunikacji naukowej w czasie i po pandemii (szczegółowe wyniki są jeszcze opracowywane), wynika, że rozpowszechnienie zdalnych form obejmy także i ten element pracy uczonych.

Paradoksalnie jednak, w dobie coraz bardziej zbiurokratyzowanej nauki, to komunikacja do ludzi spoza akademii, swobodniejsza w przekazie, nieobarczona tymi wszystkimi wskaźnikami może dziś dawać więcej prawdziwej, czystej satysfakcji z uprawiania tego zawodu. O ile i ona nie zostanie poddana kiedyś ewaluacji, a zdania co do tego są wśród moich dyskutantów podzielone.

– Komunikacja skierowana do szeroko pojętego otoczenia społeczno-gospodarczego jest równie ważna, a jednak uznaje się ją za dodatek do pracy badawczej czy wręcz „nieszkodliwe hobby”, które powinno być realizowane pro bono. Rejestrujemy dorobek naukowy, ponieważ z niego jesteśmy rozliczani, zaś popularnonaukowy nie ma już tej „mocy sprawczej” wspierającej naszą naukową wartość. A przecież wymaga szerokich kompetencji, kreatywności i równie ważnych umiejętności merytorycznych. Ta różnica w podejściu jest czymś, co chciałabym zmienić – deklaruje A. Ziemińska-Buczyńska.

Z kolei D. Jemielniak przestrzega: obecność medialna jest stosunkowo łatwo mierzalnym kryterium wpływu na otoczenie społeczne, ale... niespecjalnie sensownym, jeżeli chodzi o naukę. Obawia się, że w którejś z kolejnych reform ktoś wpadnie jednak na pomysł, aby oceniać uczelnie za obecność w mediach. Co do jednego wszyscy są zgodni: znaczenie kryterium III ewaluacji będzie rosło. Przed kolejną oceną jako-

ści działalności naukowej uczelnie powinny już zacząć świadomie budować ten wpływ, a w jego ramach także komunikację zewnętrzną.

– Jestem przekonana, że rektorzy odpowiedzą naukowcom, by myśleli nie tylko o tym, jak mieć świetne publikacje, ale i jak tymi wynikami zarażać świat. Tu upatruję dużą szansę – mówi z nadzieją N. Osica.

Blżej obywateli

Gdziegdzie słycać nieśmiało głosy, że dzisiejsza komunikacja naukowa 2.0 to już... przeszłość i pora oblec ją w nowe szaty. Jak będzie zatem wyglądać jej wersja 3.0? Pandemia uwioczniała pewne tendencje.

– Był to czas interesujących doświadczeń. Zasoby naukowe były twórczo wykorzystywane przez użytkowników sieci. Ludzie tworzyli mapki, powiązania, wykresy, kompilacje z różnych dostępnych źródeł. To może być wskazówka, w jakim kierunku będzie to zmierzać. Naukowcy dostarczą danych, które można przetwarzać, dostosowywać do swoich potrzeb – podziwia się A. Kampka.

Na nurt citizen science wskazuje także N. Osica, która zastrzega, że najpierw konieczne jest ucyfryzowanie polskiej nauki i udostępnienie jej w otwartym dostępie. W jej ocenie, tak jak dziś przy przyjmowaniu informacji naukowych ważne jest myślenie krytyczne, ze zrozumieniem, tak przy komunikacji 3.0 kluczowe będzie myślenie analityczne i umiejętność „łączenia kropek”, porównywania właściwych zbiorów danych. Istotne staną się kompetencje do używania narzędzi, które będą te dane przetwarzać.

Kwestię media literacy, czyli przygotowania użytkowników mediów do ich odbioru, rozróżniania źródeł, informacji wartościowych od nieprawdziwych podnosi przy tej okazji A. Korzekwa-Józefowicz. Sugeruje, że to w tej chwili jedno z największych zadań czekających instytucje zajmujące się kształceniem, i to na każdym poziomie. Ale i ona nie ma wątpliwości co do tego, że nauka w niedalekiej przyszłości jeszcze bardziej zbliży się do społeczeństwa.

– Bring science closer to citizens – takie wyzwanie postawiła przed nami wszystkimi Komisja Europejska. Jest to jeden z punktów do realizacji w dokumencie *European Research Area – Policy Agenda* – przypomina rzeczniczka NCN.

Warto dodać, że o nauce obywatelskiej mowa jest także w przyjętej niedawno przez rząd Polityce Naukowej Państwa. Bardziej ostrożne podejście zachowuje D. Jemielniak, zaznaczając, że w świecie nauki zmiany zachodzą bardzo powoli.

– Wystarczy spojrzeć na wciąż wysoki sceptycyzm wobec Wikipedii, kompletnie nieracjonalny i w sprzeczności z wynikami badań, pokazujących, że jakość wiedzy tamże nie odbiega od źródeł płatnych. Serwisy, takie jak academia.edu, ResearchGate czy Mendeley, próbują niemrawo stymulować sieci społecznościowe dla naukowców, ale działa to słabo, na pewno gorzej niż LinkedIn do kontaktów profesjonalnych. Brakuje pomysłu na zaangażowanie w takiej sieci, czyli choćby na innowacje pokroju Decentralized.Science. Myślę, że modus operandi komunikacji naukowej 3.0 dopiero się rodzi – prognozuje.

Być może więc zanim dojdzie do rewolucji, w pierwszej kolejności zmieni się sam punkt wyjścia w komunikacji naukowej.

– Mówienie nie przez pryzmat projektu, jego tytułu, wartości, czasu trwania i kto go realizuje, bo to nudne i szkoda przestrzeni w Internecie. Kluczem jest to, jaki problem chcemy dzięki niemu rozwiązać. Byłabym szczęśliwa, gdyby w polskiej nauce zaczęło się to dziać – podsumowuje N. Osica, która na tym właśnie koncentruje się w pracy z uczelniami, instytucjami i grupami badawczymi.

Socjolog kultury w internecie

Zapiski spod oblężonej twierdzy

Pytanie, czy socjolog może śledzić użytkowników mediów bez ich wiedzy, nie jest pytaniem retorycznym. W przypadku treści prywatnych śledzenie aktywności przez „zapuszczenie robaka”, czyli użycie odpowiednio przygotowanego oprogramowania typu spyware nieświadomym użytkownikom sieci, to naruszenie etyki badań. W badaniach socjologicznych nadal ważny jest szacunek dla respondentów, potrzebny jest ich świadomy udział, świadoma zgoda.

Na przełomie stuleci prowadziłam pierwsze poszukiwania badawcze dotyczące zachowań ludzkich w sieci; rozpoczęłam też wówczas analizę dyskursu w odniesieniu do różnych tematów poruszanych w oficjalnych, publicznych, profesjonalnych i prywatnych przekazach w internecie. Od tego czasu zmienił się znacznie kontekst społeczny i kulturowy funkcjonowania internetu, świat przeżył potężny kryzys ekonomiczny (rozpoczęty w 2008 roku), przewracający wyobrażenie o bezpiecznych finansach zachodnich państw; a także pandemię (rozpoczętą w 2020 roku), która wprowadziła do internetu wiele aktywności zawodowych odbywających się dotychczas w realu. Oczywiście znacznie więcej wydarzeń miało wpływ na obecne funkcjonowanie sieci, jak choćby nowe technologie, czyli wprowadzenie smartfonów i mediów społecznościowych, ale rozmiary tekstu nie pozwalają zająć się wszystkim. A wspominam o tym, by pokazać, z jak zmienną materią mamy do czynienia.

Luźne odwołanie w tytule do wiersza Zbigniewa Herberta (*Raport z oblężonego miasta*) nie jest przypadkowe. W oblężonym mieście nie dzieje się dobrze: „wszyscy chorują tutaj na zanik poczucia czasu”. Tak można skwitować część zachowań użytkowników w sieci: tak zdają się działać gracze internetowi, ludzie uzależnieni od TikToka, osoby dokonujące kwerendy i podążające każdą proponowaną przez wyszukiwarkę ścieżką. Ale sprawa dla badacza jest jeszcze bardziej złożona. Jesteśmy w oblężonej twierdzy, gdy korzystamy z sieci, a raporty pisać mamy z dystansu...

„Sieć, jaką znamy” należałoby przekształcić na wyrażenie „sieć, jaką poznajemy codziennie”. Pojawiają się nowe serwisy, zmiany w funkcjonowaniu starych, niestanne przekształcenia i korporacyjne przejmowanie danych ujawniły problemy natury prawnej – tak jak w przypadku wielu nowych technologii, prawo dostosowuje się do zmian w rzeczywistości społecznej. Zmienność sieci oraz uczestnictwo badacza jako użytkow-

nika i współtwórcy treści sieciowych bardzo dobrze ilustruje problem, na który zwracał uwagę Max Weber w XIX wieku, pisząc o ideale obiektywności w socjologii czy ogólnie – w nauce. Chodzi o to, że badacz jest częścią świata, który bada. Obserwacja zjawisk ze środka przemian może być nasycona emocjami, uprzedzeniami, założeniami, których badacz nawet nie podejrzewa. Trudno się oderwać od własnych doświadczeń. Od tego, że przygotowując badania, jesteśmy nadal w subiektywnej wersji naszego świata.

Dlaczego twierdza i dlaczego oblężenie?

Przekonanie, że w internecie „jest wszystko” pojawiło się wraz ze stopniowym rozrostem i popularnością tego medium. No właśnie – medium? Internet to raczej meta-medium, platforma absorbująca dawne media (prasę, radio, telewizję) i kreująca nowe. Działając na zasadzie konwergencji, stare media przystosowują się do nowego obiegu. Niegdyś uważano, że internet jest dobrem wspólnym; nie można było, i nadal nie można, wskazać jednego właściciela. A jednak... Dostęp do sieci nie jest darmowy, ktoś przydziela miejsce na serwerze, ktoś handluje domenami. W XXI wieku internet jest jeszcze jednym rynkiem, dość zmiennym, ale też podatnym na manipulację i rozmaite wpływy. Z dobra wspólnego, które może dostarczać wielu tematów do badań, odkryć kulturowych i społecznych, tematów do refleksji, i w którym możemy się dzielić materiałami, metodami badawczymi itd., Internet stał się twierdzą. Twierdzą obsadzoną przez korporacje.

Wydawać się może, że w sieci materiał badawczy jest na „jedno kliknięcie”, że wystarczy przejrzeć oficjalne serwisy tematyczne i zająć się całym morzem tematów; albo wejść do mediów społecznościowych, zajrzeć na dowolny portal informacyjny, dowolną dyskusję i można próbować zbierać dane do badania postaw i opinii. To prawda. Trudnością jest tu niestanna

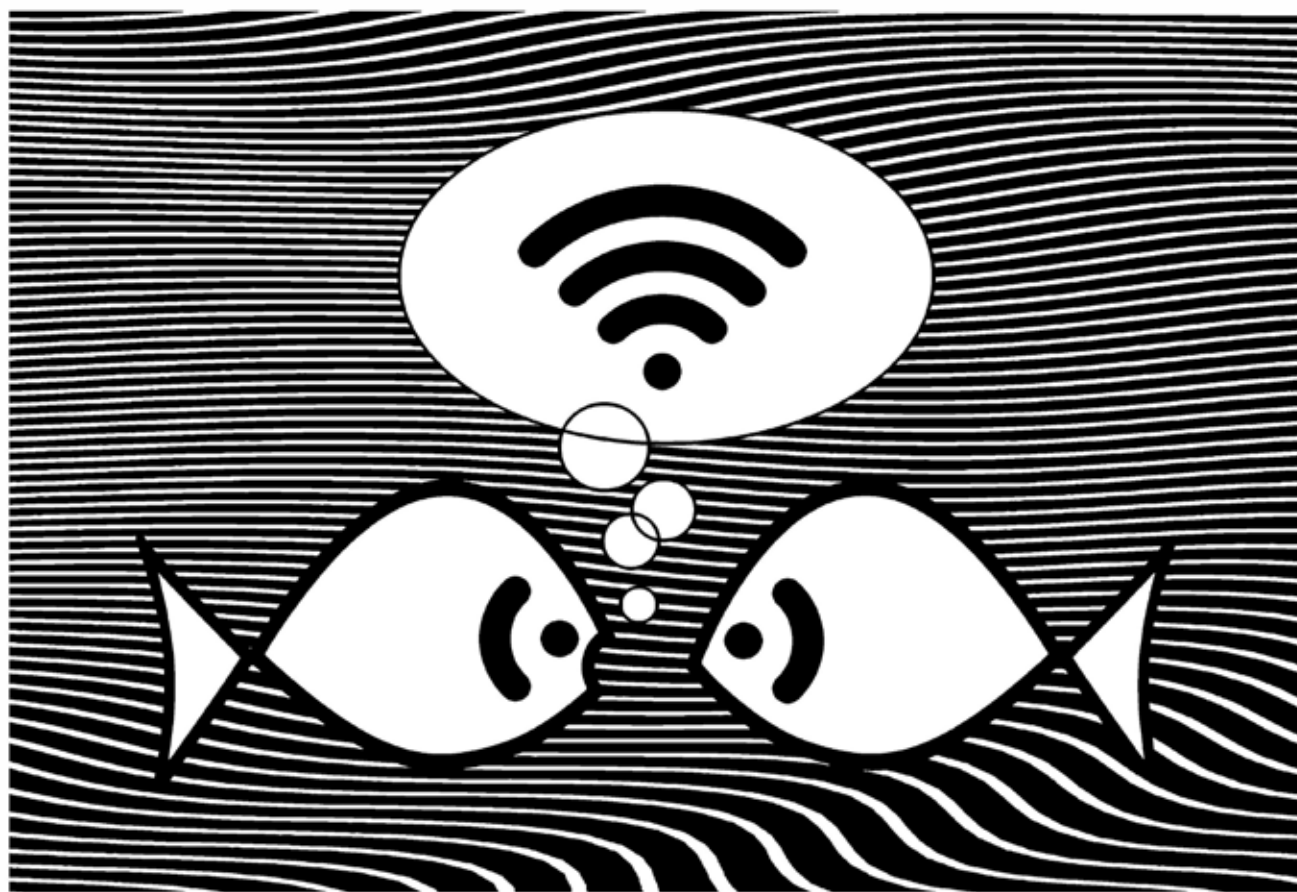
ewolucja sieci, jedne treści znikają, pojawiają się nowe. Znikają wówczas także komentarze. Poza tym wybrane treści oficjalne, publiczne, umieszczane bywają jednocześnie w różnych serwisach, przez co można mieć wrażenie, że temat jest popularny lub że na dany temat wiadomo bardzo niewiele. Mamy też do czynienia z regionalizacją niektórych materiałów, zwłaszcza filmowych. Pewne treści są niedostępne, na przykład, jak podaje komunikat AI, „w twoim regionie” albo „w twoim kraju”. Choć do końca nie ma tu znaczenia geografia, gdy przebywam za granicą, np. w Wielkiej Brytanii czy w Stanach Zjednoczonych, i korzystam z mojego komputera i sieci, nadal jest on cudzoziemcem, przebywającym „w innym regionie”. A materiały filmowe, widoczne dla siedzącego obok mnie Brytyjczyka czy Włocha, dla mnie są niedostępne.

Przekonanie, że w sieci jest „wszystko” dość szybko okazało się złudzeniem podsycanym przez korporacje. Nie wszędzie w sieci i nie zawsze możemy wejść. Do wielu treści mamy dostęp za opłatą (abonament prasowy, wejścia do bibliotek itd.). Wiele serwisów internetowych utrzymuje się z reklam. Wikipedia – fenomen, który miał szansę stać się wspólnym dziełem ludzkości – jest teraz kontrolowana przez AI; a także boryka się z problemami finansowymi, prośby o dotacje stanowią stały komunikat z witryny. Archiwizacja dziedzictwa napotyka na te same problemy. Instytucje kulturalne ponoszą koszty utrzymania strony, kosztowna jest też sama digitalizacja.

Sieć umożliwia autorom prac naukowych widoczność; cieszymy się z tekstów w otwartym dostępie, zapominając, że często za ten otwarty dostęp płacą właśnie autorzy. Także programy, które ułatwiają analizę danych socjologicznych, są płatne. W wersjach demo czy darmowych dostępne są narzędzia o ograniczonym zasięgu. Płatność za publikacje, płatny dostęp do narzędzi wprowadzają podziały i nierówności wśród badaczy. W niektórych placówkach akademickich będą środki

na narzędzia, może nawet na publikacje – w innych nie. Nie każdy może z własnej kieszeni fundować sobie warsztat pracy. To nie zakup długopisu czy ryzy papieru.

Nie zawsze możliwe jest przeprowadzenie badań planowanych przez socjologów. Podstawowe narzędzie badań ilościowych – ankieta – może być przygotowana dzięki specjalnym programom do konstruowania kwestionariuszy badawczych (waham się, czy podać, jakie to programy? Czy to będzie kryptoreklama tych narzędzi? Jeśli mowa jest czasem o „darmowych” wersjach oprogramowania, ceną mogą być nasze dane). Badania takie mają wiele ograniczeń, należy pamiętać, że nie wszyscy potencjalni respondenci korzystają z sieci; nie każdy korzystający jest chętny brać udział w badaniach, a niektórzy korzystają z internetu sporadycznie, nie chcąc zostawiać tu cyfrowych śladów. W przypadku badań sposobu korzystania z sieci konkurencją dla naukowców są badacze zatrudniani przez korporacje żywo zainteresowane nawykami i upodobaniami internautów. Zbierają dane, odczco przekazywane niekiedy przez klientów, a także dzięki niektórym aplikacjom mogą przesłodzić poczynania człowieka w sieci. Głośna afera Cambridge Analytica pokazuje, jak można wykorzystać wiedzę i narzędzia badawcze do manipulowania w sieci. Ale to niejedyny takie nadużycie w świecie cyfrowym. Ponad 10 lat temu analitycy pracujący dla Facebooka przeprowadzili „badanie” emocjonalnej podatności na treści wyświetlane na profilach znajomych, nieświadomych sytuacji użytkowników. I nie chodziło o niewielką grupę. Kolos taki jak Facebook był w stanie śledzić konta niemal 700 000 osób. I podsuwać odpowiednie treści. Adam Kramer ze współpracownikami w 2014 roku opublikował wyniki tych eksperymentów (zainteresowani mogą poczytać o tym: <https://www.pnas.org/content/111/24/8788>). Można jednak mieć wątpliwości nie tylko etyczne, ale i metodologiczne. Aby stwierdzić, że „emocjonalna zaraźliwość” ma



Rys. Slavomir Makal

miejsce także w wirtualnym świecie, w tym wypadku na Facebooku, potrzebne byłoby znacznie bardziej złożone badanie niż analiza publikowanych przez internautów treści. Milczące założenie, że „reakcje” w mediach społecznościowych i komentarze wynikają z autentycznych odczuć użytkowników, nie było potwierdzone nalezitymi badaniami. To tak, jakby zakładać, że wszystkie nadejście i gratulacje, słowa „cieszę się” wypowiedziane w sytuacjach publicznych emocjonalnie przekraczają konwencję. Konwencja grzecznościowo-towarzyska nie musi wyzwać reakcji emocjonalnych.

Wracając do badań naukowych, pytanie, czy socjolog może śledzić użytkowników mediów bez ich wiedzy, nie jest pytaniem retorycznym. Odpowiedź jest tu dwojaka. W przypadku analizy publicznych treści, w tym komentarzy, postów, materiałów wizualnych zamieszczanych przez użytkowników sieci, najwyraźniej można, skoro zostały one udostępnione jako publiczne. Choć przez ostatnie 20 lat wśród badaczy trwały dyskusje na ten temat, niektórzy dowodzili, iż i tu należałoby prosić o pozwolenie; jednak w tym czasie zmieniły się też charakter internetu i zachowania użytkowników. Natomiast w przypadku treści prywatnych, śledzenie aktywności przez „zapuszczenie robaka”, czyli użycie odpowiednio przygotowanego oprogramowania typu spyware nieświadomym użytkownikom sieci, to naruszenie etyki badań. W badaniach socjologicznych nadal ważny jest szacunek dla respondentów, potrzebny jest ich świadomy udział, świadoma zgoda. Ta zasada jest źródłem wątpliwości co do udostępniania w sieci wyników badań niegdyś przeprowadzonych. Umieszczanie w archiwach cyfrowych dawnych wywiadów wydawać się może celowe, stanowić mogą one skarby dla przyszłych badaczy. Jednakże ich upublicznienie w sieci godzić może w anonimowość respondentów. Ktoś, kto udzielał wywiadu w latach 90. XX wieku, zgadzał się na wywiad pogłębiony, anonimowy do celów badawczych, wyrażał zgodę na udział w konkretnych badaniach. Nie mógł wówczas wyrazić zgody na udostępnienie tych treści w publicznie dostępnym archiwum; sieć, jaką znamy, dopiero się rozwijała. A nie wiemy, czy takiej zgody dany respondent dziś by udzielił. Poza tym anonimizacja staje pod znakiem zapytania. Dane metryczkowe wywiadu – jeśli np. nazwa miejsca zamieszkania jest podana, bądź nazwa miejscowości czy inne dane identyfikacyjne padły w trakcie wywiadu – mogą wystarczyć do ustalenia tożsamości „anonimowego” rozmówcy. Jeśli jeszcze archiwista wstawiłby w sieć nagrania wywiadu w postaci plików MP3 czy WAV, to mamy możliwość identyfikacji człowieka po głosie, stylu wypowiedzi itd. Czy badany wyraziłby na coś takiego zgodę? Na takie ujawnienie swoich refleksji?

Co zyskał dzięki sieci?

Pamiętając o komercyjnych aspektach internetu, warto spytać o zyski z sieci dla badacza. Od początku XXI stulecia kilkakrotnie zmieniły się paradygmaty myślenia o internecie i ramy teoretyczne, które umożliwiają prowadzenie badań, a także analizę i interpretację ich wyników. Wielokrotnie też badacze stawali bezradni w obliczu konsekwencji technologicznych przemian. Sieć uczy pokory. Nie wszystko możemy przewidzieć i zaplanować. Możemy natomiast obserwować skutki działania technologii. Na przykład badania „wpływu” technologii – tak dramatycznie nowych jak telefon komórkowy, a później smartfon – jest niemal niemożliwa, bo poza samą technologią działają jeszcze inne czynniki. Nie da się tego czynnika wyizolować; a poza tym należałoby zrobić badania przed wprowadzeniem technologii. I to nie badania popytowe, ale dotyczące stylu życia, nawyków i postaw, potrzeb, stylów komunikacji itd. A tego nie da się przeprowadzić „tuż przed”; nie zawsze wiadomo, nad czym pracują korporacje. Obserwujemy już zaist-

niałe zmiany i pewną równoległość procesów w rzeczywistości społecznej, ale już relacji wynikania nie powinniśmy z tego wnioskować.

W socjologii pojawiły się nowe dziedziny i obszary poszukiwań: socjologia internetu, wraz ze szczegółowymi tematami, jak np. socjologia internetowych więzi. Tematem jest tu sam internet i sposób korzystania z sieci. Socjolog kultury zaś obserwuje te zjawiska, które świadczą o przekształcaniach społecznych, a które istnieją tylko w internecie i tylko dzięki internetowi, np. blogi; „pokolenie apek” (the app generation). Warto zauważyć, że najwięcej swobody socjolog kultury ma w badaniach treści pojawiających się w sieci. Takie badania są zawsze ciekawe, mają charakter dokumentalny. Również w socjologii mediów zmieniły się charakter i skala zjawisk, aktorzy medialni i styl propagowanych treści. Pole badań przeniosło się w inne rejony i nieco rozszerzyło także w dziedzinach takich jak socjologia wizualna czy socjologia konsumpcji. Sieć bowiem to nowy rynek, także czarny rynek, przestępczość internetowa to kolejne pole do eksploracji, choć zapewne bardzo trudnej. Socjologia pracy oraz nauki o zarządzaniu także mają nowe pole badań, gdyż przekształciła się rzeczywistość miejsca pracy, dzięki sieci pojawiły się na rynku pracy nowe zawody. W 2020 roku sieć umożliwiła wszakże przerwienie się na pracę zdalną na skalę niespotykaną przed pandemią. Entuzjazm nowości i wygody nieco przygasł, gdy pandemia ujawniła też patologię tego systemu, a także zbyteczność wielu stanowisk i miejsc. Warto się zastanowić, czy ziściły się już przewidywania nowej stratyfikacji społecznej, oznaczającej podział cyfrowego społeczeństwa na digitarium, cogitarium i proletariatus? Należy pamiętać, że niecały świat jest w zasięgu sieci, nie wszyscy korzystają z komputerów, nie wszyscy potrafią i nie wszyscy chcą korzystać z cyfrowego świata.

Poza tematami do badań, sieci zawdzięczamy też narzędzia badawcze. Gdyby skoncentrować się na narzędziach dostępnych dla socjologów czy bardziej ogólnie – badaczy nauk społecznych, to właściwie tekst mógłby się składać z katalogu technik i sposobów korzystania z sieci w badaniach, wzbogaconego najciekawszymi przykładami. Wspomnę tu jedynie systemy takie jak Maxqda, CLARIN-PL, Atlas.ti. Są to narzędzia przygotowane do analizy danych jakościowych i mieszanych, umożliwiają kompleksowe opracowanie wyników badań. Zastanawiam się, czy to nie kryptoreklama, gdyż z wymienionych jedynie CLARIN udostępnia infrastrukturę i zasoby za darmo i jest tworzony przez sieć polskich ośrodków naukowych (<http://clarin-pl.eu/>). Powstają także narzędzia do analizy mediów społecznościowych. W wielu przypadkach korzystać możemy też z ułatwień w przygotowaniu tekstu do druku i wspólnej pracy nad jednym artykułem (np. Citavi, też komercyjny program).

Podsumowując, w uproszczeniu można uznać, że informatyka i internet oferują narzędzia, ale to badacz nauk społecznych stawia pytania. Przyszłością badań prowadzonych przez internet i prowadzonych w Internecie wydają się prawdziwie interdyscyplinarne i wieloaspektowe badania – z wykorzystaniem algorytmów przygotowanych specjalnie na potrzeby danego projektu. Wiele badań możliwych jest i będzie dzięki współpracy między socjologami a informatykami. Jednakże dostępne obecnie sieciowe narzędzia zazwyczaj mają skazy, nie są w stanie uwzględnić wszystkich aspektów badanych zjawisk. Przyszłość zatem to ścisła współpraca inżynierów informatyków (programistów) z socjologami (w tym także z socjologami kultury), by przeprowadzone badania przynosiły odpowiedzi na ważne dla nauki pytania.

Prof. dr hab. Urszula Jarecka, kierownik Zakładu Teorii Kultury, Instytut Filozofii i Socjologii PAN w Warszawie

100 NAJZDOLNIEJSZYCH MŁODYCH NAUKOWCÓW

Fundacja na rzecz Nauki Polskiej ogłosiła listę stu najzdolniejszych polskich naukowców przed trzydziestką. Są to laureaci i laureatki konkursu w programie START (konkurs 2022), w którym Fundacja nagradza wybitnych przedstawicieli młodego pokolenia badaczy. W tym roku stypendia zostały przyznane po raz trzydziesty.

Program START Fundacji na rzecz Nauki Polskiej jest najstarszym w Polsce programem stypendialnym dla najlepszych młodych naukowców reprezentujących wszystkie dziedziny nauki. Jego celem jest wspieranie wybitnych młodych uczonych i zachęcanie ich do dalszego rozwoju naukowego. Laureaci programu START otrzymują roczne stypendium w wysokości **28 tys. zł.** Mogą je przeznaczyć na dowolny cel.

„Tegoroczny konkurs jest dla nas wyjątkowy, gdyż w tym roku świętujemy 30., jubileuszową edycję programu START. Od 1993 r. nagrodziliśmy ponad 3 300 obiecujących, młodych naukowców i naukowczyń, przyznając im łącznie ponad 90 milionów złotych dofinansowania. Laureatami START zostają badacze, którzy, mimo że dopiero zaczynają karierę naukową, już mogą się pochwalić imponującymi osiągnięciami badawczymi. Zadaniem Fundacji na rzecz Nauki Polskiej jest im pomóc, wesprzeć ich potencjał, aby mogli rozwinąć skrzydła” - mówi prof. Maciej Żylicz, prezes FNP.

„Setka” nagrodzonych w tym roku badaczy została wybrana z grona **794** kandydatów. Dorobek sześciu osób – głównie kobiet - został szczególnie wyróżniony przez recenzentów oceniających wnioski. Aż 54 % wszystkich nagrodzonych posiada stopień doktora (w Polsce przeciętny wiek uzyskiwania doktoratu wynosi około 35 lat), w tym 23 kobiety i 31 mężczyzn. Łączna kwota przeznaczona przez FNP na stypendia w 30. konkursie w programie START to **3 000 000 zł.**

Stypendyści programu START są wybierani w drodze wieloetapowego konkursu, w którym oceniana jest jakość ich dotychczasowego dorobku naukowego.

„Program START trwa już od 30 lat, a jego popularność i prestiż niezmiennie rosną. Dla młodych naukowców to ważne wyróżnienie, które ma wymierną wartość, przede wszystkim naukową. Wielu laureatów i laureatek nagrodzonych na przestrzeni tych 30 lat to dziś wybitni naukowcy i naukowczynie, autorytety cieszące się uznaniem nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Z pewnością również o tegorocznych laureatach i laureatkach nie raz jeszcze w przyszłości usłyszymy” – mówi Justyna Motrenko, kierowniczka Zespołu ds. Nagród i Stypendiów w FNP.

Od 2009 r. Fundacja przyznaje również w programie START **wyróżnienia** kandydatom, których osiągnięcia badawcze zostały ocenione przez recenzentów konkursu jako wybitne. Stypendia tych osób zostaną podwyższone do kwoty **36 tys. zł.** W tym roku wyróżnienia otrzymali:

- **Mgr Aleksandra Kopacz** z Wydziału Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie,
- **Dr Dariusz Kosz** z Wydziału Matematyki Politechniki Wrocławskiej,
- **Dr Joanna Mazur** z Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego.

W ramach programu START przyznawane jest również **Stypendium im. Barbary Skargi.** Może je otrzymać osoba, której badania wyróżniają się odważnym przekraczaniem granic pomiędzy różnymi dziedzinami nauki, otwierają nowe perspektywy badawcze i tworzą nowe wartości w nauce. Tegorocznym laureatem został **mgr inż. Sylwester Swat** z Wydziału Informatyki i Telekomunikacji Politechniki Poznańskiej.

Od roku 2015 r. Fundacja na rzecz Nauki Polskiej w programie START przyznaje **wyróżnienie im. prof. Adama Sobiczewskiego.** Może je otrzymać laureat prowadzący badania naukowe w dziedzinie matematyki, fizyki teoretycznej bądź astronomii. Ponadto głównym kryterium wyróżnienia jest wyjątkowo wysoka jakość dorobku naukowego kandydata. W tym roku otrzymała je **mgr Aleksandra Olejak** z Centrum Astronomicznego im. Mikołaja Kopernika PAN w Warszawie.

W bieżącym konkursie po raz pierwszy przyznane zostało stypendium z **wyróżnieniem im. prof. Wacława Szybalskiego,** które otrzymać może wybitny młody naukowiec prowadzący badania w dziedzinach nauki uprawianych przez Fundatora, czyli biotechnologii, genetyce lub biologii molekularnej. Stypendium otrzymała **mgr Aleksandra Synowiec** z Małopolskiego Centrum Biotechnologii przy Uniwersytecie Jagiellońskim.

Stypendia w konkursie 2022 zostaną sfinansowane zarówno z budżetu Fundacji, jak i ze środków przekazanych przez prywatnych i instytucjonalnych darczyńców oraz z wpłat 1% podatku dochodowego

Nabór wniosków do kolejnego konkursu rozpocznie się jesienią br.





Fundacja na rzecz
Nauki Polskiej

Laureaci stypendium START dla młodych uczonych Fundacji na rzecz Nauki Polskiej edycja 2022

Stypendysta	Instytucja	Dziedzina
Angelika Andrzejewska-Romanowska	Instytut Chemii Bioorganicznej Polskiej Akademii Nauk	biologia molekularna
Magda Antoniak	Politechnika Wrocławska	inżynieria materiałowa
Maciej Behnke	Politechnika Wrocławska	psychologia
Alicja Bielak	Instytut Filozofii i Socjologii	literaturoznawstwo
Piotr Bońkowski	Politechnika Opolska	budownictwo
Judyta Borchet	Uniwersytet Gdański	psychologia
Ireneusz Bugański	Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie	fizyka
Michał Bukała	Instytut Nauk Geologicznych Polskiej Akademii Nauk	geologia
Łukasz Chorchoś	Politechnika Warszawska	telekomunikacja
Anna Dawid-Łękwowska	Uniwersytet Warszawski	fizyka
Norbert Delestowicz	Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk	historia
Magdalena Derbis	Instytut Chemii Bioorganicznej Polskiej Akademii Nauk	biologia molekularna
Marcin Drop	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie	nauki farmaceutyczne
Wojciech Drożdż	Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu	inżynieria chemiczna
Jakub Dybaś	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie	biofizyka
Marcin Dyderski	Instytut Dendrologii Polskiej Akademii Nauk	ekologia
Klaudyna Fidył	Warszawski Uniwersytet Medyczny	biologia medyczna
Kinga Gawlińska	Instytut Farmakologii im. Jerzego Maja Polskiej Akademii Nauk	biologia medyczna
Olga Gewartowska	Międzynarodowy Instytut Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie	biologia molekularna
Grzegorz Głabisz	Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu	historia
Szczepan Głodzik	Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie	fizyka
Konrad Graczyk	Uniwersytet Śląski w Katowicach	prawo
Dominik Gryboś	Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie	mechanika
Tomasz Grzywa	Warszawski Uniwersytet Medyczny	medycyna przedkliniczna
Piotr Jankowski	Politechnika Białostocka	mechanika
Artur Jędrzak	Politechnika Poznańska	technologia chemiczna
Kaja Karaś	Instytut Biologii Medycznej PAN w Łodzi	biologia medyczna
Adrian Konopko	Uniwersytet Warszawski	chemia
Aleksandra Kopacz	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie	biologia molekularna
Wojciech Kordyżon	Uniwersytet Warszawski	literaturoznawstwo
Inga Korolczuk	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie	psychologia
Dariusz Kosz	Politechnika Wrocławska	matematyka
Mateusz Koziej	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie	medycyna przedkliniczna
Dawid Kozień	Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie	inżynieria materiałowa
Weronika Kruszelnicka	Politechnika Bydgoska im. Jana i Jędrzeja Śniadeckich	budowa i eksploatacja maszyn
Krzysztof Kubiczek	Politechnika Śląska w Gliwicach	elektrotechnika
Donata Kuczyńska-Zemła	Politechnika Warszawska	inżynieria materiałowa
Łukasz Kurowski	Szkoła Główna Handlowa w Warszawie	ekonomia
Vanessa Linke	Międzynarodowy Instytut Mechanizmów i Maszyn Molekularnych Polskiej Akademii Nauk	biochemia
Michał Lipka	Uniwersytet Warszawski	fizyka
Jagoda Dominika Litowczenko-Cybulska	Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu	biocybernetyka i inżynieria biomedyczna
Paweł Łowicki	Uniwersytet Warszawski	psychologia
Kamila Maciejewska	Polska Akademia Nauk	inżynieria materiałowa
Michał Magott	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie	chemia fizyczna

Adam Mamot	Uniwersytet Warszawski	biochemia
Helena Markowska-Fulara	Uniwersytet Warszawski	literaturoznawstwo
Joanna Mazur	Uniwersytet Warszawski	prawo
Łukasz Milanowski	Warszawski Uniwersytet Medyczny	medycyna kliniczna
Agata Mlonka-Mędrala	Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie	inżynieria środowiska
Anna Niemczyk	Instytut Energetyki - Instytut Badawczy	inżynieria materiałowa
Jakub Nowak	Uniwersytet Warszawski	klimatologia i meteorologia
Aleksandra Olejak	Centrum Astronomiczne im. Mikołaja Kopernika PAN w Warszawie	astronomia
Krzysztof Ostrowski	Politechnika Krakowska im. Tadeusza Kościuszki	budownictwo
Amanda Pacholak	Politechnika Poznańska	ekologia
Katarzyna Małgorzata Parchimowicz	Uniwersytet Wrocławski	prawo
Agata Pawlina	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie	językoznawstwo
Anna Pawłowska	Uniwersytet Medyczny w Lublinie	biologia medyczna
William Pearson	Narodowe Centrum Badań Jądrowych	astronomia
Manuel Peris Diaz	Uniwersytet Wrocławski	chemia fizyczna
Paweł Piątek	Uniwersytet Medyczny w Łodzi	biologia medyczna
Monika Piersa-Siłkowska	Uniwersytet Warszawski	fizyka
Justyna Piwek	Politechnika Poznańska	technologia chemiczna
Katarzyna Polanowska	Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu	technologia żywności i żywienia
Marta Poźniak	Uniwersytet Wrocławski	biotechnologia
Paweł Rajwa	Śląski Uniwersytet Medyczny w Katowicach	medycyna kliniczna
Łukasz Rakoczy	Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie	inżynieria materiałowa
Agnieszka Razim	Instytut Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN Wrocław	biotechnologia
Mariusz Sandomierski	Politechnika Poznańska	inżynieria materiałowa
Jakub Skrzeczowski	Uniwersytet Warszawski	matematyka
Kamil Smolak	Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu	geografia społeczna
Szymon Sobczak	Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu	chemia fizyczna
Iga Solecka	Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu	kształtowanie środowiska
Jakub Spytek	Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie	mechanika
Natalia Stec	Międzynarodowy Instytut Biologii Molekularnej i Komórkowej	biologia molekularna
Kinga Stefanowska	Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu	inżynieria materiałowa
Sylwester Swat	Politechnika Poznańska	informatyka
Klaudia Sychta	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie	botanika
Aleksandra Synowiec	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie	wirusologia
Justyna Szczepańska	Instytut Biotechnologii Przemysłu Rolno-Spożywczego w Warszawie	technologia żywności i żywienia
Hubert Szczerba	Uniwersytet Przyrodniczy w Lublinie	technologia żywności i żywienia
Jan Szczypiński	Warszawski Uniwersytet Medyczny	psychologia
Krzysztof Szulc	Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu	fizyka
Sara Targońska	Instytut Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych im. Włodzimierza Trzebiatowskiego Polskiej Akademii Nauk	chemia
Michał Terlecki	Politechnika Warszawska	chemia
Karolina Tkacz	Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu	technologia żywności i żywienia
Mateusz Tomal	Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie	ekonomia
Wiktoria Tomal	Politechnika Krakowska im. Tadeusza Kościuszki	inżynieria chemiczna
Michał Tomczyk	Politechnika Poznańska	informatyka
Aleksandra Tymoszewska	Instytut Biochemii i Biofizyki Polskiej Akademii Nauk	mikrobiologia
Wojciech Uchman	Politechnika Śląska w Gliwicach	inżynieria środowiska
Katarzyna Walczak	Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie	inżynieria materiałowa
Dawid Walentek	Uniwersytet Warszawski	stosunki międzynarodowe
Dorota Wiśniewska	Uniwersytet Wrocławski	historia
Marek Wodziński	Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie	biocybernetyka i inżynieria biomedyczna
Dominik Wojtkowiak	Politechnika Poznańska	budowa i eksploatacja maszyn
Hubert Wyszkowski	Uniwersytet Gdański	biologia molekularna
Przemysław Zawadzki	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie	filozofia
Sylwia Zięba	Instytut Fizyki Molekularnej Polskiej Akademii Nauk w Poznaniu	fizyka
Maciej Żołądek	Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie	inżynieria środowiska
Agnieszka Żuchowska	Politechnika Warszawska	biotechnologia

Stypendia START są przyznawane przez FNP od 1993 r. Do 2022 r. łącznie FNP nagrodziła **3 300 osób** i przyznała **3 936 stypendiów** (w latach 2002-2015 istniała możliwość otrzymania stypendium START dwukrotnie) w łącznej wysokości **90,5 mln zł**.

Stypendia START stanowią wyróżnienie dla młodych naukowców, którzy, choć dopiero rozpoczynają karierę naukową, mogą się już wykazać znaczącymi osiągnięciami badawczymi. O stypendium ubiegać się mogą młodzi naukowcy do 30 r.ż. (lub starsi, jeżeli korzystają z regulaminowych możliwości przedłużenia). Dorobek kandydatów - udokumentowany patentami lub publikacjami w uznanych polskich i zagranicznych periodykach naukowych – jest oceniany przez uczonych będących autorytetami w swoich dziedzinach. Formalnie poprawne wnioski najpierw ocenia panel ekspercki, który najlepsze kandydaty kieruje do recenzji. Każdemu wnioskowi zakwalifikowanemu do tego etapu przygląda się kolejnych trzech recenzentów. Na podstawie opinii zebranych na poszczególnych etapach oceny merytorycznej wyboru laureatów dokonuje Zarząd Fundacji. Decyzja Zarządu zatwierdzana jest przez Radę Fundacji.

Program START oferuje również dodatkowe finansowanie (stypendium wyjazdowe) na wyjazd studyjny do zagranicznego ośrodka naukowego oraz możliwość wzięcia udziału wybranych stypendystów w spotkaniu z noblistami w niemieckim Lindau.

Od 2004 roku stypendia START są finansowane ze środków przekazanych Fundacji na podstawie ustawy prywatyzacyjnej z 2000 roku (na mocy tej ustawy 2% środków z prywatyzacji jednoosobowych spółek Skarbu Państwa było przekazywane w latach 2003-2004 na majątek Fundacji; po zmianie ustawy adresatem 2% środków uzyskiwanych w dalszych etapach prywatyzacji został nieistniejący już Komitet Badań Naukowych). Kolejnymi źródłami finansowania stypendiów są darowizny przekazywane przez prywatnych darczyńców oraz firmy, a także wpłaty 1% podatku dochodowego.

* * *

Fundacja na rzecz Nauki Polskiej istnieje od 1991 r. i jest niezależną, samofinansującą się instytucją pozarządową typu non-profit, która realizuje misję wspierania nauki. Jest największym w Polsce pozabudżetowym źródłem finansowania nauki. Do statutowych celów FNP należą: wspieranie wybitnych naukowców i zespołów badawczych oraz działanie na rzecz transferu osiągnięć naukowych do praktyki gospodarczej. Fundacja realizuje je poprzez przyznawanie naukowcom indywidualnych nagród i stypendiów, przyznawanie subwencji na wdrażanie osiągnięć naukowych do praktyki gospodarczej, inne formy wspierania ważnych przedsięwzięć służących nauce (jak np. programy wydawnicze). Fundacja angażuje się także we wspieranie międzynarodowej współpracy naukowej oraz zwiększanie samodzielności naukowej młodego pokolenia uczonych.



foto: Magdalena Wiśniewska-Krasinska, Archiwum FNP

Partner programu START:



Konkurs START 2022 w liczbach

3 000 000 zł – łączna kwota przeznaczona przez FNP na stypendia w 30. konkursie w programie START;

794 wnioski do konkursu;

100 laureatów (12,6 % spośród ubiegających się o stypendium);

55 mężczyzn i **45** kobiet wśród laureatów;

54% laureatów (54 osoby) ma stopień doktora (w momencie składania wniosku); w tym **23** kobiety i **31** mężczyzn;

Dziedziny najczęściej reprezentowane przez laureatów: nauki biologiczne i medyczne (31 stypendiów); nauki techniczne (28 stypendiów); nauki humanistyczne i społeczne (20 stypendiów); nauki fizyczne i matematyczne (11 stypendiów); nauki chemiczne (10 stypendiów).

Instytucje, z których pochodzi największa liczba stypendystów: **Uniwersytet Warszawski** (12 stypendystów), **Uniwersytet Jagielloński** (10 stypendystów), **Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica** (9 stypendystów), **Politechnika Poznańska** (7 stypendystów) oraz **Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu** (6 stypendystów).

Miasta, z których rekrutuje się najwięcej stypendystów: **Warszawa** (30 stypendystów), **Kraków** (23 stypendystów), **Poznań** (18 stypendystów), **Wrocław** (13 stypendystów).

Placówki naukowe, z którymi związani są stypendyści, to: **uczelnie** (80, z czego 30 reprezentuje politechniki) oraz **instytuty PAN** (16).

Więcej:

www.fnp.org.pl

start.fnp.org.pl

PWr po raz kolejny przyzna nagrodę im. Stanisława Lema

Wystartowała druga edycja **Europejskiej Nagrody im. Stanisława Lema (Lem Prize)**.

Na młodego naukowca, którego badania mają szansę pozytywnie wpłynąć na przyszłość naszej cywilizacji czeka 100 tysięcy złotych. Zgłoszenia można wysłać do 30 września.

– Wizjoner, futurysta łączący technikę z rozwojem cywilizacji. Stanisław Lem jest postacią tak wyjątkową, że jego twórczość powinna wpływać także na osoby odpowiedzialne za tworzenie nowych technologii – mówi prof. Arkadiusz Wójs, rektor Politechniki Wrocławskiej. – Nagroda jego imienia jest więc skierowana do młodych naukowców, których odkrycia mogą w przyszłości zmienić świat – dodaje.

Nagroda została ustanowiona w 2021 r. dla upamiętnienia 100. urodzin wybitnego polskiego powieściopisarza fantastyki naukowej, który w 1981 r. otrzymał doktorat honoris causa Politechniki Wrocławskiej. Jej pierwszym laureatem został prof. Randall J. Platt, ekspert w dziedzinie inżynierii genetycznej, z Politechniki Federalnej w Zurychu (ETH Zurich - Eidgenössische Technische Hochschule Zürich). Zbudował tam zespół naukowy, który zajmuje się opracowaniem i doskonaleniem zastosowań technologii komórek wskaźnikowych. Tamtejsi naukowcy dążą do stworzenia zupełnie nowych metod inżynierii biomedycznej. Prof. Platt przyjedzie do Wrocławia na początku nowego roku akademickiego. Wygłosi otwarty wykład okolicznościowy i poprowadzi seminaria naukowe. Spotka się także z młodymi naukowcami z Akademii Iuvenum PWr.

– Podziwiam Stanisława Lema i jemu współczesnych za ich zdolność do przewidywania przyszłości nauki i techniki oraz wizje daleko wykraczające poza nasze obecne możliwości. Ich twórczość jest dla mnie inspiracją – mówił po otrzymaniu wyróżnienia prof. Randall J. Platt.

Europejska Nagroda im. Stanisława Lema (Lem Prize) skierowana jest do młodych naukowców (do 40. roku życia) studiujących lub prowadzących badania w Unii Europejskiej oraz krajach stowa-

rzyszonych, biorących udział w programie Horyzont Europa. Jest przyznawana corocznie za niedawne odkrycie lub znaczące osiągnięcie w szeroko rozumianych dziedzinach nauki i inżynierii, z silnymi elementami technologii, interdyscyplinarności, kreatywności i wizji.

Nominacje zawierające opis odkrycia lub osiągnięcia, listę publikacji wraz z listami polecającymi należy przesłać do 30 września na adres lemprize@pwr.edu.pl.

Laureata bądź laureatkę wybiera kapituła, której przewodniczy prof. Reimund Neugebauer (przewodniczący Towarzystwa Fraunhofera). W jej skład wchodzi wybitni naukowcy z zagranicy i Politechniki Wrocławskiej oraz Tomasz Lem, syn pisarza.

Nazwisko zwycięzcy Lem Prize 2022 poznamy 15 listopada, w dniu Święta Politechniki Wrocławskiej.

Więcej informacji na lemprize.pwr.edu.pl.



Jak profesor splagiatował doktoranta

Profesor dokonał tego plagiatu w warunkach nadużycia zaufania, jakim doktorant obdarza promotora, i zaufania, jakiego udziela uczelnia, powierzając obowiązki promotora określönemu pracownikowi.

Był początek lutego 2018 r., kiedy młody politolog, dr Michał Adam Rulski, przypomniał sobie o otrzymanej pół roku wcześniej tzw. książce profesorskiej dr. hab. Roberta Edmunda Łosia, profesora w Katedrze Teorii Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa Uniwersytetu Łódzkiego. Zaczął ją czytać. Pozycja została wydana pod koniec maja 2017 r. przez Wydawnictwo UŁ pod tytułem *Soft power we współczesnych stosunkach międzynarodowych*, a recenzentem wydawniczym był Lubomir Zyblikiewicz, prof. em. UJ w Krakowie. Wydano też tłumaczenie angielskie pt. *Soft Power in Contemporary International Relations*.

Rulski książkę otrzymał w okresie wakacyjnym 2017 r. od autora, który był promotorem jego dysertacji *Soft power Unii Europejskiej po traktacie z Lizbony*, obronionej 13 października 2016 r. na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politologicznych UŁ. Po obronie doktoratu nie dostał etatu na uniwersytecie, więc miał się różnych prac, w tym zleconych na macierzystym wydziale, z którym miał umowę cywilno-prawną od grudnia 2016 r. do czerwca 2017 r. Prof. Łoś był wtedy kierownikiem katedry, w której od wielu lat pracował. Jeszcze wcześniej, do chwili zniesienia przed laty struktury instytutowej, był dyrektorem Instytutu Nauk Politycznych UŁ.

Czytając kolejne strony książki, dr Rulski ze zdziwieniem napotykał znajome zdania, pochodzące niewątpliwie z jego doktoratu. Zaczął systematycznie sprawdzać tekst i ogółem znalazł ponad kilkaset swoich fraz (zdań). Odkryciem podzielił się z bliskimi kolegami. Rozmawiał też na ten temat z ówczesnym kanclerzem uczelni, dr. Rafałem Majdą, którego znał prywatnie. Swoje spostrzeżenia w postaci konkordancji zapożyczeń zaczął w odcinkach publikować na Facebooku, co przyciągnęło wielu czytelników i wywołało zainteresowanie na wydziale. Dziewiętnastego marca 2018 r. zaproszono go na spotkanie z ówczesnym dziekanem, dr. hab. Radosławem Banią, prof. UŁ, i trzema prodziekanami, którzy ubolewali, że o plagiacie dowiedzieli się z mediów społecznościowych. Zapewniono go jednak, że o sprawie wie już ówczesna prorektor ds. nauki, prof. Elżbieta Żądzińska, i niebawem zarzutami zajmie się rzecznik dyscyplinarny.

I rzeczywiście następnego dnia, 20 marca 2018 r., ówczesny rektor, prof. Antoni Różalski, wydał dr. hab. Agnieszce Kraw-

czyk, prof. UŁ z Katedry Postępowania Administracyjnego i Sądowej Kontroli Administracji, polecenie wszczęcia postępowania wyjaśniającego w tej sprawie, co nastąpiło 23 kwietnia. Kilka dni później, 18 maja, rzeczniczka wezwała dr. M. Rulskiego na przesłuchanie. Jak mnie poinformował, podczas spotkania rzeczniczka pytała, czy miał on dostęp do komputera byłego promotora, jak rozpoczęła się ich współpraca, jakie były relacje, na czym polegała pomoc promotora, dlaczego nie pracuje na UŁ. Wg dr. Rulskiego, „większość pytań dotyczyło samej otoczki sprawy, a nie sedna i określenia odpowiedzialności za plagiat”.

W połowie maja 2018 r. Rulski otrzymał ostre pismo od dziekana R. Bani z żądaniem usunięcia z Facebooka zamieszczonej tam kopii „Postanowienia o wszczęciu dyscyplinarnego postępowania wyjaśniającego”, dotyczącego naruszenia prawa autorskiego przez prof. Roberta Łosia, gdyż to narusza dobra osobiste tego ostatniego i może być podstawą do wytoczenia procesu sądowego. Plagiatu prof. Łosiowi jeszcze nie udowodniono, a kary nie orzeczono, więc zdaniem dziekana panuje domniemanie niewinności.

Moim zdaniem to nietrafny argument, gdyż w środowisku naukowym plagiat z reguły wykrywają i jego obecność potwierdzają inni naukowcy. Prokuratura i sądy oraz komisje dyscyplinarne natomiast ewentualnie karzą za jego popełnienie.

Zaskoczeniem dla wielu obserwatorów było postanowienie z 8 czerwca 2018 r., w którym rzecznik dyscyplinarny dr. hab. Agnieszka Krawczyk uznała, że w jej opinii analiza materiału dowodowego, zebranego w sprawie zapożyczeń w książce profesorskiej prof. R. Łosia, wykluczyła możliwość postawienia zarzutu plagiatu bądź innego naruszenia praw autorskich. W związku z tym umorzyła postępowanie wyjaśniające. Jednak tego postanowienia nie zatwierdził rektor Różalski i polecił innemu rzecznikowi, dr. hab. Robertowi Kulskiemu, profesorowi w Katedrze Postępowania Cywilnego UŁ, przeprowadzenie nowego postępowania wyjaśniającego. Rektor uznał, że A. Krawczyk nie dokonała całościowej oceny zebranych w sprawie dowodów, jak również nie wyczerpała innych możliwości dowodowych.

Podstawą obu postępowań było pismo dziekana R. Bani z 19 marca 2018 r. do prof. Antoniego Różalskiego, rektora UŁ, że dr M. Rulski zamieścił na Facebooku informację o nieuprawnionych zapożyczeniach ze swojego doktoratu dokonanych przez promotora, dr. hab. R. Łosia. Nowy rzecznik formalnie wszczął postępowanie wyjaśniające już po wakacjach, 4 września 2018 r.

Potyczki sądowe

Trzeba wiedzieć, że w owym czasie toczyło się już postępowanie profesorskie Roberta Łosia, które Rada Wydziału SMiP rozpoczęła 29 czerwca 2017 r. Kandydat do tytułu naukowego ukończył na UŁ studia historyczne. Doktorat z historii uzyskał w 1995 r. w Instytucie Historii PAN w Warszawie. Został potem zatrudniony jako adiunkt w Katedrze Historii Stosunków Międzynarodowych UŁ. Habilitował się w 2005 r. na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego na podstawie dorobku i monografii *Wschodnia polityka kanclerza Konrada Adenauera*. Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów na początku grudnia 2017 r. powołała 5 recenzentów do oceny dorobku profesorskiego. Byli to profesorowie: emerytowany już, znany amerykanista Longin Pastusiak, Czesław Maj (UMCS), Teresa Łoś-Nowak (Dolnośląska Szkoła Wyższa), gen. Stanisław Koziej (Uczelnia Łazarskiego w Warszawie) oraz Jarosław Gryz (Akademia Sztuki Wojennej).

Sprawa zarzutów o plagiat była niebezpieczna, gdyż mogła zatrzymać lub nawet „wykoleić” przewód profesorski. Już 14 maja 2018 r. prof. Łoś skierował do M. Rulskiego pismo przedsądowe, w którym zażądał usunięcia wpisów z Facebooka i zamieszczenia przeprosin, w których zostaną wycofane zarzuty plagiatu. Wpisy usunięto, natomiast dr Rulski odmówił zamieszczenia przeprosin, stwierdzając, iż jego zdaniem plagiat jest niewątpliwy. W rezultacie 13 lipca 2018 r. do Sądu Okręgowego w Łodzi wpłynął pozew R. Łosia, zarzucający byłemu doktorantowi naruszenie dóbr osobistych poprzez opublikowanie dwóch postów sugerujących naruszenie praw autorskich przez powoda, w tym dokumentu od rzecznika dyscyplinarnego o wszczętym postępowaniu, oraz rozpowszechnianie wśród pracowników wydziału nieprawdziwych informacji na temat rzekomego plagiatu. Zażądano publicznych przeprosin oraz zadośćuczynienia w wysokości 20 tys. złotych, gdyż „podważyło to znacząco wiarygodność powoda i pociągnęło za sobą poczucie niesprawiedliwości, naruszenie dobrego imienia i sławy związanej z dorobkiem naukowym”.

Z kolei dr M. Rulski do tego samego sądu złożył 25 września 2018 r. pozew o naruszenie praw autorskich w książce byłego promotora, załączając szczegółowe porównania przejętych przez prof. Łosia fragmentów ze swojego doktoratu. Wniósł też o oficjalne przeprosiny na stronie wydziału oraz o zapłatę 20 tys. złotych tytułem zadośćuczynienia. W grudniu 2018, w odpowiedzi na pozew, prof. Łoś zaprzeczył zarzutom i stwierdził, że kiedy kierował maszynopis książki do druku w listopadzie 2015 r., doktorat nie był jeszcze gotowy. A poza tym to on udostępnił M. Rulskiemu liczne tłumaczenia i znacznie poprawiał tekst maszynopisu doktoratu, który nie jest utworem prawnie chronionym. Sugerował, że były doktorant miał dostęp do komputera, na którym znajdował się maszynopis jego książki.

Pierwszy zapadł wyrok w odpowiedzi na skargę M. Rulskiego. Dziewiątego kwietnia 2019 r. sędzia Marzanna Rojecka-Mazurczyk z II Wydziału Cywilnego Sądu Okręgowego w Łodzi oddaliła pozew na podstawie porównania obu prac – książki i doktoratu – systemem antyplagiatowym. Wykazało ono zaledwie czteroprocentowy współczynnik podobieństwa, podczas gdy uczelnia przyjęła 15% jako pułap, powyżej którego występuje niedozwolone przejęcie zapożyczeń. Wyższą też pod uwagę zeznania prof. Łosia, który twierdził, że udostęp-

niał doktorantowi fragmenty swojej pracy, jak również materiały innych autorów, niejednokrotnie w formie tłumaczeń, których sam dokonał. Temu zaprzeczał dr M. Rulski, podkreślając, że sam znalazł angielskojęzyczną bibliografię i samodzielnie dokonywał przekładów. Zdaniem sądu, „nie może budzić wątpliwości, że autorzy prac, którzy ze sobą współpracują i zajmują się podobną problematyką, korzystają z tej samej literatury przedmiotu, wymieniają się także spostrzeżeniami i dyskutują, wyciągają wnioski, co znajduje odzwierciedlenie w późniejszych ich publikacjach”. Stąd sędzia M. Rojecka-Mazurczyk uznała, że „wobec tematycznej zbieżności pracy doktorskiej powoda oraz książki pozwanego, na podstawie przedstawionych dowodów i stanu faktycznego sprawy, nie było możliwości ustalenia, która ze stron była rzeczywistym autorem też wskazanych przez powoda jako zapożyczone”. Nakazała M. Rulskiemu zapłatę 737 zł tytułem zwrotu kosztów procesowych powoda. Warto podkreślić, że nie został powołany biegły od prawa autorskiego, a części materiałów nie dopuszczono jako dowodów.

Wydane wyroki

Jak można było się spodziewać, niekorzystny wyrok został zaskarżony przez dr. Rulskiego. Ze względu na brak miejsca nie przytaczam argumentów wskazujących na liczne naruszenia prawa procesowego oraz prawa materialnego, przedstawionych przez jego pełnomocniczkę, radczynię prawną panią Martynę Czapską.

Prawie rok później, 6 września 2020 r., w I Wydziale Cywilnym Sądu Apelacyjnego w Łodzi zapadł całkowicie odmienny wyrok. Rozprawie apelacyjnej przewodniczył sędzia Wincenty Ślawski, który był też sędzią-sprawozdawcą. W skład zespołu orzekającego wchodził sędziowie: Krystyna Golinowska i Dariusz Limiera. Sąd zmienił zaskarżony wyrok Sądu Okręgowego w ten sposób, że nakazał R. Łosiowi zaniechać naruszania praw autorskich osobistych M. Rulskiego poprzez zakazanie mu dalszego rozpowszechniania książki profesorskiej pt. *Soft power we współczesnych stosunkach międzynarodowych* zarówno po polsku, jak i po angielsku, w wydaniu drukowanym i elektronicznym. Co więcej, sąd nakazał R. Łosiowi zamieszczenie na stronie internetowej wydziału i katedry przez okres 2 tygodni przeprosin o treści: „Ja, niżej podpisany Robert Łoś, przepraszam za naruszenie praw autorskich Pana Michała Rulskiego polegające na wykorzystaniu w mojej książce *Soft power we współczesnych stosunkach międzynarodowych* oraz w jej angielskim tłumaczeniu wydanym pod tytułem *Soft power in Contemporary International Relations*, nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Łódzkiego w 2017 roku, fragmentów doktoratu Pana Michała Rulskiego pt. *Soft power Unii Europejskiej po Traktacie z Lizbony*”. Sąd nakazał też zapłacenie okradzionemu doktorantowi zadośćuczynienia w kwocie 10 tys. złotych oraz pokrycie kosztów procesowych obydwu instancji w wysokości 1820 zł oraz 1640 zł.

W uzasadnieniu wyroku apelacyjnego sąd uznał za usprawiedliwione zarzuty naruszenia prawa materialnego. Podkreślił, że wbrew twierdzeniom R. Łosia i jego pełnomocniczki, adwokata Katarzyny Piotrowskiej-Mańko, zawartym w odpowiedzi na pozew M. Rulskiego, praca doktorska jest utworem i chroni ją prawo autorskie. Stwierdził, że nie sposób zgodzić się z opinią Sądu Okręgowego, że „na podstawie przedstawionych dowodów i stanu faktycznego sprawy, nie było możliwości ustalenia, która ze stron była rzeczywistym autorem też wskazanych przez powoda jako zapożyczone”. Zdaniem Sądu Apelacyjnego, M. Rulski sprostą ciężarowi dowodu i wykazał zaistnienie przesłanek odpowiedzialności R. Łosia, który nie zaistnienie przesłanek odpowiedzialności R. Łosia, który nie zaistnienie przesłanek prawdziwości załączonych konkordancji ukazujących zbieżności obydwu prac, z których książka pro-

fesorska R. Łosia była wydana już po obronie doktoratu M.A. Rulskiego. „Tłumaczenia promotora co do współpracy z doktorantem w czasie pisania doktoratu nie mają znaczenia, co do ustalenia osobistych praw autorskich doktoranta do jego własnej pracy. Czynienie uwag czy adnotacji przez promotora [na stronach maszynopisu doktoratu – MW], nie daje mu przyznania autorstwa czy współautorstwa takiej pracy. Dołączone oryginały obydwu prac potwierdzają tożsamość przytoczonych w zestawieniach fragmentów, które wobec ich wielości – ani za przypadkowe, ani za marginalne – uznane być nie mogą”. Sąd także stwierdził, że system antyplagiatowy nie rozstrzyga o naruszeniu lub nienaruszeniu prawa autorskiego, lecz jedynie wyłapuje podobne fragmenty, które muszą być ocenione pod względem naruszenia zasad cytowania. Natomiast załączone przez powoda zestawienie porównawcze treści (koncordancja) nie zostało zakwestionowane przez pozwanego ani podczas pierwszej rozprawy, ani w odpowiedzi na apelację. Analiza i porównanie tekstu książki z doktoratem, dokonana przez sąd, „potwierdza tożsamość całych zdań lub nawet tekstu, który zawiera niekiedy co najwyżej zmienione pojedyncze wyrazy w innej formie gramatycznej”. Pozwany R. Łoś w toku procesu nie wyjaśnił przekonująco przyczyn tych tożsamości lub zbieżności. Jego książka nie odwołuje się do doktoratu, brak jest też wskazania źródeł zapożyczeń z dysertacji. Nie posługuje się on też cytatem, który mógłby czynić prawdopodobną tożsamość

poszczególnych zdań, a nawet dłuższych wypowiedzi obydwu autorów. Książka zawiera kilkadziesiąt zbieżnych fragmentów, co zdaniem sądu drugiej instancji nie może być przypadkowe, zwłaszcza że często tożsama jest także forma gramatyczna, stylistyczna, a nawet znaki interpunkcyjne. Co więcej, w swojej książce „pozwany, odnosząc się do literatury obcej, nie cytuje jej, lecz odnosi się do prezentowanych tamże poglądów. Tym samym wyklucza to tożsamość kwestionowanych części pracy powoda i pozwanego poprzez fakt ich tłumaczenia”.

Omawiając przyczyny uchylecia zaskarżonego wyroku Sądu Okręgowego, Sąd Apelacyjny nadmienił, że 8 lipca 2019 r. Uczelniana Komisja Dyscyplinarna UŁ uznała R. Łosia winnym przywłaszczenia cudzego utworu co najmniej w 27 fragmentach. Orzeczenie jest nieprawomocne, stąd nie ma bezpośredniego skutku w postępowaniu cywilnym, ale warto podkreślić, że większość zarzutów dyscyplinarnych pokrywa się z zarzutami powoda. Wyrok się uprawomocnił, więc prof. Łoś przelał 10 tys. zł na konto M. Rulskiego, a na stronie Wydziału i Katedry przez dwa tygodnie widniały nakazane przez sąd przeprosiny.

Z kolei pozew R. Łosia o naruszenie dóbr osobistych przez M. Rulskiego został oddalony wyrokiem sędziego Marcina Sumińskiego z I Wydziału Cywilnego Sądu Okręgowego w Łodzi w dniu 1 czerwca 2021 r. Zobowiązano powoda do pokrycia kosztów procesowych w wysokości 5920 zł, jakie poniósł M. Rulski, broniąc się przed niesłusznymi zarzutami. Prof. Łoś zło-



Rys. Sławomir Makal

żył apelację, ale, jak mnie poinformowano, została ona odrzucona i wyrok jest prawomocny.

Postępowanie dyscyplinarne

Nowy rzecznik dyscyplinarny, dr hab. Robert Kulski, w toku postępowania wyjaśniającego potwierdził liczne naruszenia praw autorskich w postaci nieuprawnionych zapożyczeń, czyli plagiatów. We wniosku dyscyplinarnym wyliczył co najmniej 27 fragmentów książki profesorskiej dr. hab. Łosia przepisanych z doktoratu dr. Rulskiego. Jednak nie powołał biegłego i nie zażądał sprawdzenia całości pracy pod kątem innych zapożyczeń. Rzecznik, który jest czynnym adwokatem, zażądał dla R. Łosia zaledwie kary nagany i zakazu pełnienia funkcji kierowniczych przez 3 lata.

Chciałbym podkreślić, że w świecie anglosaskim dla profesora, który okrada własnego doktoranta czy magistranta z tekstu, z reguły nie ma miejsca na uczelni. Plagiat to poważne przewinienie dyscyplinarne, całkowicie dyskredytujące nauczyciela akademickiego.

Przed rozprawą Uczelniana Komisja Dyscyplinarna powołała skład orzekający pod przewodnictwem dr. hab. Pawła Księżaka, prof. UŁ z Zakładu Współczesnych Problemów Obrotu Cywilnego WPiA UŁ (na marginesie: od października 2018 r. sędzię Sądu Najwyższego), w którego skład weszli także: prof. dr hab. Janina Godłów-Legieź z Katedry Ekonomii Instytu-

cjonalnej i Mikroekonomii Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego oraz student Piotr Pidanty z Samorządu Studentów tegoż wydziału. Rozprawa toczyła na pięciu posiedzeniach: 18 lutego, 18 marca, 12 maja, 13 czerwca i 8 lipca 2019 r., kiedy to wydano orzeczenie. Uznano w nim dr. hab. Roberta Łosia za winnego przewinienia dyscyplinarnego i ukarano naganą z zakazem pełnienia funkcji kierowniczych przez 3 lata. Ukarani nie przyznał się do winy i złożył odwołanie, które do tej chwili (trzy lata!) nie zostało rozpatrzone przez Odwoławczą Komisję Dyscyplinarną przy Radzie Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego w Warszawie.

Argumenty podane w uzasadnieniu orzeczenia są podobne do uzasadnienia wyroku Sądu Apelacyjnego, dlatego nie będę ich przytaczał. Podsumowując, skład orzekający UKD stwierdził, że prof. Łoś, kopiując fragmenty dysertacji własnego doktoranta, „dokonał tego w warunkach nadużycia zaufania, jakim doktorant obdarza promotora, i zaufania, jakiego udziela Uniwersytet Łódzki, powierzając obowiązki promotora określonemu pracownikowi”.

Chciałbym podkreślić, że skład orzekający UKD na ostatnich dwóch posiedzeniach wiedział, że w książce R. Łosia wykryto również zapożyczenia z innych autorów. Odkrył je dr hab. Maciej Potz z Katedry Systemów Politycznych UŁ. Chodzi o fragment artykułu dr. Doroty Miłoszewskiej i dr. Roberta Potockiego pt. *Rola soft power w środowisku międzynarodowym*, wydrukowanego w książce *Wymiary bezpieczeństwa na progu XXI wieku. Między teorią a praktyką* (Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2010 r.). Kolejne przejęcia 34 fragmentów pochodzą z artykułu dr. hab. Agaty Włodkowskiej-Bagan *Soft power w polityce zagranicznej Federacji Rosyjskiej wobec państw „bliskiej zagranicy”* („e-Politikon” 2012, vol. 3). Są także nieakceptowalne przejęcia 11 zapożyczeń z artykułu dr. hab. Agaty W. Ziętek, *Dyplomacja publiczna Polski* („Annales UMCS, section K”, 2010, vol. XVII).

Dodatkowo wykazano 12 zapożyczeń z artykułu A. Włodkowskiej-Bagan, *Soft power w polityce zagranicznej Federacji Rosyjskiej wobec państw „bliskiej zagranicy”* („e-Politikon” 2012, vol. 3), które znalaziono w artykule R. Łosia *Soft power Rosji* („Przegląd Strategiczny” 2017, nr 10). Tych dodatkowych zarzutów naruszenia przez R. Łosia praw autorskich naukowców z innych uczelni nie wzięto pod uwagę w tym postępowaniu dyscyplinarnym.

Trzy lata zwlekania

Jednak rektor Antoni Różalski zawiadomienie prof. M. Potza o powyżej opisanych plagiaty skierował do rzecznika dyscyplinarnego, dr. hab. Agnieszki Krawczyk, która 24 lipca 2019 r. wszczęła postępowanie wyjaśniające wobec R. Łosia. Wniosek dyscyplinarny o ukaranie kolejną naganą złożono do UKD 7 października 2019 r. Jak mnie poinformowała p. Natalia Halicka z Biura Rektora UŁ, „Z uwagi na wejście w życie przepisów covidowych zawieszających, a następnie ograniczających funkcjonowanie uczelni w roku 2020, a także wybory nowych władz uczelni, których konsekwencją było zakończenie kadencji dotychczasowej Komisji Dyscyplinarnej ds. Nauczycieli Akademickich - sprawa została przekazana Przewodniczącemu Komisji Dyscyplinarnej w nowym składzie (jest nim prof. UŁ, dr hab. Dariusz Strzelec z Katedry Prawa Podatkowego - M.W.), która rozpoczęła swoją kadencję w 2021 r.” To wyjaśnienie nie może jednak usprawiedliwiać bezczynności Komisji Dyscyplinarnej. W tym okresie wykłady i inne zajęcia uczelniane oraz wszelkie zebrania odbywały się zdalnie, a ta poważna sprawa od trzech lat czeka na rozpatrzenie.



Magentowe igrzyska w Łodzi

Na dwa tygodnie Łódź stała się absolutnym centrum sportu akademickiego. W lipcu miasto przybrało kolory magentowe, czyli barwy EUG 2022. Każdą z czternastu aren, na których toczyły się zmagania, obradowano takim właśnie odcieniem różu.

Kingę Harast, studentkę Politechniki Łódzkiej, równie często co na uczelni spotkać można na... tatami. Sportowe geny odziedziczyła po swoim ojcu Januszu, wielokrotnym medalistcie mistrzostw Polski i świata w karate, który na pierwszy trening zabrał ją, gdy miała cztery lata. Wcześniej przyprawdzał ją w... nosidełku. Nic więc dziwnego, że ta dyscyplina stała się i jej ulubioną. Od wielu lat odnosi sukcesy w kraju i za granicą. W lipcu dorzuciła kolejny – została jedyną polską karateczką, która stanęła na najwyższym stopniu podium Europejskich Igrzysk Akademickich. Triumf w kumite nie przyszedł jej jednak łatwo.

– Przez całą walkę to przeciwniczka prowadziła i odrabianie strat było dla mnie niezwykle stresujące. Wydawać by się mogło, że 10 sekund to nic, ale okazuje się, że można w tym czasie zdobyć decydujący o medalu punkt. Bardzo się wzruszyłam. Chciałam pokazać się z jak najlepszej strony, w końcu włożyliśmy z tatą bardzo dużo pracy w przygotowaniu do tych zawodów – powiedziała po zdobyciu złota.

Dla absolwentki Wydziału Zarządzania i Inżynierii Produkcji, obecnie kontynuującej naukę na kierunku Master of Busi-

ness Studies w Centrum Kształcenia Międzynarodowego PŁ, była to wyjątkowa impreza. Kilkanaście dni przed zwycięską walką to właśnie ona niosła polską flagę podczas ceremonii otwarcia igrzysk, która odbyła się w łódzkiej Atlas Arenie. Kilka tysięcy widzów oglądało efektowną defiladę z udziałem zawodników z ponad 40 państw, którzy nazajutrz mieli przystąpić do rywalizacji po czteroletniej przerwie (igrzyska w Belgradzie, które miały się odbyć w 2020 r., odwołano z powodu pandemii koronawirusa). Przysięgę w imieniu sportowców złożył pływak Marcel Wągrowski – mistrz Polski seniorów na 200 m stylem zmiennym. On też, podobnie jak Kinga Harast, sięgnął później po złoty medal, zdejmując tym samym kłatwę z chorążych polskiej reprezentacji.

Na dwa tygodnie Łódź stała się absolutnym centrum sportu akademickiego. W lipcu miasto przybrało kolory magentowe, czyli barwy EUG 2022. Każdą z czternastu aren, na których toczyły się zmagania, obradowano takim właśnie odcieniem różu. Nie wszystkie z tych miejsc kojarzą się na co dzień ze sportem. Turniej szachistów odbywał się w Hali Maszyn Centrum Nauki i Techniki EC1, czyli w przestrzeniach zrewitalizowanego i rozbudowanego kompleksu pierwszej łódzkiej elektrowni. Z kolei zawody w koszykówce 3 × 3, siatkówce plażowej oraz piłce ręcznej plażowej przeprowadzono w Ogrodach Geyera, łączących tradycje fabryczne miasta z nowoczesnością. Dodatkowo mecze finałowe w ulicznej odmianie koszykówki rozegrano przy sztucznym oświetleniu. Na specjalnie zbudowanym stadionie obejrzało je kilka tysięcy osób. W przerwach między rozgrywkami o medale kibice oklaskiwali uczestników konkursu wsadów. W sumie podczas EUG toczono boje w 20 dyscyplinach: badmintonie, futsalu, koszykówce 3 × 3, koszykówce, piłce nożnej, piłce ręcznej, piłce ręcznej plażowej, siatkówce, siatkówce plażowej, tenisie, tenisie stołowym, piłce wodnej, pływaniu, wspinaczce, szachach, judo, karate, kickboxingu, taekwondo i para tenisie stołowym. Dyscypliną pokazową była tym razem siatkówka na siedząco.

Jak na prawdziwe sportowe juwenalia przystało, miasto tętniło życiem przez całą dobę. Poza zmaganiem sportowymi organizatorzy przygotowali też szereg imprez towarzyszących, jak choćby Bieg Erasmusa czy Sambodrom, czyli wspólny przemarsz studentów i mieszkańców Łodzi reprezentacyjną ulicą Piotrkowską





Fot. EUG 2022

w rytmie brazylijskiej samby przy bębnach, z tancerkami ubranymi w stroje z karnawału w Rio de Janeiro. W końcu, pół żartem, pół serio, niektórzy skrót AZS rozwijają jako „Atmosfera, Zabawa, Sport”. To właśnie Akademicki Związek Sportowy, obok miasta i Politechniki Łódzkiej, był organizatorem największego multi-sportowego wydarzenia tego roku w Polsce. O to, by wszystko było zapięte na ostatni guzik, zadbano już na długo przed rozpoczęciem imprezy. Zajmowano się nie tylko częścią sportową, ale także m.in. transportem, zakwaterowaniem, cateringiem, marketingiem i obsługą medialną. Część osób rozpoczęło pracę już dwa lata wcześniej. A i tak nie nad wszystkim udało się zapanaować: opóźnione samoloty, wycofywanie się zawodników w ostatniej chwili, zmiany harmonogramu, awarie oświetlenia czy nagłośnienia – na nudę organizatorzy nie mogli narzekać. Na szczęście większość „pożarów” udało się w porę ugasić.

– Osoby pracujące przy igrzyskach nabyły ogromnego bagażu kompetencji. W naszej ekipie niewielu miało za sobą tego typu doświadczenia. Myślę, że przekuliśmy to w atut, który dał nowe podejście do organizowania, szersze spojrzenie, uwzględnienie wszystkich ryzyk – przekonuje prof. Krzysztof Józwiak, rektor Politechniki Łódzkiej.

Tak duża impreza nie mogła się odbyć bez armii blisko tysiąca wolontariuszy, których zadaniem było stworzenie przyjaznej atmosfery, tak by każdy, kto przyjechał do Łodzi, poczuł, że uczestniczy w wyjątkowym wydarzeniu. Postarała się również o to Poczta Polska, wydając okolicznościowy znaczek z jednorozcem EUGenio, oficjalną maskotką imprezy. Autorem projektu był Tomasz Wochna, grafik z komitetu organizacyjnego igrzysk. Znaczek w nakładzie ponad 120 tys. sztuk trafił do placówek pocztowych w całym kraju, a na terenie kampusów Politechniki Łódzkiej i Uniwersytetu Łódzkiego zlokalizowano mobilne punkty, w których sportowcy mogli go kupić i wysłać kartkę pocztową do swoich bliskich.

– Uczestniczyłem w wielu podobnych imprezach, wszędzie organizatorzy się starają, ale takiej atmosfery w powietrzu dawno nie czułem. Łódź stanęła na wysokości zadania. W Polsce jest przynajmniej kilka ośrodków akademickich, które by się znakomicie nadawały na miejsce kolejnych igrzysk. Uważam, że takim miastem, które powinno mieć dużo odwagi, a już ma dużo energii i ambicji, jest Lublin. To potężne miasto akademickie w Polsce, które bardzo by na organizacji takiej imprezy skorzystało – ocenił Adam Roczek, prezydent Europejskiej Federacji Sportu Akademickiego.

Nawet jeśli ktoś z początku powątpiewał, musiał przyznać, że hasło „Łódź, we can”, które przyświecało igrzyskom, sprawdziło się doskonale. Za dwa lata studenci-sportowcy będą walczyć o medale na Węgrzech.

W piątych Europejskich Igrzyskach Akademickich Łódź 2022 wzięło udział niespełna 5 tys. sportowców z 383 uczelni, w tym 450 polskich studentów i studentek reprezentujących 51 szkół wyższych. Polacy okazali się najlepsi w końcowej klasyfikacji medalowej. Stawali na podium aż 83 razy, sięgając po 24 złote, 27 srebrnych i 32 brązowe krążki. Drugie miejsce zajęli Turcy (22/19/6), a trzecie Ukraińcy (19/26/18). W sumie na podium łódzkich zawodów wchodziło 30 krajów. W rankingu uczelni triumfował turecki Yeditepe Üniversitesi, którego przedstawiciele zdobyli 7 złotych, 5 srebrnych i 1 brązowy medal. Na drugim miejscu sklasyfikowano Université de Lyon (6/6/1), a na trzecim Politechnikę Łódzką. Gospodarze wydarzenia ukończyli zmagania z dorobkiem 8 medali: 6 złotych oraz po jednym srebrnym i brązowym. W czołówce zestawienia uczelni znalazły się także Akademia Leona Koźmińskiego (3/2/2) i Akademia Wychowania Fizycznego Józefa Piłsudskiego w Warszawie (2/5/3). Najbardziej medalodajną dla naszych studentów dyscypliną EUG w Łodzi był kickboxing, w którym białoczerwoni wywalczyli 22 medale, w tym 5 złotych. Siedemnaście medali wieszano też na szyjach naszych pływaków, którzy zdobyli 7 złotych krążków. Z mistrzostwa cieszyli się także polscy szachiści, judocy, tenisiści stołowi, tenisiści oraz reprezentantki taekwondo, karate i wspinaczki na czas.

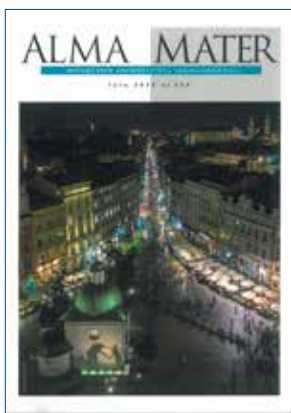
MK



Fot. EUG 2022

Kilometry przeszłości

Pisane świadectwa minionych dziejów stanowią niepowtarzalną skarbnicę wiedzy o historii i losach poszczególnych państw i narodów. Dlatego tak ważne jest odpowiednie przechowywanie i dbanie o unikatowe artefakty opowiadające o rzeczach, zjawiskach i ludziach, którzy już nie istnieją, a tworzyli w swoim czasie tkankę naukową i społeczną. Jednostką, która nie tylko troszczy się o powierzone dziedzictwo, ale prowadzi też badania nad zgromadzoną dokumentacją, jest Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Prof. dr hab. Krzysztof Ożóg, jego dyrektor w latach 2012-2022, w rozmowie z miesięcznikiem UJ „Alma Mater” (nr 234/2022) opowiada o początkach i specyfice działalności tego niezwykle ważnego miejsca.



Historia krakowskiego archiwum rozpoczęła się w XIV wieku. Jest ono największą i najstarszą tego rodzaju jednostką w Polsce, która przechowuje dokumentację uniwersytecką od 1364 roku po czasy współczesne. Jak podkreśla rozmówca, wiele trudu kosztowało chociażby opracowanie bazy danych biograficznych wszystkich studentów i mistrzów uniwersytetu w latach 1364-1780. Obecnie

jest ona dostępna w Internecie pod nazwą Corpus academicum Cracoviense (CAC) i należy do europejskiej sieci Héloïse – European Network on Digital Academic History, stanowiąc nowoczesne narzędzie badawcze. W tym momencie w Archiwum UJ znajduje się ponad 800 niezwykle cennych dokumentów pergaminowych oraz ponad 15 tys. papierowych. W swoich zasobach jednostka ma teraz prawie osiem kilometrów akt, a gdyby, jak zauważa prof. Ożóg, zebrać dokumentację ze wszystkich uniwersyteckich przedmiotów, to liczba ta wzrosłaby do 11.

Bez zakłóceń

Telewizory, pralki, komputery, ale także telefony komórkowe oraz systemy energetyczne i telekomunikacyjne wykorzystują w swoim działaniu pole elektromagnetyczne. W związku z tym, że na co dzień używa się ich jednocześnie, ważne jest, by nawzajem się nie zakłócały, czyli – inaczej rzecz ujmując – chodzi o to, żeby były „kompatybilne elektromagnetycznie”. Brak



tego rodzaju zgodności jest bowiem zjawiskiem zdecydowanie negatywnym, mogącym prowadzić nie tylko do irytujących uciążliwości, ale wręcz do prawdziwego niebezpieczeństwa mającego miejsce w sytuacji, gdy np. przekraczający normy emisji telefon komórkowy zaburzy działanie urządzeń medycznych w szpitalu albo urządzeń elektronicznych służących do kontroli lotu. Dlatego wła-

śnie tak ważne jest badanie poziomu emisji poszczególnych urządzeń i nad tymże procesem czuwa Pracownia Badań i Certyfikacji EMC, która w bieżącym roku oficjalnie zainaugurowała swoją działalność na Zachodniopomorskim Uniwersytecie Technologicznym w Szczecinie, o czym donosi „Forum Uczelniane” (nr 1/2022).

W trakcie badań naukowcy umieszczają poszczególne obiekty w komorze bezodbićowej na specjalnym stole obrotowym, a w tym czasie antena, która znajduje się na maszcie, odbiera emitowane przez urządzenia fale elektromagnetyczne. Powstałe laboratorium wchodzi w skład większego przedsięwzięcia, jakim jest projekt „Doposażenie hali technologicznej w laboratorium e-produkcji realizującej koncepcję przemysłu 4.0”.

Chodzi o rozwój

Obowiązek ewaluacji w obecnym kształcie wprowadzony został na mocy ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Przyjęte tym aktem zmiany spowodowały konieczność poczynienia wielu różnych modyfikacji. Co oznaczało to w praktyce? O tym przeczytać można na łamach kwartalnika Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu „Fakty UMP” (nr 1/2022).

Zastosowana formuła redakcyjnej debaty pozwala poznać stanowiska osób zawiadujących uczelnią, które w dokonanym podsumowaniu nie tylko wskazały trzy obszary, na jakie został podzielony proces ewaluacji, ale podjęły się także analizy mocnych i słabych stron poszczególnych przestrzeni. Ocenie podlegał więc poziom naukowy, efekty finansowe badań naukowych oraz prac rozwojowych i wreszcie wpływ działalności naukowej na funkcjonowanie społeczeństwa oraz gospodarki. Wszystkim wymienionym kryteriom przyznawana była określona waga, a w przypadku ostatniego weryfikacja następowała po opi-



sach dowodzących związku, jaki zachodzi między badaniami a działaniem administracji, ochroną zdrowia czy kulturą.

Wnioski, jakie płyną z dokonanego procesu, są m.in. takie, że należy jeszcze mocniej skupić się na pozyskiwaniu projektów badawczych, bo – jak zauważono – zdecydowana część przychodów uczelni wygenerowana została w ostatnim czasie przez

Uczelniane Laboratorium Koronawirusa. Z jednej strony, jak zaznaczono, należy to uznać za sukces, z drugiej jednak martwić może fakt okresowości tego rodzaju działalności. Jednym z istotniejszych wątków, jakie zostały poruszone w debacie, był temat publikowania w dobrych, wysoko punktowanych czasopismach. Wskazano, że nie powinna mieć miejsca sytuacja, w której osoba będąca pracownikiem naukowym lub naukowo-dydaktycznym nie publikuje na przyzwoitym poziomie. Należy w związku z tym zrobić wszystko, by, jak podkreślono, podnieść poziom motywacji poszczególnych jednostek i udzielić im odpowiedniego wsparcia, by mogły sprostać pojawiającym się wymaganiom.

Aneta Zawadzka

Anna Worosz

Amerykańskie doświadczenia

Pracownicy działów promocji polskich uczelni poprawiają swoje kompetencje zawodowe w kontaktach ze specjalistami z najlepszych uniwersytetów na świecie.

Trzydziesta czwarta konferencja Stowarzyszenia PR i Promocji Uczelni Polskich „PRom” odbyła się na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu pod hasłem „Jedyna stała to zmiana. Jak realizować długofalowe cele w dynamicznie zmieniającej się rzeczywistości?”. „Forum Akademickie” było jednym z partnerów tego przedsięwzięcia.

Wśród tegorocznych prelegentów było dwóch amerykańskich specjalistów public relations z uniwersytetów badawczych z Ivy League – grupy, do której należą stare, prestiżowe uniwersytety z północno-wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Dobrymi praktykami związanymi z komunikacją uniwersytecką w erze cyfrowej podzielili się Brian E. Clarck, który kieruje komunikacją strategiczną Brown University w Providence w stanie Rhode Island. Paul Andrew z Harvard University w Cambridge w stanie Massachusetts – najstarszej uczelni amerykańskiej, zajmującej czołowe miejsca w międzynarodowych rankingach uniwersytetów – przedstawił wykład dotyczący strategii komunikacji na uczelniach badawczych. W ubiegłych latach przedstawiciele Działu Promocji i Informacji Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu odwiedzili te uczelnie, zdobywając wiedzę, którą wykorzystali w tworzeniu swojego sztanदारowego przedsięwzięcia – Portalu Informacyjnego UMK.

Pracownicy toruńskiego uniwersytetu przedstawili „krok po kroku” prace nad stworzeniem i prowadzeniem portalu. Było to w ostatnich latach jedno z ambitniejszych zadań tego zespołu, podporządkowanych misji wzmocnienia wizerunku UMK jako uczelni badawczej. Pracownicy sekcji redakcyjnej, kreatywnej i promocyjnej podzielili się swoją wiedzą, doświadczeniem i pomysłami dotyczącymi sprawnego funkcjonowania nowego medium oraz tworzenia atrakcyjnych, profesjonalnych materiałów popularyzujących dokonania naukowców UMK. Wyniki ich pracy można obejrzeć pod adresem portal.umk.pl.

Dr Beata Czechowska-Derkacz, specjalista PR, adiunkt w Instytucie Mediów, Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Gdańskiego, podzieliła się z uczestnikami wynikami badań na temat sposobów komunikowania uczelni z otoczeniem w czasie pandemii. Zostały one przygotowane we współpracy z uczelniami, które w okresie zmian spowodowanych epidemią koronawirusa musiały się zmierzyć z największym i obejmującym wszystkie obszary działania szkół wyższych kryzysem komunikacyjnym, a także organizacyjnym. Badacze zauważyli m.in. coraz częstsze wykorzystywanie własnych kanałów komunikacyjnych z pominięciem zewnętrznych oraz efektywny sposób działania zespołów kryzysowych. Jak

zapowiedziała prelegentka, badania dotyczące sposobów komunikowania się uczelni z otoczeniem będą publikowane w artykułach i książkach naukowych z myślą o wdrożeniu skutecznych rozwiązań w tym zakresie w szkołach wyższych.

Ekspertka Urzędu Miasta Poznania Anna Wawdysz opowiedziała o swoich doświadczeniach związanych ze współpracą samorządu z uczelniami, m.in. w zakresie promocji Poznania jako ośrodka akademickiego, realizacją programów dla młodych talentów i projektów podnoszenia jakości kształcenia. Uczestników interesowały zagadnienia sieciowania, współpracy uczelni z samorządem, biznesem i otoczeniem społecznym. Zaprezentowane zostały dobre praktyki wychodzenia poza mury uczelni i rutynowe metody w działaniach promocyjno-wizerunkowych.

Aktualne wyzwania związane z umiędzynarodowieniem przedstawiła dyrektor Biura Programów dla Instytucji Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej Katarzyna Aleksy, która zaprosiła do udziału w konferencjach Welcome to Poland, Students at risk oraz Studia wspólne i podwójne. Zaprezentowała także przygotowana przez NAWA publikację „Studia wspólne i podwójne. Polska i świat”, która powstała nie tylko z chęci podsumowania dotychczasowych doświadczeń współpracy międzynarodowej uczelni w Polsce i na świecie, ale także jest próbą diagnozy, jak w bliższej i dalszej przyszłości wyglądać będą studia, umożliwiające uzyskanie podwójnych lub wspólnych dyplomów.

W trakcie konferencji odbyło się Walne Zgromadzenie Stowarzyszenia PR i Promocji Uczelni Polskich „PRom”, podczas którego wybrano nowe władze. Anna Kiryrow-Radzka ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego kieruje organizacją przez kolejną kadencję. Wiceprezesa został Paweł Pasławski z Akademii WSB we Wrocławiu, a skarbnikiem Ewelina Winiewicz z Akademii Pomorskiej w Słupsku. W skład Zarządu weszły też Paulina Boroń-Kacperek z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, Anna Rolczak z Uniwersytetu Łódzkiego oraz Anna Worosz z Politechniki Rzeszowskiej. W skład Komisji Rewizyjnej weszli: Beata Derkacz z Uniwersytetu Gdańskiego, Ewa Kiszka z Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, Marcin Witkowski z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Piotr Szczepański z Akademii Wojsk Lądowych im. gen. Tadeusza Kościuszki i Kamil Dziewit z Politechniki Świętokrzyskiej w Kielcach.

Programowanie jest ważne

W tym roku stanęło przed „Prometeuszami Programowania” nowe wyzwanie. Chodzi o wyjście z ofertą również do młodych Ukraińców. Trzeba im pokazać, jak ważne jest programowanie, również, a może szczególnie, w czasie wojny.

Kiedyś ci, którzy umieli czytać i pisać, byli wąską elitą społeczeństwa. Obecnie udział analfabetów w społeczeństwie wynosi w Europie – 3%, Ameryce Płd. – 15%, Azji – 33%, Afryce – 50%. Kiedyś nauczyciel uczący czytania i pisanie był tym, który dawał ludziom ogień. Pozwalało to nie tylko egzystować na znacznie wyższym poziomie, lecz także dalej się rozwijać i nawet trafić do historii. Dzisiaj, jak się wydaje, elitarną umiejętnością jest programowanie komputerów, o czym pisałem już sześć lat temu (*Przeciw analfabetyzmowi przyszłości*, FA 3/2016), a od tego czasu wprowadzono naukę programowania w szkołach już od czwartej klasy szkoły podstawowej. Tylko czy szkoły są przygotowane do tego, by to przeprowadzić?

Jak Prometeusz, co dał ludziom ogień

Uważa się, że dzięki opanowaniu ognia przez ludzi pierwotnych dieta z ciepłych potraw przyczyniała się do rozwoju mózgu. Powołując się na mit o Prometeuszu, który dał ludziom ogień, Studenckie Koło Naukowe „Prometeusze Programowania” <https://pro.put.poznan.pl>, chce dawać, zwłaszcza tym wykluczonym, umiejętność programowania. To rozwinię nie tylko edukowanych, ale też ich nauczycieli, bowiem umiejętność przekazywania innym ludziom własnych umiejętności to wyższy stopień wtajemniczenia. Trochę podobnie jak przekazywanie komputerom umiejętności przez ich programowanie czy uczenie sztucznych sieci neuronowych.

Już w latach siedemdziesiątych do niektórych szkół średnich wprowadzono programowanie. Bill Gates i Paul Allen, późniejsi założyciele Microsoftu, uczyli się w swojej high-school w amerykańskim Seattle programowania w BASIC-u. Stało się to dzięki ufundowanej przez radę rodziców możliwości korzystania z komputera. Wykupiono abonament na używanie minikomputera PDP w jednej z firm. Pożyczono też modem i dalekopis. Uczniowie łączyli

się z komputerem linią telefoniczną. To spowodowało, że byli dobrze przygotowani do przywództwa w mikrokomputerowej rewolucji.

W tym samym czasie w Poznaniu późniejsi koledzy z moich studiów uczyli się w liceum ogólnokształcącym o ścisłym profilu jednego z pierwszych języków programowania FORTRAN. Odbywało się to mniej komfortowo niż w Seattle, bo programy zapisywano długopisem na specjalnych drukach. Były one dostarczane paniom, które z każdego arkusza przygotowywały dziesięć kart perforowanych. Programujący musiał sprawdzić, czy panie dobrze przepisały i związane gumką dostarczyć je na stół w poczekalni. Dopiero stąd były zanoszone do pomieszczenia z czytnikiem i połykane przez politechniczny komputer ODRA-1305. Ten odwdzięczał się zadrukowaną wstęgą papieru składanego w harmonijkę do formatu A3.

Od profesora z liceum po doktorat honorowy

Opisywany cykl obowiązywał również studentów politechniki i trwał nawet tygodnie. Trzeba też dodać, że programy roily się od błędów i wymagały kilkunastu takich podejść w niezbyt skomplikowanych problemach. Pracownicy politechniki i niektórzy członkowie Koła Naukowego Informatyków mogli rezerwować komputer na wyłączność. Pozwalało to przez godzinę lub dłużej na bieżąco dopracowywać programy, krążąc między perforatorem kart, ich czytnikiem, dalekopisem operatora i okropnie hałaśliwą drukarką wierszową.

Nauczycielem narybku, pierwszych studentów na kierunku informatyka, był prof.

Janusz Rajski, późniejszy doktor honoris causa Politechniki Poznańskiej. Już w trakcie ich studiów uczelniany komputer został wyposażony w nowoczesny system operacyjny GEORGE-3/MOP. Pozwolił on czytywać naraz wiele zadań na kartach, w tym z budynków politechniki po drugiej stronie



Warty. Dzięki minikomputerom komunikacyjnym można też było wreszcie, jak w Seattle, pracować na dalekopisach, a nawet monitorach ekranowych.

Z kolei, gdy tylko ukończyłem liceum, trafił do niego, przestarzały już dla poznańskiego Ośrodka Elektronicznej Techniki Obliczeniowej, radziecki komputer MIŃSK. W ten sposób mój młodszy brat uczył się programowania już w szkole. W tamtych czasach aż do późnych lat osiemdziesiątych nauką programowania w językach proceduralnych typu BASIC, FORTRAN, ALGOL 60 czy PASCAL obejmowano wszystkich studentów politechniki. W szkołach średnich, a nawet podstawowych, próbowano uczyć stworzonego specjalnie do nauki najmłodszych języka programowania LOGO. Odbywało się to często na zabawkowych komputerach typu ZX SPECTRUM, ATARI czy COMMODORE.

Jak IBM PC wyparł powszechną naukę programowania

Kiedy jednak na uczelnie i do szkół wkroczyły komputery zgodne z IBM PC, z systemem MS-DOS, a później WINDOWS, powszechne nauczanie programowania wygasło. Zachłystnięto się bogatym i „darmowym” (wtedy w Polsce nie było ochrony praw autorskich) oprogramowaniem biurowym i uczono posługiwania się nim. Co prawda tworzenie arkusza kalkulacyjnego w programie EXCEL czy innym ma coś wspólnego z programowaniem. Natomiast DBASE, służące do zarządzania bazami danych, było już całkiem zaawansowanym językiem programowania. Jednak to pierwsze nie dawało szans na wyedukowanie do profesjonalnego programowania, a to drugie było zbyt skomplikowane dla początkujących.

Wczesna nauka programowania w szkołach ma wiele zalet. Programowanie ma sporo cech matematyki, a więc rozwija myślenie abstrakcyjne. Szczególnie przyczynia się do rozwoju zdolności przewidywania skutków różnego rodzaju działań, a więc zdolności niezwykle wartościowej w życiu codziennym i właściwej w każdym zawodzie. Opanowanie pierwszego języka programowania to miłowy krok w kierunku poznania dowolnych dalszych języków, mających ogromne znaczenie utylitarne. Dzisiaj utalentowani programiści są hołubieni przez licznych przedstawicieli przemysłu informatycznego poszukujących pracowników. Miejsca pracy programistów wyposażane są niezwykle wygodnie i bogato, co wraz z atrakcyjnymi ofertami płacowymi i dodatkowymi bonusami czyni zawód programisty jednym z najpewniejszych na rynku pracy.

Dobrze więc, że znowu powszechnie uczy się programowania i to już w szkołach podsta-

wowych. To powinno się przyczynić do zmniejszenia niedoboru programistów w przemyśle. Jednak przede wszystkim trzeba wykształcić ludzi bardziej świadomych istoty programowania, potrafiących komunikować się z programistami i szerzej informatykami.

Deficyt programistów wśród nauczycieli

Niestety ssanie na rynku pracy przyczynia się też do odpływu zdolnych programistów ze szkół i brakuje nauczycieli-programistów. Douczony na kursach, w najlepszym razie matematyk, może mieć trudności z przygotowaniem dzieci do tak prestiżowych zmagania jak olimpiada informatyczna czy ogólnopolskie zawody w programowaniu zespołowym. Dla wielu są one przepustką do najlepszych studiów informatycznych.

Mając na względzie te wszystkie przesłanki, jesienią 2015 pomyślano o wychowankach domów dziecka. Zauważono, że Dom Dziecka nr 2 w Poznaniu sąsiaduje z V Liceum Ogólnokształcącym, które ma laboratorium robotów LEGO MINDSTORMS. Jak każde LEGO ten zestaw jest przyjazny, umożliwiając konstruowanie najwymyślniejszych robotów. Natomiast graficzny język programowania na podłączonym komputerze pozwala na nadanie im zdolności do wykonywania złożonych zadań. Dlatego w uzgodnieniu z dyrekcjami na początek zaoferowano kilku wychowankom zajęcia pozalekcyjne.

Kurs zgodziło się prowadzić pięciu studentów wolontariuszy z Wydziału Informatyki Politechniki Poznańskiej i kilku uczniów V Liceum Ogólnokształcącego. Chciano jednak, żeby zestaw robotyczny był też na wyposażeniu domu dziecka i poproszono internautów o wsparcie finansowe przez założenie projektu crowdfundingowego <https://polakpotrafi.pl/projekt/zbudowac-robota>. Już po miesiącu zebrano kwotę wystarczającą do zakupu LEGO MINDSTORMS. Dzięki temu zestaw wraz z nieodpornym laptopem wręczono dzieciom na barwnej uroczystości tuż przed Gwiazdką. Uroczystość prowadził chyba pierwszy na świecie robot z doktoratem – dr Bot. Pomysł przebrania świadomie nawiązywał do wchodzącej wtedy na ekrany kolejnej części *Gwiezdnych wojen*. Miał rozbudzić zainteresowanie robotami i przyciągnąć dzieci do zajęć.

Studenckie Koło Naukowe Upowszechniania Programowania zostało oficjalnie utworzone w marcu 2016. Od początku było aktywne w mediach, co nadal ma miejsce: <https://pro.put.poznan.pl/press.php>.

Programowanie dla uchodźców

Programowanie dla uchodźców

W tym roku stanęło przed „Prometeuszami Programowania” nowe wyzwanie, co podpowiedział pro-



Dr Bot

dziekan Robert Wrembel. Chodzi o wyjście z ofertą również do młodych Ukraińców. Trzeba im pokazać, jak ważne jest programowanie, również, a może szczególnie, w czasie wojny. Tak się złożyło, że u progu konfliktu na Ukrainie opiekun Koła napisał do dziecięcego pisemka „Programista Junior” o programowaniu szyfrowania i łamania szyfrów. Nie omieszkał przy tym wspomnieć o roli Polaków i Brytyjczyków w złamaniu kodu Enigmy. Jak wiadomo, przyczyniło się to do skrócenia II wojny światowej o dwa lata i oszczędzeniu milionów ludzi.

Dzięki działającej w kole studentce z Ukrainy, pani Rehinie Pashkevych, i Oddziałowi Wielkopolskiemu Polskiego Towarzystwa Informatycznego numer pisemka z tym artykułem po polsku został wzbogacony o wrzutkę po ukraińsku. Psychologowie oceniają, że to powinno dobrze wpłynąć na ukraińskie dzieci, pomagając im otrząsnąć się z wojennej traumy i uczyć się z motywacją, że ich wiedza też może pokonać wroga.

Tymczasem udało się nawiązać podwójną współpracę z dopiero co otwartym Centrum Szyfrów ENIGMA <https://cse-nigma.pl>. Polecamy zwiedzenie. Będziecie państwo zachwyceni eksponatami, zwłaszcza eleganckim oprogramowaniem na cudownym sprzęcie.

Zaprosiłem bratanicę z bystrymi dziećmi (9 i 6 lat) do zrobienia fotoreportażu dla pisemka „Programista Junior”. Chyba udało się tekstem i fotografiami zawodowca Piotra Gajewskiego oddać ich fascynację eksponatami, tj. programami/grami na gigantycznych tabletach i przedmiotami kryptologicznymi.

Trzech dyplomantów w ramach pracy inżynierskiej wzięło się do zrobienia brakującej przeglądarkowej wersji tego oprogramowania. Obiecują prototyp na Noc Naukowców na Politechnice Poznańskiej 30 września 2022, kiedy z pomocą wolontariuszy zademonstrują swoje dzieło około 75 uczestnikom warsztatów (<https://pro.put.poznan.pl/projects.php>).

Problemy Prometeusza

Niestety opiekowanie się kołem naukowym to niełatwe zadanie. Pierwszy zarząd z 2016 roku i studenci prowadzący zajęcia w domach dziecka wykruszyli się po kilku latach. Przez to w roku bieżącym trzeba było przeprowadzać biurokratyczną procedurę wznawiania działalności koła. W nowej odsłonie Koło chciałoby oferować programistom bezpłatne kursy pedagogiczne. Mamy nadzieję, że uprawnienia przydadzą się już w trakcie studiów, a także po nich, choćby dla kilku godzin, które mogą wesprzeć lokalną szkołę.

Jednak niełatwo w obliczu bardziej naglących potrzeb uchodźców z Ukrainy pozyskać fundusze z firm, a także znaleźć sposób na zaksięgowanie takich wydatków. Udaje się dzięki profilowi <https://patronite.pl/Python> pozyskiwać niewielkie fundusze, systematycznie wspierając patronów w nauce programowania w języku Python. Jest też do tego bardziej efektywny widget:

```
<iframe src="https://patronite.pl/widget/Python/651442/small/000000/FFFFFF" width="300" height="450" frameborder="0" scrolling="no"></iframe>
```

Patroni, których suma wpłat będzie większa niż 49 zł, otrzymują przypinkę o przedstawionym obok wzorze.

Ostatnie batalie

W tym roku już trzy artykuły opiekuna Koła zostały przyjęte do druku w pisemku „Programista Junior”. Dwa dotyczące kodowania algorytmów łamania szyfrów i odgadywania kolejności na mecie wyścigów zostały przetłumaczone na ukraiński, złożone i wydrukowane dzięki wsparciu finansowemu Polskiego Towarzystwa Informatycznego Oddział Wielkopolski. Są one wsuwane do pisemka z apelem naczelnej we wstępniaku, by polskie dzieci przekazywały je ukraińskim. Są też dostępne na stronie Koła <https://pro.put.poznan.pl/projects.php>. Na razie trwa batalia o sfinansowanie wersji ukraińskiej barwnego fotoreportażu „Muzeum tajemnic”.

Tymczasem członkowie „Prometeusza Programowania” entuzjastycznie odnieśli się do inicjatywy korepetycji dla dzieci i młodzieży szkolnej: www.pro.put.poznan.pl/lessons.php, poszukując zarówno potrzebujących, jak odpowiednich dla nich korepetytorów. Oferowana jest specjalna przypinka.

Dr inż. Andrzej P. Urbański, Instytut Informatyki Politechniki Poznańskiej



Aleksandra Łuczak

O czarnym łabędziu, proctorze i sic!

To pierwsze doświadczenie i badanie pozwoliło mi nabrać przekonania, że przeprowadzanie testów pisemnych online w celu oceny pracy uczniów podczas nauczania online z wykorzystaniem metod kształcenia na odległość jest skutecznym rozwiązaniem.

Świat, w którym żyjemy, charakteryzuje VUCA: Volatility – zmienność, Uncertainty – niepewność, Complexity – złożoność, Ambiguity – niejednoznaczność. Świat był już VUCA przed wybuchem pandemii COVID-19. Antykruchłość (ang. antifragility) to cecha organizacji, ale też ludzi, którzy nie dają się zdominować nieprzewidzianym zjawiskom o dużej szkodliwości (tzw. czarnym łabędziem) i podejmują działania, aby budować swoją odporność. Czy pandemia COVID-19 była czarnym łabędziem? Z jednej strony naukowcy ostrzegali, że grozi nam globalna pandemia i była ona raczej białym łabędziem – zdaniem o dużym wpływie, ale prawdopodobnym. Z drugiej strony przeciętne społeczeństwa i organizacje zostały pandemią zaskoczone i te, które okazały się antykruche i zwinne, szybciej i lepiej odnalazły się w nowej rzeczywistości i pokonały trudności.

W Akademii Leona Koźmińskiego 95% zajęć odbywało się online, zgodnie z planem zajęć tradycyjnych, już drugiego dnia po zamknięciu uczelni w Polsce z powodu wybuchu pandemii COVID-19. Było to możliwe, bo uczelnia posiadała wszystkie potrzebne rozwiązania technologiczne i sprawnie zorganizowała kilka intensywnych szkoleń dla wykładowców. Było to możliwe również dlatego, że wykładowcy odważnie i odpowiedzialnie podjęli nowe wyzwanie, pokazując w ten sposób, że ALK była organizacją turkusową – miała oddanych, współpracujących pracowników, świadomie wypełniających misję uczelni.

Pierwsze dni

Pierwszy semestr pracy zdalnej był bardzo trudny. Wiele czynników powodowało, że czuliśmy się zestresowani i przemęczeni. Oprócz obaw o zdrowie towarzyszył nam stres wywołany pracą z zupełnie nowymi narzędziami. Czas pracy znacznie się wydłużył, gdyż wieczorami zasiadaliśmy ponownie przed ekranami i braliśmy udział w szkoleniach, które często trwały do późnych godzin nocnych. Nagle to, co wydawało się niemożliwe jeszcze tydzień wcześniej, stało się codziennością. Prawie wszyscy z dnia na dzień zaczęliśmy używać MS Teams. Potrafilismy rozpocząć spotkanie, dołączyć do niego, udostępnić prezentację,

włączyć dźwięk w pokazywanym wideo, tworzyć zespoły i dołączać do nich, pisać na czacie, udostępniać pliki itd. Z godziny na godzinę przybywało nam nowych umiejętności.

Jako że specyfika zajęć językowych jest zupełnie inna niż wykładów i wymaga umiejętności angażowania studentów i ciągłej z nimi interakcji, lektorki i lektorzy Centrum Języków Obcych w ALK szybko zaczęli organizować swoje własne, wewnętrzne szkolenia. W naszym gronie mamy doświadczone metodyczki, które były gotowe podzielić się nowo zdobytą wiedzą i umiejętnościami sprawdzonymi w pierwszych dniach zajęć online. W drugim dniu lockdownu wszyscy lektorzy i lektorki, a było to prawie 60 osób, zostali dodani do zespołu na MS Teams, który od tamtej pory jest naszym najważniejszym kanałem komunikacji. Od pierwszych dni pandemii pomagaliśmy tu sobie nawzajem. Żadne pytanie nie pozostało bez odpowiedzi. I tak jest nadal. Już w czwartym dniu lockdownu odbyło się spotkanie CJO na Teamsach, na którym dzieliliśmy się nowo zdobytymi umiejętnościami prowadzenia zajęć online. Każde kolejne szkolenie pokazywało, jak rozwijały się nasze kompetencje cyfrowe i zmieniały potrzeby: od – jak dodawać studentów do zespołu, do – jak dobrze wyglądać przed kamerą i używać głosu.

Pierwsze dni i tygodnie wymagały też ode mnie, jako dyrektorki CJO, podjęcia wielu trudnych decyzji. Jedną z pierwszych było odwołanie egzaminów certyfikowanych LCCI i TOLES, na które już mieliśmy zapisane bardzo duże grupy studentów (ok. 500 osób). W 2020 roku były to wciąż egzaminy w formie papierowej, do których studenci przystępowali na terenie uczelni. W związku z ograniczeniami pandemicznymi stało się to, po raz pierwszy w historii ALK, niemożliwe.

Niestety w 2020 roku musieliśmy poszukać innego rozwiązania, bardziej wymagającego i czasochłonnego dla lektorów CJO, tj. egzaminów wewnętrznych. O ile wszystkie inne rozwiązania lektorzy przyjmowali ze zrozumieniem i często oferowali swoją pomoc lub, poproszeni o nią, nigdy nie odmawiali, tak konieczność przygotowania i sprawdzenia egzaminów dla niektórych z nas okazała się zbyt dużym obciążeniem. Patrząc z perspektywy dwóch lat, czuję, że to był najtrudniej-

szy moment, w którym również mogłam poznać, kto w zespole mnie wspierał, odpowiedzialnie rozumiał zmienność sytuacji, a kto próbował wykorzystać trudną sytuację dla swoich materialnych korzyści.

Myszę, że warto tu również wspomnieć, że władze ALK już w maju 2020 roku podjęły decyzję o obniżeniu wynagrodzeń pracowników etatowych, nazywając je działaniami solidarnościowymi. W przypadku CJO dotknęły one ok. 10% lektorek i w tym miejscu chciałabym podziękować moim etatowym koleżankom, gdyż z ich strony zawsze otrzymywałam wsparcie i pomoc, pomimo tamtej odgórnego decyzji.

Testowanie online

Dbając o swoją anykruchność ALK oprócz pełnego wachlarza narzędzi Microsoft, które umożliwiły nam szybkie przejście do prowadzenia zajęć online, od kilku lat poprzedzających pandemię oferowała swoim wykładowcom narzędzia do przeprowadzania testów komputerowych. Wykorzystanie najnowszych technologii do przeprowadzania testów językowych od dawna leżało w obszarze moich zainteresowań dydaktycznych. W momencie wybuchu pandemii narzędziem używanym w ALK była norweska platforma INSPERA, wykorzystywana również przez uniwersytety Cambridge, Oxford, Lund czy British Council.

Class Marker – narzędzie, które było wcześniej wykorzystywane w ALK – nie do końca spełniło moje oczekiwania ze względu na brak możliwości tworzenia niektórych niezbędnych w kontekście nauczania rodzajów zadań, np. dłuższych tekstów z lukami. Również współpraca z ówczesnym Centrum Egzaminacyjnym nie przebiegała sprawnie, więc zaprzestałam prób testowania moich studentów za pomocą narzędzi oferowanych w ALK. Te złe doświadczenia zaowocowały stworzeniem własnej aplikacji PUSTUŁKA do testowania języków, dostępnej na pustulka.edu.pl w 2017 roku. A zatem w momencie wybuchu pandemii miałam już sporo doświadczenia w tworzeniu samej aplikacji i ćwiczeń, które sprawdzają się online, a także wiele testów przeprowadzonych online.

Dzięki temu doświadczeniu dość szybko zrozumiałam, jak działa dostępna dla wszystkich wykładowców ALK INSPERA i mimo że na swoich zajęciach nadal wykorzystywałam PUSTUŁKĘ, chciałam, aby lektorzy nauczyli się używać INSPERY, która w czasie pandemii wydawała się idealnym rozwiązaniem z kilku powodów: była dostępna za darmo, Centrum Egzaminacyjne służyło wsparciem w tworzeniu ćwiczeń, uruchamianiu i przeprowadzaniu testów, dawała możliwość kontroli nad zdającymi dzięki dodatkowej aplikacji SEB (Safe Exam Browser), która dezaktywuje inne programy i strony internetowe na komputerach zdających.

W okresie pandemii INSPERA stała się najczęściej wykorzystywanym narzędziem do testowania języków obcych w ALK. W początkowym okresie pojawiało się wiele wątpliwości dotyczących rzetelności takiej formy testów. W przypadku moich grup dość łatwo mogłam porównać wyniki osiągnięte przez studentów, gdyż już przez prawie trzy lata przed pandemią wykorzystywałam wyłącznie testy komputerowe. Jediną różnicą było to, że przed pandemią studenci pisali na komputerach na uczelni, a ja kontrolowałam, co robią na swoich urządzeniach, obserwując ich monitory. W czasie pandemii studenci pisali testy w domu, przy włączonych kamerach, a testy były zaprojektowane bez możliwości wracania do poprzednich zadań, z randomizacją zadań (każdy student dostawał zadania w innej kolejności i z precyzyjnie wyliczonym czasem na ich wykonanie).

W czasie pierwszego miesiąca lockdownu przeprowadziłam cztery testy online wśród moich studentów. Moje subiektywne wrażenie było wówczas takie, że studenci nie osiągnęli lepszych

wyników w porównaniu z testami, które pisali przed pandemią, a analiza wykazała, że ich indywidualne wyniki były bardzo zbliżone.

W krótkiej ankiecie przeprowadzonej online wśród 63 studentów zapytałam, czy testy przeprowadzane w czasie pandemii sprawdzają wiedzę tak samo, jak testy, które pisali w salach komputerowych. Ponad połowa się z nim zgodziła (35%) lub zdecydowanie się zgodziła (23%), około jedna trzecia (32%) pozostała neutralna, a tylko jeden na siedmiu studentów nie zgodził się (8%) lub zdecydowanie się nie zgodził (6%).

Jednak w przypadku testów zadawanych do zrobienia do domu, które studenci mogli rozwiązywać samodzielnie w celu powtórzenia materiału, niektóre wyniki były znacznie lepsze niż w przypadku testów nadzorowanych przeze mnie w sali na kampusie.

To pierwsze doświadczenie i badanie pozwoliło mi nabrać przekonania, że przeprowadzanie testów pisemnych online



w celu oceny pracy uczniów podczas nauczania online z wykorzystaniem metod kształcenia na odległość jest skutecznym rozwiązaniem. Zaleciłam lektorom CJO ustalanie bardzo ścisłego limitu czasowego, randomizację pytań i stosowanie pytań testowych, takich jak wielokrotny wybór, test typu cloze (tekst z lukami), prawda/fałsz lub dłuższych prac pisemnych, takich jak eseje, raporty, listy, dłuższe parafrazy itp. Pytania otwarte typu krótka odpowiedź, np. pisanie definicji, synonimów lub tłumaczenia itp. okazały się niestety najłatwiejsze do skopowania ze słowników i stron internetowych, więc uwzględnianie ich w testach przestało mieć uzasadnienie.

Sharing is Caring (sic!)

Pandemia postawiła przed nami nowe, nieznane wyzwania. Pierwszy semestr nauczania online w pandemii pokazał, jak bardzo ważna jest współpraca w zespole, wzajemne wsparcie i dzielenie się doświadczeniem. Obserwacja tych pozytywnych

zachowań zaowocowała pomysłem stworzenia wspólnoty praktyków CJO w ALK. Utworzenie takiej wspólnoty od dawna było moim marzeniem. Wierzę bowiem w siłę współpracy i jej inspirowaną moc. Wspólnoty praktyków to grupy osób, które wykonują ten sam zawód i mają podobne problemy lub interesują ich podobne tematy. Celem wspólnot jest wymiana doświadczeń i pomoc. A docelowo rozwój i sukces. Zazwyczaj jest tak, że sukces rzadko osiągamy bez współpracy z innymi.

Nasza wspólnota z powodu lockdownu miała istnieć i spotykać się online w MS Teams, a komunikacja poza spotkaniami odbywała się na czacie, w mailach lub telefonicznie. 28 września 2020 odbyło się pierwsze spotkanie z serii Sharing is Caring! (sic!), które zapoczątkowało powstanie wspólnoty praktyków lektorów języków obcych w ALK.

Nasza współpraca miała być inwestycją w nasz rozwój zawodowy i osobisty, sprzyjać i wyzwalać kreatywność, nauczyć nas dzielenia się wiedzą i doświadczeniem, bo „sharing is caring”.



Rys. Sławomir Makal

rozwijając znajomość najnowszych technologii i narzędzi. Miała stworzyć nowych mentorów/ekspertów, podtrzymywać istniejące i budować nowe relacje w zespole, być elementem procesu adaptacyjnego nowych pracowników (onboarding), pomóc nam wspierać się w trudnych pandemicznych czasach, podtrzymywać energię do pracy i świętować.

W roku akademickim 2020/2021 odbyły się cztery spotkania (sic!), których celem była wymiana doświadczeń. Poświęcone one były zasadom i przykładom dobrych praktyk na zajęciach języka obcego, testowaniu online i sposobom angażowania studentów w czasie zajęć online.

W ramach sic! przeprowadziliśmy trzy szkolenia wewnętrzne, poświęcone przygotowaniu studentów do nowego egzaminu certyfikowanych Linguaskill oraz TOLES w nowej formule online oraz tworzeniu i przeprowadzaniu testów na INSPE-RZE. Odbyło się również jedno szkolenie zewnętrzne, poświęcone egzaminowi Linguaskill. Spotkania sic! cieszyły się popularnością i zazwyczaj uczestniczyło w nich ok. 20-30 osób. Były nagrywane, tak aby wszyscy nieobecni też mogli je obejrzeć.

Projekt zainspirował niektórych lektorów do dzielenia się swoim know-how. Powstały mniejsze zespoły, w których lektorzy pomagali sobie nawzajem lub wspólnie tworzyli testy na INSPE-RZE. Projekt przyczynił się do rozwoju zawodowego i osobistego wielu z nas, wzbogacił nasze relacje o zaufanie. Nowi pracownicy dostali możliwość poznania zespołu CJO, naszego stylu pracy i wymagań, a w efekcie zintegrowania się z pozostałymi lektorami. Lektorzy doceniali poczucie wspólnoty w trudnym okresie lockdownu, zauważyli, że praca online daje im szanse rozwoju zawodowego, że stają się bardziej profesjonalni, kiedy sprawnie korzystają z najnowszych technologii oraz że dzieląc się, również zyskują, bo jest to często proces dwukierunkowy.

Plakat podsumowujący działania wspólnoty praktyków sic! w ALK zdobył pierwsze miejsce w kategorii innowacji organizacyjnych na corocznej sesji posterowej organizowanej przez HR ALK w roku 2021.

Proctoring

Jak już wspomniałam powyżej, jedną z najtrudniejszych decyzji w pierwszym semestrze pandemii było odwołanie egzaminów certyfikowanych z języka angielskiego, które z powodu reżimu sanitarnego nie mogły odbyć się w tradycyjny sposób na kampusie. Decyzja ta dotyczyła egzaminów: LCCI English for Business (London Chamber of Commerce and Industry) organizowanego przez firmę Pearson oraz TOLES (Test of Legal English Skills) z angielskiego języka prawniczego, organizowanego przez firmę Global Legal English.

Już rok przed wybuchem pandemii podjęłam rozmowy z firmą LANG, prowadzące do współpracy w zakresie wprowadzenia w ALK egzaminu Linguaskill Business – komputerowego testu poziomującego z business English (następca wycofanego egzaminu BULATS), który miał być alternatywą dla egzaminu LCCI. Pandemia doprowadziła do naturalnej śmierci egzaminu LCCI i już w pierwszym jej roku firma Pearson poinformowała, że egzamin LCCI EFB zostanie wycofany z rynku w grudniu 2021. Linguaskill Business okazał się dobrym wyborem i następcą LCCI; niestety w 2020 roku nie były jeszcze gotowe rozwiązania ze zdalnym proctoringiem.

Proctoring to system, który umożliwia studentom zdalne przystąpienie do egzaminu i jednocześnie zapewnia kontrolę rzetelności zachowania zdających. System wymaga od studentów potwierdzenia tożsamości, a podczas egzaminu system monitoruje ich za pomocą obrazu wideo i wykrywa niewłaściwe zachowania.

Dwie pierwsze sesje egzaminu Linguaskill Business z proctorem Sumadi dla prawie 250 studentów ALK udało nam się

przeprowadzić dopiero w maju 2021. Wkrótce okazało się, że studenci ALK byli pierwszą tak liczną grupą zdającą Linguaskill w Polsce i nasz case study pojawił się na stronie Cambridge English Language Assessment (<https://www.cambridgeenglish.org/exams-and-tests/linguaskill/information-about-the-test/testimonials/kozminski-university/>). Tej pionierskiej sesji towarzyszyły oczywiście nieprzewidziane problemy techniczne, ale dzięki dużemu zaangażowaniu firmy LANG oraz profesjonalnemu i wyrozumiałemu podejściu studentów ALK udało się im ukończyć lektorat języka angielskiego z międzynarodowymi kwalifikacjami w zakresie języka specjalistycznego.

Firma Global Legal English, która organizuje egzamin z angielskiego języka prawniczego TOLES, była gotowa z wersją egzaminu z proctoringiem dopiero w styczniu 2022. Dlatego wiosną 2021 przeprowadziliśmy egzamin TOLES online bez proctoringu. Wymagało to dużego zaangażowania lektorów ALK, bardzo dobrej koordynacji pracy kilku zespołów i pełnej współpracy, dzięki której udało nam się zagwarantować, że kolejny rocznik absolwentów prawa ALK ukończy studia z międzynarodowym certyfikatem. W 2022 roku w ALK odbyła się sesja egzaminu TOLES z proctorem Synap dla 224 osób, na którą zdecydowaliśmy się pomimo wciąż dostępnej możliwości zorganizowania egzaminu w wersji papierowej.

Uważam, że każde nowe doświadczenie z wykorzystaniem najnowszych technologii buduje naszą przewagę konkurencyjną i daje szanse rozwoju zawodowego.

Poznać się i wspierać

Jeszcze na początku 2020 roku mogliśmy pisać o kontrowersjach związanych z wykorzystywaniem technologii w nauczaniu języków obcych, o obawach nauczycieli, ich niechęci do korzystania z najnowszych technologii i brakach w kompetencji cyfrowej. Wybuch pandemii COVID-19 i przeniesienie wszystkich zajęć uniwersyteckich online wiele zmienił i przyspieszył wiele procesów zaplanowanych na kolejne lata. W ciągu zaledwie kilku dni rozwinęliśmy nowe cyfrowe umiejętności, bez których teraz nie wyobrażamy sobie naszej pracy. Zrozumieliśmy też, że dzięki współpracy dużo szybciej i skuteczniej rozwiązujemy napotkane problemy i zdobywamy nowe kwalifikacje.

Moje osobiste wrażenie jest również takie, że wychodzimy z pandemii z dużo lepszymi relacjami jako zespół. Wspieranie, jakie sobie dawaliśmy w czasie lockdownu, pozwoliło nam się lepiej poznać i wspierać nie tylko zawodowo. Dzięki naszej wspólnotie sic! nauczyliśmy się dzielić, staliśmy się mniej zazdrośni o nasze know-how, bo każdy pomysł dany innym wywoływał wiele odpowiedzi zwrotnych z kolejnymi pomysłami.

Aktualnie nowa, postpandemiczna rzeczywistość wymaga od nas nauczania w trybie tzw. hybrydowym, kiedy kilku studentów znajduje się z nami w sali zajęciowej, a reszta uczestniczy w ćwiczeniach online. Ta forma zajęć jest bardzo wymagająca dla prowadzących. Uczymy się, jak poświęcić wszystkim studentom taką samą uwagę i w jednakowym stopniu zaangażować ich w pracę. To rozwiązanie wydaje się bezpieczniejsze w obliczu zagrożenia wirusem, ale okazało się dobrym rozwiązaniem w momencie wybuchu wojny na Ukrainie, kiedy niektórzy nasi studenci nie mogli wrócić do Polski, a inni chcieli z niej wyjechać w obawie o swoje bezpieczeństwo.

Z pandemii wyszliśmy zdecydowanie bardziej antykrusi. Lepiej też rozumiemy, jak bardzo świat jest VUCA i jak nagle może postawić przed nami kolejne niespodziewane wyzwania.

Dr Aleksandra Łuczak, dyrektorka Centrum Języków Obcych, Akademia Leona Kozmińskiego

Marek Misiak

Nie wiecie, o co prosicie

Czasopismo naukowe to nie sklep, gdzie się płaci i wymaga. Wniesienie opłaty nie oznacza gwarancji publikacji, gdyż nie znosi wymogów, którym muszą sprostać tekst i autor na etapie redakcji językowej.

Długo wahałem się, czy napisać ten tekst. W cyklu „Publikuj lub gin” staram się trzymać zasady, by autorów przedstawiać zawsze w dobrym, a przynajmniej neutralnym świetle, by nie jawić się jako redaktor-besserwisser, który narzeka na mierzwę, z którą musi mieć do czynienia niczym zgorzkniały nauczyciel wywodzący, że każdy kolejny rocznik młodzieży jest coraz gorszy. Szereg razy sam ośmieszyłem się przed autorami, gdy przez nieuwagę lub pośpiech przeoczyłem poważny błąd. Prawdziwy profesjonalizm i rozwój w zawodzie redaktora polega także na otwartości na błędy, zarówno cudze, jak i własne. Jeśli ktoś czegoś nie rozumie lub nie wie, może to oznaczać, że zawodzi przekaz informacji, być może instrukcje dla autorów są niepełne lub niejasne, a procedury mało intuicyjne. Redaktor musi też pamiętać, że coś oczywistego w jego branży może już takie nie być dla naukowca, który publikuje artykuły czy książki, ale przede wszystkim prowadzi badania, uczestniczy w życiu naukowym, ubiega się o granty, a z kwestiami edytorскими ma do czynienia tylko co jakiś czas i nie widzi powodu, by wchodzić w nie głębiej (a często zwyczajnie nie ma na to czasu). Pewne problemy po prostu będą się powtarzać, bo edytorstwo naukowe jest tylko po części elementem świata nauki, zawsze jest do pewnego stopnia czymś zewnętrznym, z innego porządku, i te dwa obszary nigdy się do końca nie przenikną ani nie zajądą. Edytorstwo – także naukowe – to fach, praktyka, zawód (choć rzecz jasna bazujące na szeregu dziedzin wiedzy) i jedynie służy nauce, jej upowszechnianiu, nie będąc jednak jej równorzędnym partnerem.

Bywają jednak sytuacje, gdy ta częściowa tylko kompatybilność dwóch światów staje się szczególnie mocno odczuwalna. Gdy redaktor na moment nieruchomieje, czytając mail, rozmawiając przez telefon czy podczas rozmowy twarzą w twarz. Gdy autor formułuje oczekiwanie (a czasem – niestety – żądanie) tak zaskakujące, że przez moment redaktor zastanawia się, czy dobrze zrozumiał, bo przecież to niemożliwe, żeby mądrzejsza i znacznie bardziej od niego utytułowana osoba poważnie stawiała takie pytania. W artykule tym omówię najbardziej zaskakujące, a jednocześnie niemożliwe do spełnienia oczekiwania autorów, co ważne – tylko z mojej praktyki. Nie jest to zatem zbiór kuriozów z Polski czy ze świata, ale samo życie.

Dopisanie autora po przyjęciu do publikacji

W niektórych zawodach ważne są procedury czy tzw. polityka firmy, za którymi można się schować, gdy nie chcemy dać drugiej stronie otwarcie do zrozumienia, że nie rozumiemy absurdalności swoich żądań. Nie wynika to z obłudy czy tchórz-

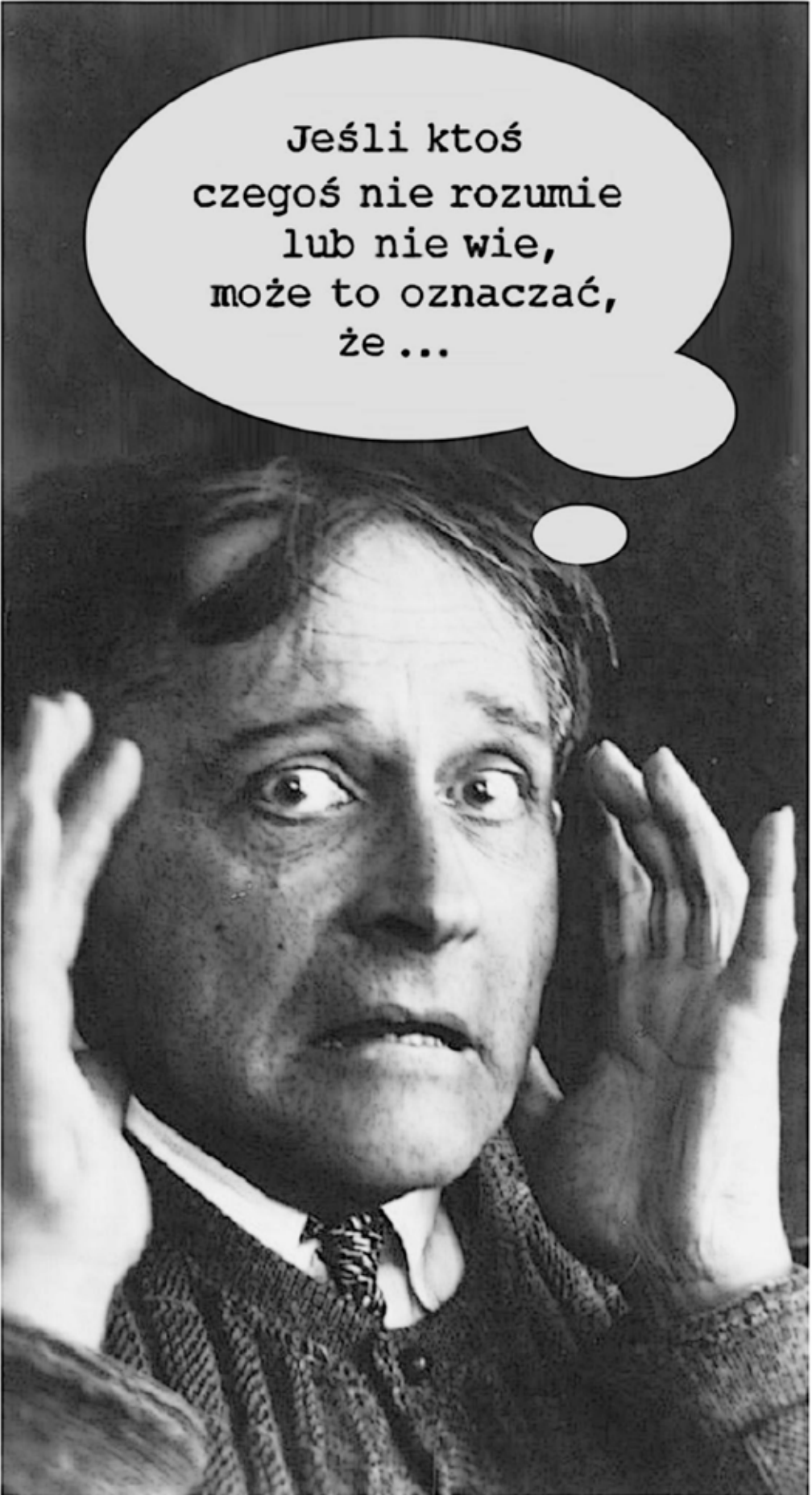
stwa, ale z założenia, że inni ludzie rzadko mają złe intencje i to brak rozeznania w danej materii sprawia, że się nieświadomie ośmieszają. Sam stosuję tę metodę wówczas, gdy autor oczekuje dopisania współautora artykułu publikowanego w czasopiśmie naukowym na etapie, gdy jest to już niemożliwe. Różne periodyki przyjmują w tym zakresie różne standardy – są takie, które w ogóle nie pozwalają na zwiększanie liczby autorów po złożeniu manuskryptu do oceny (autorów można usuwać, ale nie dodawać), w innych dopisać autora można do etapu skierowania artykułu do peer review, ale najczęstszą granicą jest chyba moment akceptacji do druku. Wynika to, niestety, z założenia, że dodawanie współautorów na tak późnym etapie może mieć nieetyczny charakter. Gdy praca została już przyjęta do publikacji, jej twórcy mogą chcieć – w dobrej wierze – pomóc w karierze jeszcze kilku kolegom; może się też zdarzyć, że osoba wcześniej jedynie wymieniona w podziękowaniach zechce nagle być autorem. W ciągu ostatnich kilku miesięcy szereg razy stykałem się natomiast z prośbami o poszerzenie grona autorów manuskryptu na etapie korekty autorskiej (czyli proofa, zwanego także szczotką), a dwa razy w ciągu kariery już po publikacji artykułu.

Zarysowuje się tu ciekawa symetria: zarówno autorzy, jak i ja bazujemy do pewnego stopnia na wyobrażeniach o pracy drugiej strony. Autorzy wyobrażają sobie, że skoro większość czasopism naukowych ukazuje się wyłącznie w formie elektronicznej, to umieszczenie online nowego pliku PDF czy artykułu w formacie HTML nie powinno być żadnym problemem. W jednym z poprzednich tekstów wyjaśniałem, dlaczego jest to jednak niemożliwe z powodów czysto technicznych. Ja natomiast mam jedynie pewne wyobrażenia o pracy badacza i nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jak można przeoczyć tak podstawową rzecz, jak współautorstwo lub jego brak, nawet jeśli artykuł był tworzony przez naukowców z różnych ośrodków, którzy nigdy nie spotkali się osobiście. O ile wydaje się to jeszcze możliwe przy pracach o dziesiątkach współautorów, o tyle gdy nad manuskrytem pracowało np. sześciu badaczy orientowanie się tak późno, że ktoś także jest współautorem, jest – użyję tu mocnego sformułowania – przejawem braku profesjonalizmu, za który redaktor w żadnym sensie nie odpowiada i którego skutków nie ma obowiązku naprawiać. Na tym etapie żadne uzasadnienia ani zgody wszystkich pozostałych autorów tekstu nie mają już znaczenia. Jeśli rola danej osoby była kluczowa i niewątpliwie jest ona współautorem, dlaczego dostrzeżono to dopiero wtedy, gdy prace redakcyjne nad artykułem wchodziły w ostat-

nią fazę? Nieporozumienia czy niedogadanie między autorami są rzecz jasną ludzką rzeczą, ale redaktor nie jest ich częścią i nie powinien się w ogóle o nich dowiadywać, a już na pewno nie w taki sposób.

Certyfikat poprawności językowej manuskryptu

Przejdę teraz do najbardziej nieprzyjemnego aspektu mojej pracy. Takie sytuacje zdarzają się rzadko, ale zapadają w pamięć, gdyż związane są nie tylko z profesjonalizmem



Jeśli ktoś
czegoś nie rozumie
lub nie wie,
może to oznaczać,
że ...

w pracy redaktora, ale także z poczuciem sensu i znaczenia tego zawodu. Praca nad artykułem, skryptem lub książką składa się z kilku etapów, które także omawiałem już na tych łamach. Niedociągnięcia manuskryptu mogą zostać ujawnione nie tylko na etapie kontroli merytorycznej (a zatem peer review oraz innych rodzajów recenzji, np. statystycznej), ale także podczas redakcji językowej. Recenzenci także są tylko ludźmi i mogą nie zauważyć znaczących czasem usterek merytorycznych lub statystycznych, nawet jeśli nie są specjalistami w danej dziedzinie, gdyż zdarzają się błędy widoczne gołym okiem także dla niefachowca, zwłaszcza jeśli od lat ma do czynienia z tekstami z danego obszaru wiedzy. Ponadto zadaniem peer reviewers jest ocena merytorycznej zawartości manuskryptu, a nie jego szaty językowej, i choć zdarzają się recenzenci postulujący odrzucenie artykułu lub odesłanie go do poprawy z uwagi na niski poziom językowy (chodzi z reguły o język angielski), jest to ich dobra wola, a nie obowiązek. Może się zatem zdarzyć tak, że artykuł w miarę gładko przejdzie etap recenzji i autor – jeśli dane czasopismo pobiera API (article processing charge) – zostanie poproszony o zapłacenie odpowiedniej sumy (oczywiście najczęściej płatnikiem jest zatrudniająca autora instytucja). Niestety nie mogę oprzeć się wrażeniu, że dla niektórych autorów przyjęcie artykułu do publikacji i uiszczenie opłaty oznaczają, że prace nad artykułem już się zakończyły i są zaskoczeni, gdy redaktor wskazuje na liczne błędy i każe tekst przerabiać czy uzupełniać, względnie kwestionuje niektóre przyjęte przez autorów rozwiązania (np. budowę czy liczbę tabel). Trafiłem raz na autora, który w odpowiedzi na wskazówki, jak poprawić niejasny w wielu miejscach tekst, przysłał certyfikat poprawności językowej manuskryptu, wystawiony przez firmę z obszaru scientific writing, która zredagowała dla niego tekst i wyraził oczekiwanie, że na tej podstawie odstąpię od redakcji językowej i po prostu opublikuję tekst. Pozostało mi odpisać, że zleceniobiorcy w jego kraju nie przyłożyli się do pracy i tekst nadal wymaga poprawek.

Wtedy padł argument, który dla mnie – znów mocne słowa – świadczy o braku szacunku dla mojej pracy. „Przecież zapłaciłem za publikację” – napisał autor. To prawda, zapłacił. Ale czasopismo naukowe to nie sklep, gdzie się płaci i wymaga. Wniesienie opłaty nie oznacza gwarancji publikacji, gdyż nie znosi wymogów, którym muszą sprostać tekst i autor na etapie redakcji językowej. Oczywiście autorzy mogą postawić na swoim i nie współpracować, ale wówczas ich artykuł utknie na ostatnim etapie przed publikacją i będą jak pływak, który pokonał Kanał La Manche i utonął trzysta metrów od brzegu. Renomowane czasopisma naukowe nie mogą sobie pozwolić na publikowanie artykułów zawierających ewidentne błędy lub napisanych słabą angielszczyzną, gdyż wpływa to na wyniki ich ewaluacji przez różne instytucje i bazy, i może przyczynić się do spadku w rankingach, a na tym ostatecznie tracą wszyscy – i redaktorzy, i autorzy (bo w rezultacie jest mniej czasopism, w których mogliby zdobywać punkty za publikacje). Zdarzył mi się nawet autor prezentujący postawę rodem z Barei: „Nie mamy pańskiego płaszcza i co pan nam zrobi?”. Wprost oświadczył, że nie jest w stanie poprawić artykułu według wskazówek redaktorów, ale wniósł opłatę, a zatem żąda publikacji lub zwrotu pieniędzy. Zanim jednak postawi się sprawę na ostrzu noża w taki sposób, warto się upewnić, że dane czasopismo zwraca API; niektóre podmioty stosują politykę no refunds. Publikacja artykułu w czasopiśmie naukowym to umowa zobowiązująca obie strony: redakcja wykonuje swoje zobowiązania, ale i autorzy muszą grać według ustalonych i podanych do wiadomości (na stronie internetowej czasopisma lub w inny sposób) reguł.

Być twórcą i tworzywem?

Muszę wreszcie wspomnieć o autorach, którzy otwarcie przyznają się do bezradności w jakimś obszarze, a następnie zdumiewają mnie oczekiwaniami, że ja lub inni członkowie zespołu redakcyjnego będziemy wykonywać za nich pracę; czasem od razu oferują dodatkową zapłatę. Dotyczy to najczęściej trzech aspektów artykułów: szaty językowej, rycin i statystyki. To prawda, że świadczę usługi tłumaczeniowe, graficy i składacze wykonują różne zlecenia, a redaktorzy statystyczni opracowują analizy statystyczne dla pracowników naukowych, ale nigdy nie odbywa się to w ramach pracy w jednej redakcji. W edytorstwie nie można być jednocześnie twórcą i tworzywem, najpierw coś dla kogoś opracowywać, a potem poprawiać rezultaty własnej pracy. To nieetyczne, ale też nieskuteczne – ryzyko przeoczenia poważnego błędu znacząco rośnie. Większość zespołów redakcyjnych jest zaś niewielka i nie ma wolnych mocy przerobowych, aby realizować takie dodatkowe zadania, a następnie jeszcze wymieniać się rezultatami, aby nie sprawdzać po samym sobie. Po raz ostatni w tym tekście bezkompromisowe sformułowania: jeśli autorzy jako zespół nie są w stanie podołać samodzielnemu przygotowaniu i poprawieniu całości artykułu (względnie znalezieniu/wynajęciu osób, które to dla nich zrobią), tym samym nie są gotowi do złożenia manuskryptu w danym czasopiśmie. Za całość nadsyłanych do redakcji materiałów odpowiadają właśnie autorzy. Redakcja odpowiada za poprawki językowe, opracowanie techniczne i skład, ale nie może za nikogo niczego tłumaczyć, rysować ani obliczać.

Warto też zdawać sobie sprawę, że redaktorzy, choć (na ogół) kompetentni, mogą nie być w stanie wykonać dla autorów oczekiwanych usług. Narysowanie wykresu czy grafu to coś więcej niż przepuszczenie danych przez program graficzny. Nie bez powodu Neville Goodman, doświadczony redaktor publikacji medycznych, w książce *Medical Writing: A Prescription for Clarity* (3 wyd. Cambridge University Press, 2006) poświęca cały rozdział odpowiedniemu doborowi typów wykresów i ich projektowaniu. Osoba niezająca istoty prezentowanych zagadnień nie będzie w stanie dobrać właściwej metody graficznej prezentacji wyników i autorzy nie mogą tego oczekiwać od redakcyjnego grafika. Podobnie jest z analizami statystycznymi – niezadko trzeba rozumieć badany problem, aby wiedzieć, jakie dobrać testy i inne metody analizy. Wreszcie czym innym jest redagowanie tekstu napisanego słabą angielszczyzną, ale zrozumiałego (proces żmudny, ale dający wymierne efekty), a czym innym sytuacja, gdy znaczenie wielu sformułowań w tekście (a czasem całych akapitów) jest po prostu niezrozumiałe. W tym drugim przypadku nie wystarczy wynająć redaktora, manuskrypt może poprawić tylko autor, bo tylko on wie, co chciał powiedzieć (niekiedy może to być inny specjalista w danej dziedzinie, który jest w stanie na podstawie znajomości rzeczy zrekonstruować intencję autora). Jeśli autor nie umie sam wyrazić swojej myśli w danym języku w sposób może niekoniecznie poprawny, ale w każdym razie zrozumiały, znaczy to, że nie zna danego języka w stopniu umożliwiającym pisanie artykułów naukowych i potrzebny mu jest tłumacz znający język ojczysty autora i język docelowy, a nie redaktor.

Powyższe sytuacje nie zawsze znajdują satysfakcjonujące autorów rozwiązania, bywa, że artykuł zostaje odrzucony albo trafia do tzw. development hell. To ostatnie oznacza, że autorzy nie wprowadzają poprawek, a redaktor nie przekazuje artykułu do publikacji i artykuł tkwi na tym samym etapie prac nad nim, często latami. Stawianie redaktorom oczekiwań lub żądań, których nie mogą spełnić, zawsze ostatecznie obraca się przeciwko autorom. Żaden redaktor nie lubi takich sytuacji, nie znaczy to jednak, że będzie nagiął reguły, aby ich unikać.

Z Włoch do Polski w 2 poł. XVIII w.

Meandry literacko-kulturowego pośrednictwa

W epoce oświecenia Polska, jak i inne kraje, znajdowała się pod wielkim wpływem Francji, ale niebagatelne były także impulsy płynące z Italii. Na polski przełożono wówczas tylko dwie włoskie powieści, natomiast duże znaczenie dla polskiej kultury miał włoski teatr, zwłaszcza muzyczny.



Król Stanisław August w karnawałowym stroju weneckim (obraz włoskiego malarza Giovanniego Battisty Lampiego przebywającego w Warszawie w latach 1788–1791)

Inny mocny punkt tej kulturowej wymiany stanowiła włoska literatura prawniczo-humanitarna, która odbiła się głośnym echem w ówczesnej Europie, a do Polski dotarła za pośrednictwem wersji francuskich. Podobnie stało się w przypadku pierwszej biografii Cagliostro, powstałej w środowisku rzymskiej inkwizycji. Europejska recepcja tego opracowania stanowi pouczającą ciekawostkę, która znakomicie ilustruje manipulacyjny charakter tłumaczenia.

Przeanalizowałam świadectwa włosko-polskich relacji kulturowych za panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego (1765-1794), biorąc pod uwagę adaptacje komedii Weneżjanina Carla Goldoniego, cztery libretta oper przełożonych i wystawionych przez Wojciecha Bogusławskiego, obie włoskie powieści opublikowane w tym okresie po polsku (*Pamiętniki filozofa samotnika* Pietra Chiariego i *Sejm walny cyterski* Francesca Algarottiego), polskie edycje prawniczo-filozoficznych tekstów Cesarego Beccarii (*O zbrodniach i karach*), Giacinta Dragonettiego (*O cnotach i nagrodach*) i Gaetana Filangieriego (*Nauka prawodawstwa*) oraz polską wersję opracowania poświęconego życiu Cagliostro. Zostało ono opublikowane w Rzymie w 1791 roku, kiedy kończył się proces przeciwko temu znanemu w całej Europie szarlatanowi toczący się przed Świętym Oficjum (*Życie Józefa Balsamo znanego pod imieniem hrabi Cagliostro...*), i w tym samym roku we Francji, a w Polsce dwa lata później.

Efektom analiz porównawczych włoskich, francuskich i polskich wersji utworów zawierających refleksje nad wymiarem sprawiedliwości i istotą prawa, głośnych w drugiej połowie XVIII wieku i nadal w pewnej mierze aktualnych, jest uwidocznienie roli pośrednictwa francuskiego – większej niż wynikało to z dotychczasowych ustaleń. Francuskie wydanie, a nie włoski oryginał, wykorzystał również największy manipulator spośród przedstawionych w monografii polskich pośredników: tłumacz pierwszej biografii Cagliostro.

Obraz Włoch w polskich tekstach literackich, prasowych i pamiętnikarskich

Jako tło rozważań dotyczących przekładów i adaptacji włoskich dzieł literackich i z pogranicza literatury przyjął obraz Italii i jej mieszkańców, jaki ujawniła analiza tekstów poświeconych Włochom, opublikowanych w polskiej prasie lat 80. XVIII w., przegląd encyklopedycznej, poetyckiej, epistolarnej, powieściowej, dramatycznej i historycznoliterackiej twórczości Ignacego Krasickiego oraz lekturę napisanych po francusku pamiętników ostatniego króla Polski. Odniesienia do Italii w tekstach Krasickiego i Stanisława Augusta ilustrują wchodzenie „włoskości” w XVIII-wiecznej Polsce do sfery obiegowych aluzji i idiomów językowych. Krasicki, książę biskup warmiński, mieszkaniec geograficznego i kulturowego pogranicza polsko-niemieckiego, mający także silne związki z kulturą śródziemnomorską i dobrze znający literaturę włoską, używa negatywnie nacechowanych odniesień do słynnego barokowego romansu *Koloander wierny* (Il *Calloandro fedele* Giovaniego Ambrosia Mariniego), jako element satyrycznego porównania przywołuje dymiącą Etnę, a kiedy ironicznie odwołuje się do stereotypów narodowościowych, pojawia się wyobrażenie Włocha jako oszusta i tchórza. Jak wielu ludzi tamtej epoki, współczesną Italię ceni głównie jako spadkobierczynię starożytnego Rzymu. Wśród włoskich poetów wyróżnia autorów poematów epickich i heroikomicznych, jak Ludovico Ariosto (*Orland szalony*) czy Alessandro Tassoni (*Wiadro porwane*), którymi inspirował się we własnej twórczości (*Monachomachia*, *Myszeida*).

Obaj szlachetnie urodzeni luminarze polskiego oświecenia znali język włoski. Książę poetów w młodości mieszkał półtora roku w Rzymie, natomiast królowi nie było dane zwiedzić Italii, za to otaczał się Włochami (przyjaźnił się m.in. z malarzem Marcellem Bacciarellim), sprowadzał z Włoch dzieła sztuki i wysoko cenił włoską operę. Kreśląc dwa z licznych portretów słownych w swoich pamiętnikach, władca używa wyrażen odsyłających do Arlekina – sztandarowej postaci komedii dell'arte. Świadczy to zarazem o jego kulturowych kompetencjach, jak i o przenikaniu do polszczyzny skojarzenia tego typu komediowego z kwintesencją śmieszności.

Szczególny talent do komedii improwizowanej, a także muzykalność, bujna wyobraźnia i fantazja, to istotne składniki włoskiego geniuszu przywoływane w tekstach prasowych prezentujących Włochów w omawianym okresie. W ich zbiorowych wizerunkach wymienia się wiele sprzecznych cech, np. łagodność i zapalczliwość. Dwa najdłuższe opracowania prezentują radykalnie odmienne postrzeganie Włochów. W roku 1787 w „Pamiętniku Historyczno-Politycznym” ukazał się 11-odcinkowy, comiesięczny cykl poświęcony krajom włoskim, sytuujący się pomiędzy cyklami opisującymi inne państwa. Włosi zostali tam przedstawieni w zdecydowanie negatywnym świetle, jako mało patriotyczni, leniwi, strachliwi, niegościnni, nie-towarzyscy, zdradliwi, nieznający obcych języków i nieoczytani. Mieszkańcy różnych włoskich krain gardzą sobą wzajemnie, ich literatura podupadła, większość nauk się nie rozwija. Z tą negatywną opinią, wyrażoną w pierwszym odcinku cyklu, polemizuje dobrze znający Italię z autopsji Grzegorz Piramowicz. W opublikowanym anonimowo tekście zbija po kolei poszczególne zarzuty i w imię prawdy broni dobrego imienia Włochów, przytaczając liczne przykłady znakomitych uczonych, pisarzy i instytucji. Chwali m.in. Beccarię i Filangieriego. Jak udało się ustalić, opublikowana w „Pamiętniku...” szczegółowa, niezbyt przychylna prezentacja Italii została przez jego redaktora Piotra Świątkowskiego „zapożyczona” u pruskiego historyka Johanna Wilhelma Archenholza. Operacja ta stanowi mniej oczywisty

przykład importu „włoskości” – nie poprzez kulturę francuską, a niemiecką.

Włoskość w przekładzie

Pamiętniki filozofa samotnika Chiariego, jeśli nie trafiły w ręce anonimowego tłumacza przypadkiem, mogły zostać wybrane spośród licznych powieści tego płodnego autora weneckiego ze względu na brak kłopotliwych dla przekładających odniesień do kultury włoskiej. Natomiast analiza obrazu Italii, wyłaniającego się z przekładu powieści Algarottiego, ukazuje drobne pomyłki i opuszczenia dotyczące geografii Półwyspu Apenińskiego oraz utratę licznych w oryginale aluzji literackich. Najwyraźniej tłumaczka *Sejmu walnego cyterckiego* nie rozpoznała wykorzystanych tam cytatów z Dantego, Petrarcki czy Ariosta, czemu trudno się dziwić, skoro nie było jeszcze wówczas polskich wydań ich arcydzieł. Jednak wpiśnany w powieść stereotypowy, miejscami karykaturalny obraz Włochów został niemal w pełni oddany w przekładzie, nawet satyra na ciczbeizm. Chodzi o fakt kulturowy, który fascynował zagranicznych podróżników odwiedzających w XVIII wieku Półwysep Apeniński: instytucja kawalera do towarzystwa (*cicisbeo*) oddanego damie sercem i majątkiem za pozwoleniem jej męża. Wzmianki o tym elemencie włoskości usunięto natomiast z adaptacji komedii Goldoniego, niewątpliwie z uwagi na to, że ówczesny teatr miał bawić uczyć i wychowywać.

Potencjał tkwiący w typie komediowym Arlekina, sztandarowej postaci komedii dell'arte (jednego z dwóch, obok



Książę Stanisław Poniatowski na tle Wezuwiusza (obraz pędzla nieznanego malarza według Angeliki Kauffmann, po 1789 r.)

opery, głównych włoskich „towarów eksportowych” w tamtej epoce), został utrzymany, a nawet wzmocniony w tłumaczeniach tekstów teatralnych pióra Wojciecha Bogusławskiego i Marianny Maliszewskiej, która obok powieści Algarottiego przełożyła także komedię *Miłość żołnierska* Goldoniego, w zasadzie jedyne włoskiego autora komediowego przekładanego w polskim oświeceniu. Aż 24 dramaty Bogusławskiego (głównie opery komiczne, dzięki którym Teatr Narodowy się utrzymywał) mają włoskie pierwowzory. Jako tłumacz Bogusławski rzadko eliminował elementy włoskości, a jako dyrektor teatru, dostawca repertuaru, aktor i śpiewak teatralną kulturę włoską traktował jako wzorzec i konkurentkę, starając się jej dorównać, a nawet ją prześcignąć. Widać to zarówno w pierwszej włoskiej operze wystawionej przez Bogusławskiego w języku polskim (*Dla miłości zmyślane szaleństwo*, 1779), jak i w spolszczonej operze włoskiej po raz pierwszy w całości odśpiewanej (*Axur, król Ormus*, 1793).

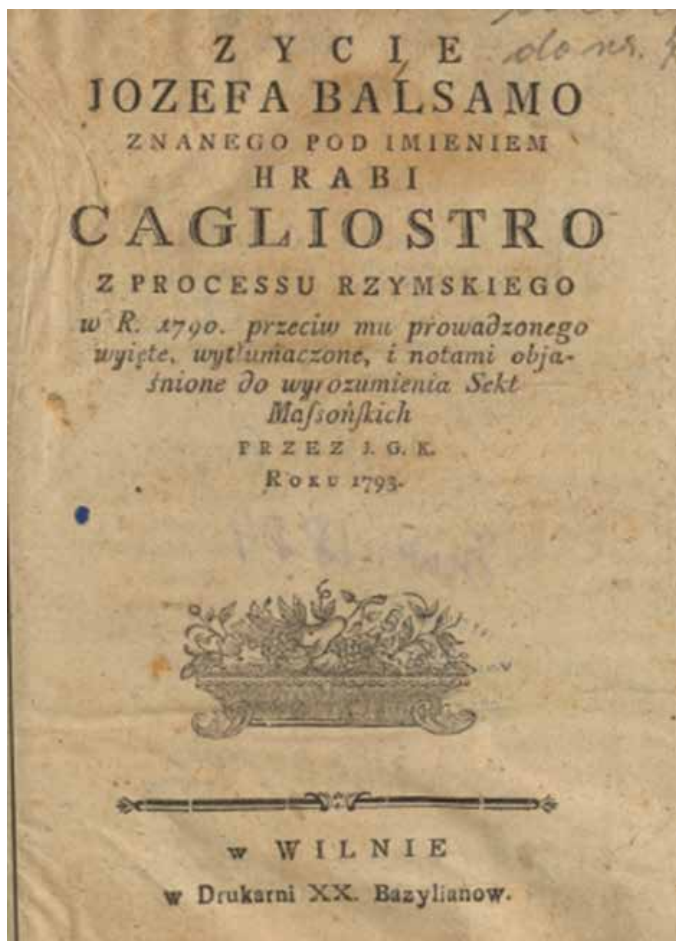
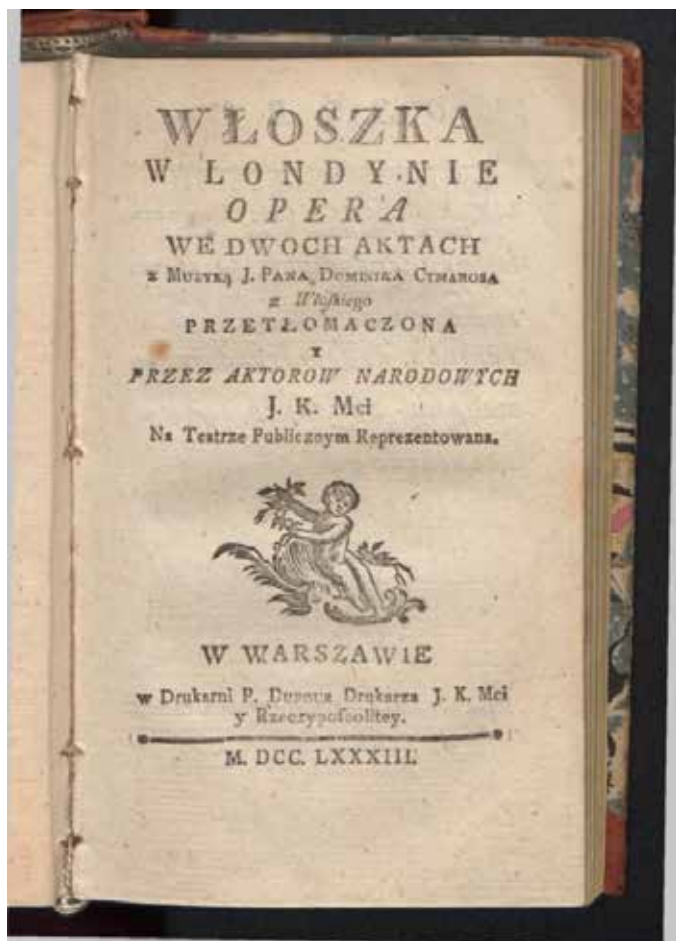
Maliszewska jest jedyną kobietą wśród tłumaczy badanych tekstów oraz autorką jedynej polskiej wersji wśród osiemnastowiecznych przekładów z Goldoniego, w której nie zastosowano dominującego wówczas modelu tzw. unarodowionej adaptacji komedii. Narzucał on przenoszenie akcji do Polski i nadawanie postaciom cech rodzimych. Czasem przeróbka była gruntowna i wzbogacała się w różne typowo polskie wątki, jak sarmatyzm czy moda na cudzoziemszczyznę. Teoretykiem polonizacji komedii był Adam Kazimierz Czartoryski, a stosował ją m.in. utalentowany komediopisarz Franciszek Zabłocki. Tymczasem akcja *Miłości żołnierskiej* (1781) toczy się w Lombardii, jedną z głównych postaci komedii jest porucznik Brawura (żołnierz samochwał bardziej rubaszny niż Don Garzia z oryginału), zaś Arlekin został zastąpiony Trufaldynem, mniej znaną poza Italią postacią rodem z komedii dell'arte.

O Maliszewskiej, domniemanej autorce dwóch przekładów z włoskiego, nic pewnego nie wiadomo oprócz tego, że – jeśli wierzyć jednemu z przypisów do *Sejmu walnego cyterskiego* – odwiedziła Akademię Arkadyjską w Rzymie. W przedmowie do wydania przekładu tłumaczka krytykuje mężczyznę i odwołuje się do kobiecej solidarności. Promuje zarówno autora oryginału, jak i swoją pracę tłumaczeniową, będąc przy tym świadoma jej niedoskonałości. W monografii stawiam hipotezę, że mogła być modelką w kierowanej przez Bacciarellego Malarni, działającej na dworze Stanisława Augusta.

Do Warszawy i Wilna z Wenecji, Mediolanu, Rzymu, Neapolu

Jakimi drogami włoskie utwory docierały do polskich odbiorców? Bogusławski tłumaczył zwykle opery buffo, wcześniej wystawione w Warszawie po włosku, jako że zespoły śpiewaków z Italii występowały w stolicy Polski przez niemal połowę trzydziestolecia stanisławowskiego. Na przykład *Dla miłości zmyślane szaleństwo* z muzyką Antonia Sacchiniego grano w Warszawie w 1774 r. Dla wygody publiczności opublikowano wtedy libretto w dwóch wersjach językowych. Kiedy Bogusławski wystawiał operę po polsku w 1779 roku, przerebił istniejący przekład. W innych przypadkach tłumaczył bezpośrednio z włoskiego.

Pijar Teodor Waga w kilku przypisach do polskiego wydania powstałego w Mediolanie dzieła *O zbrodniach i karach* (1772) z szacunkiem i bardzo precyzyjnie przywołuje jedno z wydań oryginału, cytując kilka wyrażen pominiętych przez André Morelleta, autora pierwszej wersji francuskiej, która była podstawą całego tłumaczenia na polski. Porównując peryteksty (czyli teksty prezentujące i objaśniające tekst główny, takie jak przedmowy i przypisy) włoskich, francuskich i polskich



wydań, ustaliłam, że także wybitne prace przedstawicieli oświecenia neapolitańskiego, tomik Dragonettiiego i wielotomowe dzieło Filangeriego, oraz rzymskie opracowanie potępiające Cagliostro a masonerię, dotarły do polskich czytelników za pośrednictwem francuszczyzny, co w tamtej epoce zdarzało się nierzadko.

Różne oblicza oświecenia

Analizowane w książce polskie wydania włoskich utworów ukazują różne oblicza oświecenia. Idee oświeceniowe wpisane są zarówno w teksty przekładów, jak i towarzyszące im peryteksty. Powieść Chiariego zawiera wierne oddany w przekładzie (nieopatrzonym w przypisy) konglomerat toposów oświeceniowych, takich jak fascynacja Orientem i utopią, mit „dobrego dzikusa”, kult rozumu, wolności i szczęśliwości. Przełożone przez Bogusławskiego libretto opery buffo *Włoszka w Londynie* (zaprezentowanej na warszawskiej scenie po polsku po raz pierwszy w 1782 r.) podobnie jak oryginał głosi wiek tolerancji i godności stanu mieszczańskiego. Dzieła Beccarii i Dragonettiiego również w przekładzie propagują idee humanitaryzmu, broniąc godności ludzkiej, natomiast w przypisach Waga, tłumacz obu tych dzieł, daje wyraz podziwu dla francuskich encyklopedystów. Z kolei w przypisach do tłumaczenia pierwszego tomu opus magnum Filangeriego (1791) jego tłumacz, Wincenty Roch Karczewski, ostrzega przed niektórymi oświeceniowymi ideami i autorami (zgłasza zastrzeżenia do Helwecjusza i Holbacha), jednocześnie promując własne dzieło, publikowane równoległe z przekładem *Nauki prawodawstwa*. Wreszcie, tak w oryginale, jak i w przekładzie, opracowanie potępiające Cagliostro a masonerię mówi o wieku XVIII krytykowanym za odrzucenie religii, podkreślając, że jest to jednocześnie epoka, w której ludzka łatwowierność jest nie mniejsza niż w innych, ale bardziej bulwersująca, bo stoi w opozycji do kultu rozumu. W licznych i obszernych perytekstach polski autor (ksiądz Jerzy Grzegorz Książewicz), który jest pod tym względem rekordzistą wśród wszystkich tłumaczy utworów wziętych pod uwagę w badaniu, intensyfikuje ataki na masonerię, przy okazji krytykując iluminatów czy różokrzyżowców, a dodatkowo stara się wywrzeć pedagogiczny wpływ na swoich czytelników, zniechęcając ich do kabały, alchemii, zabobnów, wróżb, czarów i szarlatanów.

Przekład jako manipulacja

Według teoretyków przekładu, takich jak André Lefevere, każde tłumaczenie jest przekształceniem, reinterpretacją, zawłaszczeniem, manipulacją. Spośród analizowanych tekstów najwięcej cech manipulacji ma przekład Książewicza, który korzysta nie z włoskiego oryginału, a francuskiego wydania, nie ujawniając prawdziwej podstawy przekładu i dokonując szeregu drastycznych ingerencji nie tyle w tekst główny, co w przypisy. Książewicz przełożył dość wiernie część francuskich perytekstów, ale w niektórych przypadkach poważnie

zmodyfikował ich przesłanie. W kilku przypisach polskiego wydania nie tylko zamieścił idee radykalnie odmienne od wyściowych, ale wdał się w polemikę z treścią przypisów wydania francuskiego, czego jednak czytelnik samego wydania polskiego nie może być świadomy. Dodane przez tłumacza przypisy (zawierające także polskie akcenty) nie niwelują różnic kulturowych (czego można by oczekiwać), lecz biorą udział w kształtowaniu wymowy ideologicznej polskiego wydania, które jest znacznie bardziej surowe wobec zwolnomularzy niż wydanie francuskie.

W przekładzie Książewicza, podobnie jak w tłumaczeniach Wagi, widać wyraźnie pedagogiczne powołanie epoki. Jednak przypisy Wagi współgrają z oświeceniowymi projektami, jakimi były przekładane prace (zarówno w wersjach oryginalnych, jak i w wykorzystanych francuskich przekładach), stanowią przedłużenie opracowań

Beccarii i Dragonettiiego (przepuszczonych przez filtr francuszczyzny), mają na celu edukację odbiorcy i ułatwienie mu odbioru prac zgodnie z myślą autorów. Natomiast Książewicz natrętnie wzmacnia wymowę tłumaczonego tekstu, który wykorzystuje jako okazję do ofensywy ideologicznej.

Francuskie wydanie prezentuje przekład w otoczeniu perytekstów napisanych z pozycji masona, polski tłumacz reprezentuje punkt widzenia Kościoła katolickiego, a jednocześnie wykorzystuje pracę przekładową jako pretekst do zaserwowania czytelnikom nauk i przestróg o szerokiej tematyce.

Dodatkowe światło na polską edycję rzuca porównanie o wydanie angielskie. Także w tym przypadku tłumacz posłużył się wydaniem francuskim (wbrew informacji na stronie tytułowej londyńskiej edycji), lecz wykorzystał je inaczej niż polski. Anonimowy translator zwraca uwagę na paradoks: Cagliostro, który do tej pory wymykał się wymiarowi sprawiedliwości, choć reguły życia społecznego przekroczył niemal we wszystkich stolicach europejskich, został skazany na śmierć w Rzymie jedynie za przynależność do zwolnomularstwa. Z tym punktem widzenia wiąże się ostra krytyka papieża Piusa VI i Stolicy Apostolskiej, zupełnie inaczej niż w polskiej edycji. Deklarowanym celem wydania angielskiego jest umożliwienie jego czytelnikom samodzielnego wyrobienia sobie zdania o udostępnionym im tekście. Adresaci polskiego wydania zostali potraktowani zgoła inaczej: otrzymali dużą dawkę kategoriycznych sądów na temat negatywnych bohaterów książki, czyli Cagliostro a masonów, a przy okazji wielu innych kwestii.

Artykuł jest autorską prezentacją wyników badań zawartych w książce *Włosko-polskie pogranicze literackie za panowania Stanisława Augusta*, Kraków 2021, Universitas.

Dr hab. Justyna Łukaszewicz, prof. UW, kierownik Zakładu Italianistyki, Instytut Filologii Romańskiej, Wydział Filologiczny Uniwersytetu Wrocławskiego

Mory, zarazy, epidemie

czyli codzienność naszych przodków

„Lekarze i inne osoby z obowiązku powołania swego zmuszone zbliżyć się do chorych”, unikać mieli szkodliwych wyziewów, ubierać się „w suknie ceratowe i to od stóp aż do głowy”, przestrzegać odstępów: „trzymają się w pewnej odległości od łóżka; od trzydziestu trzech do trzydziestu czterech centymetrów” oraz przeprowadzać dezynfekcję rąk i ciała octem i chlorem.

Uluda bezpiecznego świata i całkowitego prymatu nowoczesnego człowieka XXI wieku nad wszystkim ostatecznie rozwiła się w obliczu pandemii. Wszyscy zmierzylimy się z poczuciem, iż historia zatacza koło. To, co wydawało się odległymi echemi raz na zawsze zamkniętego rozdziału dziejów, zapisanymi na kartach kronik, pamiętników, dzieł literackich czy innych artefaktów kultury z czasów szalejących epidemii, nagle dotknęło każdego z nas.

Przeżywanie ekstremalnych i traumatycznych chwil

W roku 2020 rozpoczęłam badania nad modelami komunikacyjnymi w formie oracji i kazań pogrzebowych, XIX-wiecznych z terenu zaboru pruskiego. Założyłam, że kształtują i inicjują projekcje literackie (dzięki bogatemu aparatowi pojęć, topiki, porównań, motywów) oraz społeczne poczucie doświadczenia, polityczne zaangażowanie, a nawet budują system pamięci działań grupowych. Są swoistą i niepowtarzalną metaforą graniczną nie tylko w zakresie szaty i organizacji językowej; są metaforą graniczną, służącą do aktu wywoływania duchów wspólnot utraconych lub dopiero wyczekiwanych (pojęcie wspólnotowości, przynależności regionalnej, narodowej, tożsamości politycznej, kulturowej, europejskiej, wyznaniowej). Czas „covidowy” wykazał, że warto pochylić się również nad podobną sytuacją wywołującą poczucie lęku o istnienie i przetrwanie wspólnoty (rodzina, grupa społeczna, naród, ludzkość). Po przejrzaniu bogatych złóż bibliotek (w tym zbiorów cyfrowych, co także było niebagatelnym przyczynkiem do docenienia wartości digitalizacji tekstów) pozostało tylko, jak przystało na formułę florilegium – bukietu cytatów – zbierać z nich różnobarwne „kwiatki” opisujące zarazy w XIX wieku.

Graniczność egzystencji od zawsze

W obszernym wstępie wyjaśniam, dlaczego powołałam się na definicję Karla Jaspersa dotyczącą pojęcia sytuacji granicznych. Podstawowe cztery sytuacje graniczne wymienione przez Jaspersa to: przypadek, wina, walka i śmierć. Mogą być one rozszerzone na każdą negatywną sytuację życiową, powodującą

rozdarcie wewnętrzne wywołane głęboko frustrującym poczuciem własnej bezsilności wobec nieuniknionych skutków ograniczonej egzystencji (na przykład zdrowie, siła, wola, bezpieczeństwo i zmierzanie ku definitywnemu końcowi).

Sytuacje graniczne, jakimi są choroby, epidemie, lęk przed cierpieniem fizycznym i psychicznym, zagładą (jednostki, wspólnoty), od starożytności budziły grozę, pobudzały do szukania przyczyn w świecie realnym i pozazmysłowym (np. jako kara czy dopust sił nadprzyrodzonych). Efektem mierzenia się z egzystencjalnymi koniecznościami były rozmaite próby opisu, wytłumaczenia przyczyn, przewidywanie i odkrywanie symptomów, dochodzenie do sensu owych niepożądanych, a jednocześnie nieodwołalnych wydarzeń. Wywoływały ekstremalne reakcje: od całkowitej negacji aż po rezygnację i przyjęcie realiów zmuszające do konsolidacji wszelkich sił i sposobów do walki z zagrożeniami. Sytuacje graniczne w „pamięci świata” były pretekstem do rozkwitu przemysłów natury etycznej, filozoficznej, religijnej oraz inspiracją do szukania skutecznych remediów. Zostały uwiecznione piórem kronikarzy, twórców wszystkich dziedzin sztuki, nauki i wszelakich sposobów ekspresji. Wiek XIX zyskał wiele metaforycznych przydomków: wiek pary, wiek postępu, piękny wiek – to tylko niektóre wskazujące na ogromne nadzieje pokładane w rozkwicie wynalazczości i dominancie rozumności, prymacie nauki. A jednak entuzjastów „szkiełka i oka” nie ominęły wyzwania sytuacji granicznych dawnych wieków i znacznie mniej racjonalistycznych przodków.

Obstrzeżenia, zakazy i nakazy

Przedmiotem publikacji w drugiej części (w formie antologii) są XIX-wieczne druki ulotne, literatura użytkowa, będące świadectwem doświadczenia zaraz, chorób zakaźnych i epidemii oraz zmagania z nimi wraz ze środkami i sposobami prewencji, zaskakująco analogiczne do czasu pandemii koronawirusa, która stała się nowym wyzwaniem człowieka XXI wieku. Autorami testów byli urzędnicy, lekarze, historycy, literaci, publicyści, a nawet kapłani. A oto kilka przykładów zachęcających do zapoznania się z całością.

Większość piśmiennictwa skupiała się głównie na pragmatycznych i doraźnych aspektach dotyczących chorób zakaźnych. Sztuka rozpoznawania oznak nadciągającej śmierci od zarazy, w tym tej najstraszniejszej, „morowej”, szczególnie mogła być przydatna osobom duchownym, odwiedzającym chorych. Władysław Magnuski (1833–1911) był kapłanem i zajmował się pracą translatorską; przełożył dzieło O.J. Debreyne’a *O teologii moralnej. Semjotyka czyli wiadomości praktyczne o chorobach ciężkich i śmiertelnych*. „Semjotykę” wydał własnym sumptem w roku 1872, uważając, iż szczegółowe wytyczne Debreyne’a co do rozpoznawania oznak rychłej śmierci konieczne są w posłudze kapłańskiej. W myśl zasady fides et ratio dzieło nie tylko zalecało udzielanie pomocy duchowej, ale i zawierało wytyczne zachowania bezpieczeństwa. „Lekarze i inne osoby z obowiązku powołania swego zmuszone zbliżyć się do chorych”, unikać mieli szkodliwych wyziewów, ubierać się „w suknie ceratowe i to od stóp aż do głowy”, przestrzegać odstępów: „trzymają się w pewnej odległości od łóżka; od trzydziestu trzech do trzydziestu czterech centymetrów”, oraz przeprowadzać dezynfekcję rąk i ciała octem i chlorem. Ksiądz Magnuski uważał, że najbardziej podatnym na zarażenie czyni strach, a szczególną przyczyną zapadalności są „zatrucia moralne najgorsze [...] ze wszystkich, rujnują one i niszczą wprędce sprężyny duszy”.

Wielu XIX-wiecznych historyków, badając dzieje epidemii i przywołując dawne źródła, musiało mieć prawdopodobnie frustrujące poczucie, że mimo postępu nauk, prymatu racjonalizmu i przewidywalności rzeczywistości zagrożenia i poczucie kruchości istnienia są niezmiennie dla każdej epoki. Dżuma, cholera, czerwonka, ospa, grypa grasowały po świecie podobnie jak w czasach pogardzanych przez postępwców „ciemnych wieków”, a to nie koniec ponurej listy trapiących przodków chorób. Epidemię gorączki szpitalnej – tyfusowej – opisał Franciszek Antoni Ignacy Ludwik Brandt (1777–1837), lekarz, tłumacz medycznych dzieł i autor czterotomowego podręcznika anatomii, zwracając uwagę na ważkość przestrzegania higieny (w tym prewencji obejmującej skupiska wojska i więźniów) i usytuowanie lazaretów w miejscach suchych oraz zalecając budowę wysokich, widnych i przestronnych sal dla chorych. Wyliczał zasady utrzymania czystości obowiązujące personel medyczny i pielęgniarski. Obeznany z osłabioną kondycją psychofizyczną chorych, postulował eliminowanie do koniecznego minimum oprawy liturgicznej pogrzebów: „bez odgłosu dzwonów nader wielu osobom, a w szczególności chorym i położnicom przykrego i szkodzącego, tudzież bez śpiewu

duchowieństwa równie jak dzwony przerażającego”, co przysłużyć miało się komfortowi psychicznemu, by nie szerzyć depresyjnych nastrojów. Zalecał więc szczególną „dyskrecję” przy chowaniu zmarłych, najlepiej o świcie lub późnym wieczorem. Podawał dokładne instrukcje postępowania dla osób przywożących chorych do szpitala oraz odwiedzających osoby złożone niemocą (między innymi nakaz, by nigdy nie przychodzić z wizytą na czczo, zakaz siadania na łóżkach, całowania; natomiast dopuszczalne było w szpitalu palenie papierosów).

Nie zabrakło nawet ostrej walki toczonej na łamach prasy zwolenników szczepień (przeciwko ospie) z zagorzałymi ich przeciwnikami. Akcje szczepienne mogły stać się nawet elementem manipulacji politycznych; i tak w Królestwie Polskim zaborcy po wybuchu powstania styczniowego zarzucili z zemsty na niepokornych Polakach ową praktykę. Starano się rozwiać obawy przed szczepieniami nie tylko nakazami, ale i odwołują-



Albrecht Dürer, *Cztery jeźdźcy Apokalipsy z Apocalypsi cum figuris*, 1497–98

cymi się do rodzicielskiej miłości i troski pouczeniami. Ulotny lwowski druk wydany w języku polskim i niemieckim 17 sierpnia 1804 roku poruszał czułe struny: „Mili Rodzice! Widok dziecięcia waszego, gdy na świat przychodzi, napełnia wam serce wielką radością; stąd to jest waszym najgorętszym życzeniem nie utracić go, lecz na pociechę starości swojej wychować. O gdyby już ową straszną przeżyło ospę!”. Środek „krowinka” (krowianka) przyrównany został do daru miłosierdzia Boga i jako taki nie powinien być odrzucony: „Lecz wdzięczność wasza ku Bogu byłaby bardzo niedoskonała, gdybyście wzdrygali się, używać tego korzystnego środka to jest szczepienia krowinki”. Ci lekkomyślni rodzice, którzy zaniedbali szczepień, w przypadku śmierci potomstwa wskutek ospy odpowiedzą przed boskim Trybunałem: „O! Natenczas byłibyście zaiste, nic innego, tylko zabójcami waszych dzieci i musielibyście Twórcy wszechmocnemu ciężki zdać rachunek za pogardzenie dobrodziejstw jego, które zlał na was w ospie ochraniającej, i któremi dzieci wasze przy życiu utrzymać mogliście”.

Książd Wincenty Pixa/Piksa (1835–1927) w wydanym w 1904 roku w Berlinie osobiwym druku *O krzyżującej niedorzeczności i strasnej szkodliwości szczepienia ospy* przytaczał świadectwa i poglądy z XIX wieku, już we wstępie wyznając, że czyni to w imię Boga i prawdy. Na okładce widniał wiele mówiący o poglądach autora cytat: „Kto walczy przeciwko szczepieniu ospy, ten wyświadcza wielką przysługę ojczyźnie i ludzkości”. Przytaczał liczne wypowiedzi sceptyków o „okrutnym zabobonie”, powoływał się na Ewangelię, opinie papie-

skie i ortodoksję religijną (według niego zwolennikami szczepień byli heretycy – protestanci). Nie omieszkał w swym dziele umieścić zebrane z całej Europy straszliwe dowody szkodliwości szczepień (między innymi wymieniał choroby i powikłania, jakie miały być skutkiem szczepienia: „powinowactwo z weneryzmem i podobnymi chorobami, jakimi są: gruźlica, szkarlatyna, odra (żarnice), żolży, suchoty płuc, cholera i rak”). W broszurze, ilustrowanej odstręczającymi do szczepień rycinami, podawał historyczne sposoby walki z narzuconym nakazem prawnym (między innymi obronę mieszkańców Krakowa) wyszczepiania społeczeństwa, które dosadnie określił, iż „jest ono starożytnym i grzesznym zabobonem, hańbą praktyki lekarskiej, zamachem na wolność osobistą, kolosalnym humbugiem, zbrodnią i cygaństwem największym na świecie”.

Niech żyje nam lekarski stan

Szczególną misję pełniąca dla dobra społeczności oraz postępu nauki, stojącą w opozycji do niewiedzy, ciemnoty i zabobonu, przypisywano lekarzom. Nakaz empirii i ciągłego pogłębiania wiedzy wraz z przestrogami dla „lekarzy niedouczonych” zawarł w swej pracy (*O epidemiach w ogólności, o morowej zarazie o ospie w szczególności*), promowanej przez „Pamiętnik Lekarski” w roku 1847, doktor Karol Ferdynand Dworzaczek. Ostrzegwał przed badaniem chorób epidemicznych bez gruntownego zapoznania się z częścią diagnostyczną, porównując barwnie ową praktykę: „jak do trupa kruki, zlatując się do niego niewykształceni, niemyślący, bez nauki lekarze”. O wyjątkowej misji medyków przekonany był, publikujący również w „Pamiętniku Lekarskim”, Ignacy Lebel – lekarz i publicysta (1792–1861). Uważał, iż już w starożytności narodził się stan lekarski oparty na filarach cnoty i rozumu (nauki). Jednak chęć łatwego zysku i poklasku oraz oczekiwanie ciemnego społeczeństwa zezwoliły na zgubne w skutkach wprowadzanie do zawodu „nieuków” i „najniedołężniejsze głowy”.

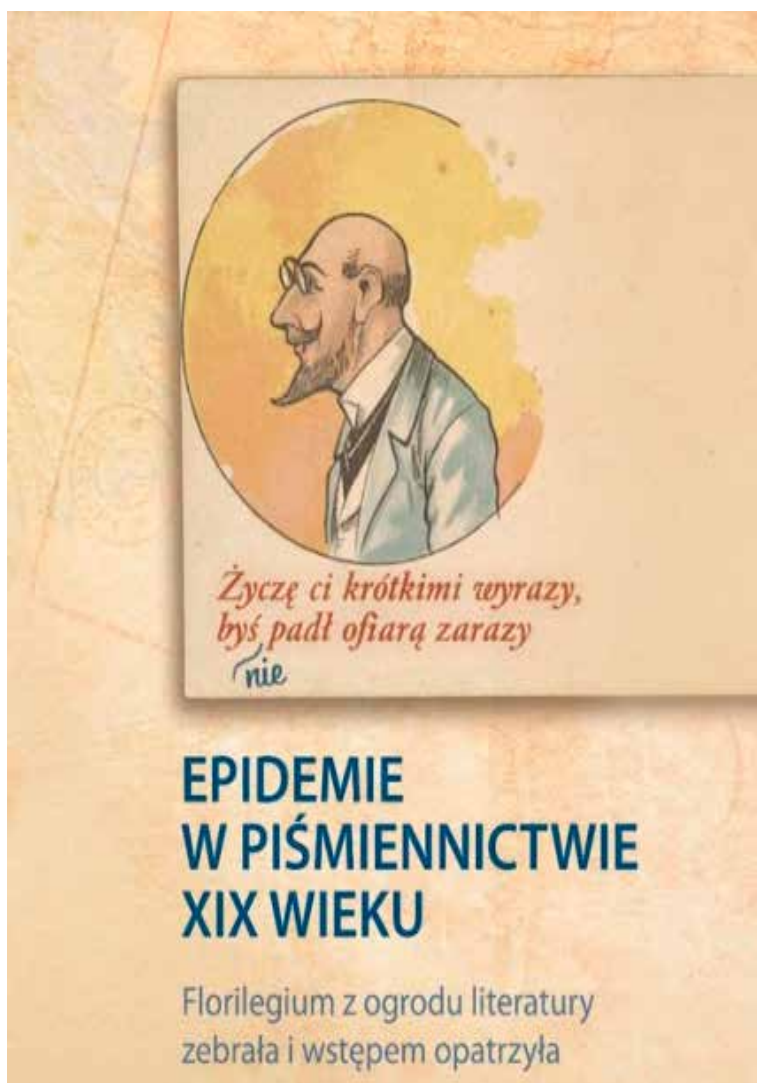
A gdy zawiodą wszelkie sposoby profilaktyki i leczenia...

Wiek XIX i początek XX szczyciły się coraz to lepszymi wynikami badań i coraz lepszą organizacją życia społecznego, także w zakresie profilaktyki zdrowotnej i higieny, a jednak, gdy choroby zakaźne, mimo nowoczesnych metod (szczepienia, leki, kwarantanny itp.), zbierały obfite żniwo, zwracano się o pomoc do niebios, przypominając sobie praktyki dewocyjne przodków. Nabożeństwa, litanie, modlitwy, obrazki z wezwaniami do świętych patronów – opiekunów w czasie zarazy: choćby św. Rocha, św. Rozalii, bł. Bronisławy – cieszyły się wielkim powodzeniem.

Jednym z przejawów ludowej pobożności na czas zarazy była obudowana nabożną legendą praktyka modlitwy pokutniczo-błagalnej związanej z krzyżem zwanym karawaka lub karawika, na którym były w specjalny sposób umieszczone litery. Nazywano go też krzyżem cholerycznym, morowym lub krzyżem św. Benedykta. Używano go od XVI wieku. Na tereny polskie trafił w XVIII wieku, szczególną popularność zyskując w XIX stuleciu. Zachowały się przekazy obrzędowości wiejskich wspólnot, które razem, w obliczu nadciągającego niebezpieczeństwa choroby, przystępowały do postawienia krzyża w ciągu doby na granicy wsi jako zabezpieczenie jej granic.

Wczytując się w owe dawne świadectwa licznych sposobów radzenia sobie z zakaźnymi chorobami, zauważamy naszą przynależność do wspólnoty myśli, zachowań, reakcji i emocji ludzkości bez względu na czas i miejsce w chwilach trudnych.

Dr hab. Ewa Krawiecka, prof. UAM, literaturoznawczyni, bibliстка, Wydział Filologii Polskiej i Klasycznej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu



Rozmowa z dr hab. Ewelina Knapką, prof. Instytutu Nenckiego,
kierownikiem Pracowni Neurobiologii Emocji
w Instytucie Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN

Ja się boję, ty się boisz

Od dawna wiadomo, że ludzie zarażają się strachem od innych. Dobrze to widać w sytuacjach, gdy poszczególne jednostki nie dysponują wystarczającą ilością informacji. Na przykład, kiedy w tłumie ktoś nagle zaczyna krzyczeć i nikt nie może sprawdzić, co naprawdę się dzieje, to wszyscy zaczynają w popłochu uciekać, często trując się nawzajem.

Amerykański neurobiolog Joseph E. Le Doux jest współtwórcą i wokalistą w zespole Amygdaloids. Nazwa kapeli nie jest przypadkowa, pochodzi bowiem od pewnej struktury w mózgu o nazwie amygdala, czyli ciało migdałowe. Trzeba przyznać, że to dość zaskakujący wybór, ale jak rozumiem, spowodowany faktem, iż owa konstrukcja jest czymś wyjątkowo fascynującym.

Ciało migdałowe to struktura w mózgu odpowiedzialna za strach. Nie jest jedyną potrzebną, by odczuwać strach i reagować w sytuacjach zagrożenia, ale z pewnością jedną z najważniejszych. Dzięki badaniom Klüvera i Bucy'ego, którzy usuwali małpom dosyć duże fragmenty kory i znajdującego się pod nią ciała migdałowego, wiemy, jak bardzo ich brak wpływał na zachowanie zwierząt. Naukowcy zauważyli, że stały się one po pierwsze stłumione emocjonalnie, czyli nie reagowały na bodźce normalnie wywołujące emocje, po drugie zaś podejmowały nietypowe działania, próbując np. jeść przedmioty, które są niejadalne, albo kopulować z różnymi dziwnymi obiektami. Kolejne badania wykazały, że już samo usunięcie ciała migdałowego wywołuje podobne efekty. Stąd wiemy, że odgrywa ono istotną rolę w procesie przetwarzania emocji.

Czy tylko negatywnych, jak np. strach?

Nie tylko, chociaż rzeczywiście dużo więcej badań właśnie na nich się koncentrowało. Strachem zajmował się także wspomniany wcześniej Joseph E. Le Doux. Badania polegały na usuwaniu całego ciała migdałowego albo jego fragmentów. Okazało się bowiem, że ciało migdałowe jest dość złożoną strukturą. W jej skład wchodzi szereg jąder, które różnią się nieco pod względem anatomicznym, przy czym dwa z nich, czyli jądro podstawno-boczne i jądro środkowe, są szczególnie istotne w kontekście strachu. Okazało się, że kiedy usunie się jeden z tych elementów, to zwierzęta zaczynają wykazywać poważnie zaburzone nabywanie reakcji strachu. Kolejne bada-

nia były już bardziej precyzyjne, a wraz z rozwojem technologii pojawiły się zupełnie nowe możliwości i można było zbadać ciało migdałowe jeszcze dokładniej, tzn. na poziomie obwodów neuronalnych.

Co to oznaczało w praktyce?

Chodzi o to, że istnieją określone grupy neuronów, które kontrolują pewne aspekty danego zachowania. Dzięki nowoczesnym rozwiązaniom można te grupy włączać i wyłączać, a to oznacza, że możemy tak manipulować skalą strachu w zwierzęcia, żeby doprowadzić do podwyższenia albo obniżenia poziomu tego stanu emocjonalnego.

Czy może to świadczyć o tym, że oto pojawia się nadzieja dla osób, które zmagają się z różnymi formami zaburzeń lękowych? Wiadomo, że dysponujemy w tej chwili różnymi formami terapii, także lekami, ale żadna z tych metod, jak do tej pory, nie zagwarantowała stuprocentowego sukcesu. Czy myśli pani, że w przyszłości będziemy mogli i potrafili regulować skalę lęku także u ludzi, tak by nie paraliżował on ich normalnego funkcjonowania?

Mam nadzieję, że tak. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że dane, którymi dysponujemy, pochodzą przede wszystkim z modeli zwierzęcych, ale wiemy też, że uszkodzenie podobnych struktur u ludzi również powoduje zaburzenia uczenia się strachu i reakcji lękowych. Dzięki badaniom prowadzonym na zwierzętach możemy dużo lepiej kontrolować sytuację i obiekty doświadczalne. Wynika to z faktu, że ich mózg jest prostszy, przez co łatwiej zrozumieć procesy w nim zachodzące. Nawiasem mówiąc, technik manipulacyjnych nie stosuje się u ludzi w celach poznawczych. Wracając do wątku pomagania osobom z zaburzeniami lękowymi, to jest to o tyle trudna sytuacja, że nie chcielibyśmy całkowicie wyłączyć możliwości odczuwania lęku, bo przecież pełni on także funkcje przystosowawcze. Trudno żyć, nie bojąc się niczego.

Wydaje się, że niektórzy przynajmniej próbują.

To prawda. Może nawet są tacy, którym marzy się stworzenie jakiegoś super żołnierza, nieobawiającego się niczego, ale nam jednak chodzi o zupełnie inne efekty.

Czasami można usłyszeć sformułowanie, że czyjeś zachowanie wywołało epidemię strachu. Czy rzeczywiście można od kogoś zarazić się strachem?

Od dawna wiadomo, że ludzie zarażają się strachem od innych. Dobrze to widać w sytuacjach, gdy poszczególne jednostki nie dysponują wystarczającą ilością informacji. Na przykład kiedy w tłumie ktoś nagle zaczyna krzyczeć i nikt nie może sprawdzić, co naprawdę się dzieje, to wszyscy zaczynają w popłochu uciekać, często tratując się nawzajem. Zjawisko to jest dobrze znane i opisane. Nie do końca natomiast wiadomo, jak mózg kontroluje tego rodzaju zachowania, dlatego właśnie zaczęliśmy badać ten fenomen na zwierzętach. Zauważyliśmy bowiem, że szczury również zarażają się strachem. Zainspirowało nas to do przyjrzenia się, w jaki sposób mózg przetwarza emocje odbierane społecznie od drugiego osobnika.

Jak przebiegały te obserwacje?

Na pierwszym szczurze, nazywanym demonstratorem, przeprowadziliśmy warunkowanie strachu, polegające na tym, że zwierzę trafiło do klatki, gdzie przez podłogę przez krótki czas płynął słaby prąd elektryczny. Chcę podkreślić od razu, że nie jest to dla niego bardzo bolesne, może raczej dość nieprzyjemne. Następnie sprawdzaliśmy, co dzieje się z drugim osobnikiem, czyli obserwatorem, który ma z przestraszonym kolegą interakcję, samemu nie będąc poddawany żadnej nieprzyjemnej stymulacji.

I co się okazało?

Okazało się, że obserwator przejmując od demonstratora pobudzenie emocjonalne. Zaczęliśmy więc przyglądać się mózgowi i zobaczyliśmy, że ciało migdałowate bardzo intensywnie reaguje na tego rodzaju kontakt. Potem zaczęliśmy badać dalej i korzystając z technologii dającej możliwość manipulowania poszczególnymi obwodami neuronalnymi zadaliśmy sobie pytanie, na ile ta informacja jest specyficzna. W uproszczeniu chodzi o to, czy obserwator w momencie

wchodzenia w interakcję z demonstratorem jest w stanie uzyskać wiedzę na temat zagrożenia. Zakładaliśmy bowiem, że jej posiadanie ma znaczenie przystosowawcze, czyli jeżeli niebezpieczeństwo jest blisko, to zwierzę wie, że musi się schować albo uciec, jeśli zaś jest bardziej odległe, to wystarczy, że zachowa ostrożność. Jak wynika z naszych obserwacji, w pierwszym przypadku obserwatorzy zamierali. W drugim natomiast szczury rozglądały się, wachały, były pobudzone, ale nie zaprzestawały aktywności. W trakcie prowadzonych badań wykorzystaliśmy pewien konstrukt genetyczny, pozwalający, w tych neuronach, które są aktywowane w danej sytuacji, wyznakować aktywne komórki, by następnie wprowadzić do nich białko, będące kanałem jonowym, którym możemy sterować za pomocą światła.

Ale to jeszcze nie był koniec badań.

Dokładnie. Następnego dnia, po tym, jak szczury weszły w interakcję z partnerem, co doprowadziło do ekspresji wspomnianych białek, postanowiliśmy zobaczyć, co się stanie w momencie, kiedy te aktywne komórki, o których wspominałam wcześniej, włączy się albo wyłączy w nieznanym otoczeniu. Okazało się, że kiedy włożymy zwierzę do nowego środowiska i zaczniemy włączać określone komórki, jego zachowanie zależy od tego, z kim miał wcześniej do czynienia. Jeśli ze szczurem, który się bardzo bał, to po aktywacji komórek zwierzę biegło, aby się schować i siedziało w bezpiecznym schronieniu, dopóki komórki były włączone. Aktywacja komórek zaangażowanych w kontakt z mniej zestresowanym partnerem nie spowodowała natomiast ucieczki, ale skutkowało ostrożnym badaniem środowiska. Jeszcze inaczej rzecz się ma w przypadku zwierząt, którym w ogóle nie pobudzaliśmy komórek związanych ze strachem. Ewidentnie da się zauważyć w ich działaniu swobodę i to, że generalnie są bardziej zrelaksowane.

Interesującą kwestią wydaje się sposób reakcji obserwatora. Czy to, jaka ona będzie, może zależeć od unikatowej konstrukcji psychofizycznej, co mogłoby w konsekwencji znaczyć, że pewne osobniki będą bardziej podatne na zarażanie się strachem, inne zaś mniej?

Próbujemy się temu przyglądać, w sposób szczególny u myszy. Głównie dlatego, że u nich występuje więcej modeli genetycz-



nych, a to oznacza, że możemy zajrzeć głębiej w ich mózg. Interesuje nas kwestia, jak czynniki indywidualne oraz biologiczne zróżnicowanie wpływają na odczytywanie takich bodźców społecznych, jak strach. Wiemy, że myszy, podobnie jak szczury, reagują w sytuacjach zarażenia strachem. Wiemy też, że kiedy jedno zwierzę patrzy na drugie, które ma warunkowanie strachu, to uczy się, że bodziec poprzedzający reakcję oznacza niebezpieczeństwo. Zauważamy natomiast dużą zmienność indywidualną w odpowiedzi na bodziec. Część myszy i szczurów bardzo silnie reaguje, co znaczy, że jest on dla nich bardzo ważny, ale jest też część rezonująca zdecydowanie słabiej.

A co z utrzymywaniem się w czasie owego stanu zarażenia emocjami? Czy można się dopatrzeć w tym obszarze jakichś prawidłowości?

Na pewno jest w tym jakaś zmienność. W laboratorium zwykle stosujemy testy polegające na obserwowaniu zwierząt przez określony, dosyć krótki czas. Zauważyliśmy, że u niektórych zwierząt stres związany z interakcją z przestraszonym partnerem szybko mija, ale są też takie, u których powstałe napięcie utrzymuje się przez większość czasu obserwacji. Myślę, że to, jak długo utrzymuje się pobudzenie, ma, podobnie jak poziom natężenia przejawianych reakcji, określone podłoże biologiczne.

Czy zarażanie się strachem koreluje w jakiś sposób z płcią?

Prowadziliśmy takie badania u szczurów, porównując zachowania samic oraz samców, i muszę przyznać, że wygląda to bardzo interesująco. Oczywiście samo zarażanie strachem zachodzi u obu płci w taki sam sposób, różnice pojawiają się natomiast na poziomie zachowań. U samic uwidacznia się zależność od fazy cyklu. Można zaobserwować, że w okresie, kiedy się nie rozmnażają, ich zachowanie przypomina nieco zachowanie samców. Natomiast w fazie płodnej stają się mniej wrażliwe na różnego rodzaju bodźce zewnętrzne.

Najwzyczajniej w świecie przekierowują swoją uwagę w zupełnie inne rejony?

Dokładnie tak. Generalnie problem polega na tym, że większość badań prowadzi się na samcach, głównie z racji tego, że zachodzi u nich mniejsza zmienność zachowania. Wreszcie naukowcy zaczęli sobie jednak uświadamiać, że stanowi to problem, bo nie uwzględnia połowy populacji. W naszym laboratorium staramy się przyglądać równocześnie samicom i samcom. Opracowaliśmy zautomatyzowaną klatkę umożliwiającą ocenę zachowań społecznych myszy żyjących w grupie. Klatka ta przypomina warunki, w których żyją myszy w ich naturalnym środowisku, czyli system nor połączonych korytarzami. Dzięki niej jesteśmy w stanie badać więcej zwierząt, przez dłuższy czas obserwować całe grupy samców i samic i obserwować sposoby tworzenia przez nie struktury społecznej. Możemy śledzić różne poczynania całej zbiorowości, jak i każdej myszy z osobna, bowiem wszystkie myszy wyposażone są w specjalny czip, pozwalający na identyfikację poszczególnych osobników. Tego rodzaju działania pozwalają nam dostrzec zmienność indywidualną i stąd właśnie wiemy, że niektóre zwierzęta są bardziej społeczne, inne zaś mniej.

Chciałabym teraz dokonać pewnego przeskoku i porozmawiać o teorii mówiącej o dziedziczeniu traumy. Czy badania prowadzone przez panią mogłyby jakoś uzasadnić mechanizm jej powstawania?

W Instytucie Nenckiego funkcjonuje Centrum Badań Plastyczności Neuronalnej i Chorób Mózgu Braincity. Obszarem zainteresowań jednej z jego grup badawczych jest właśnie

tematyka przekazywania traumy międzypokoleniowo. Badane są mechanizmy epigenetyczne, czyli takie zmiany materiału genetycznego, które nie polegają na mutacjach, a więc na zmianach DNA, ale na modyfikacjach części, które stanowią, można powiedzieć, szkielet dla DNA. Wiadomo, że przeżycie traumy przez rodziców powoduje trwałe zmiany epigenetyczne, które można wykryć u potomstwa. Można w związku z tym podejrzewać, że mamy do czynienia z jakąś formą przenoszenia traumy na kolejne pokolenia.

Wróćmy jeszcze do strachu. Jest on emocją, której raczej nie lubimy, bo jest nieprzyjemna. Czy znając jego charakterystykę i towarzyszące mu objawy, pojawiające się w ciele, można spróbować go kontrolować, albo przynajmniej zminimalizować? Byłoby to o tyle istotne, że cała reakcja strachu jest bardzo wyczerpująca dla ludzkiego organizmu.

Do pewnego stopnia strach możemy kontrolować. Większość terapii zajmujących się np. fobiami czy zaburzeniami lękowymi dąży do tego, by pacjent tak nauczył się zarządzać strachem, by wywołana reakcja nie rozwijała się nadmiernie. Problemem nie jest jednak samo występowanie reakcji strachu, pełniącego przecież funkcję przystosowawczą, ale odpowiadanie na bodźce, które wywoływać go nie powinny. Generalnie terapie skupiają się na tym, żeby najpierw zidentyfikować bodźce wywołujące strach. Potem prezentuje się je pacjentowi wielokrotnie, w bezpiecznych warunkach. Chodzi o to, by doprowadzić do przekonania, że nie istnieje powód, żeby trzeba było się bać. W klasycznym ujęciu nazywa się to wygaszaniem strachu. Tego typu rozwiązania są skuteczne w przypadku prostych fobii. Niestety dużo gorzej wygląda sprawa, kiedy mamy do czynienia np. z PTSD, czyli zespołem stresu pourazowego (post-traumatic stress disorder), gdzie różne przykre wspomnienia są ze sobą połączone i trudno zidentyfikować konkretne bodźce wywołujące konkretne objawy. Innym problemem, który wiąże się ze wspomnianymi terapiami, jest to, że nie gwarantują one, iż po pewnym czasie strach nie powróci. Warto w tym momencie uświadomić sobie, że wygaszanie strachu to nic innego niż jego tłumienie. Tworzy się w ten sposób nowy ślad pamięciowy, czyli nowa grupa neuronów w mózgu, które się nauczyły, że nie warto się bać. Uzyskany efekt można opisać jako zahamowanie oryginalnego strachu, ale nie jego wymazanie.

Czy to ma jakiś związek z tym, co nazywa się pamięcią strachu?

Pamięć strachu oznacza, że nauczyliśmy się, że czegoś się należy bać. W obecnej chwili próbuje się opracować terapie pozwalające zaburzyć na poziomie neuronów powstały ślad pamięciowy. Stosowane są różne metody, np. manipuluje się układem noradrenergicznym, który się aktywuje w momencie, kiedy jesteśmy zestresowani. Podając leki, próbuje się ograniczyć jego nadmierną aktywność w odpowiednich momentach terapii. Optymalnym rozwiązaniem natomiast byłoby zidentyfikowanie konkretnego śladu, a potem wyłączenie go i to udaje się nam już zrobić u zwierząt.

Zabrzmiało to naprawdę optymistycznie. Można więc wyobrazić sobie, że w przyszłości dostaniemy do ręki pilota i po prostu wyłączymy coś, co nam przeszkadza.

Nie jest to oczywiście takie proste. Ale jest też dobra wiadomość. Jako że nasz mózg jest plastyczny, powstają w nim nowe synapsy, a my jesteśmy w stanie ciągle uczyć się kolejnych rzeczy, to można mieć nadzieję, że w pewnym momencie będziemy w stanie znaleźć naprawdę skuteczne rozwiązanie pozwalające regulować poziom strachu tak, by był on dla nas akceptowalny.

Rozmawiała Aneta Zawadzka

Autorytet przyniosły mi wyniki studiów

Poglądy ustrojowe uformowałem zgodnie z rodzinną tradycją. W okupacyjnej walce Armii Krajowej tkwiły obie rodziny. Rodzice poznali się w konspiracji. Ojciec, jako oficer wywiadu, znalazł się w okresie Powstania Warszawskiego w niewoli, z fałszywą tożsamością.

Rodzina mojej Matki nie miała przed wojną stałego miejsca zamieszkania. Dziadek, Leopold Badzian, był dyrektorem znanych liceów – kolejno w Zamościu, Zduńskiej Woli i Kaliszu. Na rok przed wojną został wizytatorem kuratorium w Warszawie. Po wojnie władze komunistyczne zezwoliły mu tylko nauczać języka rosyjskiego – był absolwentem Imperatorskiego Uniwersytetu Warszawskiego w zakresie filologii klasycznej. Przetłumaczył pierwszą część *Historii starożytnego Rzymu* Nikolaja Aleksandrowicza Maszkina (1953). Czytałem tomiłdło pod koniec szkoły podstawowej. Z historii Rzymu przypisałem sobie etos ostatniego – po Aecjuszu – Rzymianina oraz zamiar oddziaływania na sprawy publiczne. Przedstawię tę właśnie kwestię w cyklu „Pro publico bono”.

Podziwiałem gabinet domowy Dziadka, taki był, jak się okazało, początek mojej drogi do profesury. Według Dziadka tą drogą miał jednak pójść Janek, mój brat cioteczny – nosił od dziecka okulary i często był zamyślony. Ja biegałem po okolicy, wymyśliłem dla kolegów olimpiady sportowe. Szkoły nie lubiłem, choć dziadkowie i babcie z obu stron byli pedagogami. Podczas nauki religii otrzymywałem nagrody za zainteresowanie historią Kościoła. Jednak nie znalazło aprobaty przeora dominikanów czytanie Biblii, odziedziczonej po Ojcu.

Poglądy ustrojowe uformowałem zgodnie z rodzinną tradycją. W okupacyjnej walce Armii Krajowej tkwiły obie rodziny. Rodzice poznali się w konspiracji. Ojciec, jako oficer wywiadu, znalazł się w okresie Powstania Warszawskiego w niewoli z fałszywą tożsamością. Zamęczony, zmarł w Mauthausen-Gusen w końcu 1944 roku – miałem wtedy pół roku. Ciocia Tala z Badzianów, po mężu Grot-Gisges, została zamęczona na Pawiaku po tym, jak wyrzuciła podczas łapanki na moście Poniatowskiego walizkę z tajnymi dokumentami. Dopiero ćwierć wieku po wojnie wujek Henio ujawnił, że był szefem kontrwywiadu AK (mjr Trojańczyk, o pseudonimie „D-1”). A to on zastępował Ojca w mojej edukacji patriotycznej. Edukacja ta była sumą przeżyć bohaterów „Trylogii” Sienkiewicza i tradycji powstań narodowych. Ustrój komunistyczny programowo zwalczał tradycje niepodległościowe. Zachowałem zeszyty z podstawówki pełne indoktrynacji stalinowskiej. Metodę prze-

trwania wypracowałem z czasem dzięki czytaniu codziennie książkom, zainteresowaniom kolekcjonerskim oraz turystyce górskiej. Narastało samotnictwo i wzorce wzięte z westernów. Mimo to nie rezygnowałem z chęci „zmiany świata”. Zawsze byłem indywidualistą. Nigdy nie pociągało mnie działanie w grupie.

O śmierci i ceremoniach pogrzebowych Stalina, a następnie Bieruta, powiadomił wszystkich obywateli mój ojczym, Tadeusz Bukowski. Jako zasłużony lektor Polskiego Radia miał odpowiednie doświadczenie i tembr głosu. Od niego przejąłem zainteresowania wiedzą słownikowo-encyklopedyczną. W szczególności dotyczyło to repertuaru wyrazów obcego pochodzenia, geopolityki oraz historii współczesnej. Przeglądałem codzienną prasę i tygodniki. Tym samym uformowałem kanon wiedzy pozaszkolnej. Do wszystkiego stosowałem dystans poznawczy, rezygnując stopniowo z koncepcji „własnego świata”.

Tak uformowany, trafiłem do tradycyjnego Liceum Tadeusza Reytana, był to ostatni rocznik bez koedukacji. Powtarzałem pierwszą i drugą klasę licealną. Mogło to być usprawiedliwiane następstwami zdrowotnymi po wypadku (przechodząc koło trybuny przed Pałacem im. Józefa Stalina, zostałem najechany przez motocyklistę). Gdy wróciłem do nauki, podczas lekcji języka rosyjskiego, zauważyłem, że portret Lenina został „ostrzelany” z plujek – rurek długopisowych wypełnianych „pociskami” z papieru toaletowego. Nauczycielka kazała mi zdjąć portret do oczyszczenia. Wspiąłem się, by zdjąć Lenina, brakowało paru centymetrów... i upadłem tracąc przytomność. Obudziłem się z omdlenia wśród szkła z rozbitego portretu. Czy była w tym zdarzeniu jakaś wartość symboliczna? Po powrocie ze szpitala, pamiętam, że pewnego majowego dnia, zamiast do tramwaju, poszedłem na łąki pod wiślaną skarpą. Do chodzenia po łąkach i polach mokotowskich wdrażała mnie od dzieciństwa babcia Jadwiga.

Nasz Kołchoz

Bunt wobec „nauki szkolnej” nie zakończył się, gdy trafiłem do Liceum im. Antoniego Dobiszewskiego. Było ulokowane w pobliżu Belwederu, w rejonie zamieszkanym przez nomen-

klaturę z okresu stalinowskiego, ówczesnie przechodzącą na status dysydentów. W szkole rządili nauczyciele z komunistyczną przeszłością. Polonistka zareagowała wystawieniem „ndst” za wypracowanie o roli teatru. Pisałem, że teatr ukazuje daleką od prawdy rzeczywistość, że widzowie chodzą „do teatru”, a nie na wybraną sztukę, oglądają grę i osobę aktora, a nie bohatera sztuki. Pobyt w teatrze był ceremoniałem. Z kolei praktykant polonistyczny oczekiwał komentarza do wiersza Broniewskiego *Elegia o śmierci Ludwika Waryńskiego*. Gdy w dyskusji odrzuciłem możliwość rozmyślań ideologicznych podczas śmiertelnych cierpień, praktykant złożył donos do dyrektorki szkoły. Wezwana Mama usłyszała, że w życiu niewiele osiągnę i będę musiał zarabiać jako budowlaniec.

Pokolenie resortowych uczniów było nastawione negatywnie do mas partyjnych, znało mechanizmy politycznego awansu, korzystało z pozycji rodziców. W takich realiach otrzymałem polecenie przygotowania szkolnej gazetki. Z pomocą kolegi i materiałów propagandowych od Sławka Petelickiego, syna ochroniarza Edwarda Ochaba, przygotowaliśmy gazetkę „Nasz Kołchoz”. Pod portretami kołchoźników i kołchożniczek nakleiliśmy imiona z „Elementarza”, przewodniczącemu przypadło miano „As”. Do portretów doszły fragmenty stenograficzne cytatów z lekcji niektórych nauczycieli. Najbardziej szokowały wypowiedzi historyczki z awansu, Reginy Cieśli: „rewolucjo musi być naumiana”, „Innocenty III wykoncytował szpas”. Z fizyki dowiadaliśmy się, że „krajankę buraczanom zalewamy wodom”. Do tego, uczennice usłyszały: „mniej wymyślności we fryzurze, a więcej w nauce”. Po wywieszeniu gazetki zbiegła się „cała szkoła”, wszyscy ryczeli ze śmiechu. Zdjęto gazetkę po godzinie. Finałem była uchwała Rady Pedagogicznej: trzech uczniów otrzymało z zachowania oceny dostateczne. Wniosek organizacji partyjnej wobec mnie był surowszy. Oczekiwano niedopuszczenia do matury, ale ostatecznie nie wystawiono do protokołów „ndst”. Byłby to ewenement jak na rok 1964.

Na Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego zdałem z najlepszą oceną spośród około trzystu przyjętych. Gdy zacząłem studia, po egzaminach na pierwszym roku, uznano mnie za jednego z najlepszych studentów na Wydziale Prawa UW. Dostałem stypendium naukowe u prof. Bogusława Leśnodorskiego. Wobec tego prosta wydawała się droga do asystentury. Zwłaszcza, że Profesor mawiał, że odnalazł we mnie prawdziwego ucznia. Los to potwierdził: urodziliśmy się 27 maja (1914, 1944). Jeszcze na pierwszym roku poprosił trzy wybrane osoby, żeby wygłosiły krótkie, dziesięciminutowe wykłady akademickie na temat przyczyn upadku Rzeczypospolitej Szlacheckiej. Gdy minął mój czas i chciałem kończyć, zachęcił mnie, bym mówił dalej, do końca wykładu. To był wykład wobec około trzystu osób w Audytorium Maximum. Byłem przygotowany do tego wykładu. Po tej próbie Profesor uznał, że mam duże zdolności syntetyczne, czyli nie tylko ‘dłubię’, tworząc przyczynki historyczne, ale potrafię szerzej coś pokazać. Była to orientacja socjologiczna, którą preferował we własnych publikacjach z historii ustroju.

Poza Harendą

Od początku studiów widziałem swoją przyszłość na uczelni, a stypendium naukowe mi to nawet gwarantowało. Byłem wiceprzewodniczącym Koła Naukowego Prawników. Chciano mnie wciągnąć do Zrzeszenia Studentów Polskich, gdyż koła naukowe były pod opieką ZSP. Spędzałem czas w bibliotekach i w domu. Gromadziłem już wtedy księgozbiór. Tak jak w szkole średniej, zatapiałem się w książkach, wtedy głównie beletrystyce, na studiach czytałem książki różne, głównie naukowe, w tym socjologiczne. Koledzy dziwili się, że nie bywam w kawiarniach

i nie uczestniczę w ich wypadach turystycznych. Takim miejscem spotkań była wtedy Harenda, duża kawiarnia naprzeciw Pałacu Staszica. Uważano mnie za kogoś innego, ‘nienormalnego’, bo nie bywałem tam, gdzie chadzali wszyscy. Autorytet przyniosły mi wyniki studiów, ale i wypowiedzi na forum Koła Naukowego Prawników. Partyjnego opiekuna Koła, dr. Andrzeja Murzynowskiego, pytałem, jak członek PZPR radzi sobie z „bagażem” stalinizmu. Dr Janina Zakrzewska, liderka dysydentów, nie umiała (czy nie chciała) wyjaśnić, dlaczego „wybory” nie zawierają choćby alternatywy, by swą nazwę uzasadnić. W prawniczych konkursach krasomówczych wypadałem najlepiej w drugim etapie, polegającym na improwizacji. Konferencje ogólnopolskie kół studenckich były okazją do wyróżnień, najdziwniejszą była nagroda Komendanta Wojewódzkiego MO w Łodzi „za podjęcie najtrudniejszego tematu” – mówiłem o strukturalizmie w naukach społecznych. Jako nagrodę dostałem dwa ogromne albumy przedstawiające sukcesy Polski Ludowej. W druku pojawił się mój pierwszy artykuł. Podjąłem dodatkowe studia w Instytucie Historycznym UW. Stypendium naukowe pozwalało mi pokrywać samodzielnie podstawowe wydatki, dorabiałem też korepetycjami, przygotowując maturzystów do egzaminów na Wydział Prawa.

Układ materiałów przygotowanych do Encyklopedii Polskiej Nauki Akademickiej, które publikowaliśmy od lat w cyklu „Kartki z dziejów nauki w Polsce”, się wyczerpał. Encyklopedia ukaże się w tym roku w Wydawnictwie UMK. Ma liczyć 201 artykułów-haseł, łącznie około dwa tysiące stron. „Pro publico bono”, wspomnienia prof. Piotra Hübnera, których publikację rozpoczynamy, układają się chronologicznie i obejmują jego działalność publiczną w nauce. Mieszczą się one w formule „historii pamięci”, czyli poruszają istotne problemy z bliskiej przeszłości nauki polskiej, przedstawiane poprzez osobistą relację. Dotyczą znanych wydarzeń, ale zarazem nieznanego kontekstów.



Galeria Sztuki Socrealistycznej, Muzeum im. Zamojskich w Kozłowce

Józef Kostrzewski i Prasłowianie

W grudniu 1949 roku odebrano Kostrzewskiemu prawo do kierowania Muzeum Prehistorycznym. Zaczęto ograniczać mu też możliwości wyjazdów za granicę. W 1950 r. przeniesiono go na emeryturę, co najprawdopodobniej było spowodowane donosami studentów. Mimo usunięcia z uczelni, nadal prowadził wykłady zleczone, jednak odebrano mu możliwość kierowania pracami w Biskupinie.

Kostrzewski uważany jest za zwolennika koncepcji autochtonicznej, która mówi o tym, że kultura słowiańska na ziemiach etnicznie polskich zachowała ciągłość od prehistorii. Archeolog utożsamiał Prasłowian z twórcami kultury łużyckiej. Głosił taką tezę w opozycji do badaczy niemieckich, którzy uważali, że tereny etnicznie polskie zajmowali przed naszą erą Indogermanie. Prasłowianie nie przywędrowali na nasze ziemie ze wschodu, ale byli tu już dużo wcześniej i tworzyli zaawansowaną cywilizację. Pogląd Kostrzewskiego – jako pierwszego badacza Biskupina – można odnaleźć do tej pory w podręcznikach do historii. Choć tak naprawdę nie wiemy, kim byli mieszkańcy ziem polskich w VII i VI w. p.n.e. (brak dowodów genetycznych), taka koncepcja mogła się podobać władzom, bo cementowała mit silnej i spójnej etnicznie Polski. Obecnie większość archeologów skłania się ku koncepcji Kazimierza Godłowskiego, według której Słowianie przybyli na teren dzisiejszej Polski dopiero w V wieku naszej ery.

Niepokorny uczeń i student

Józef Kostrzewski urodził się 25 lutego 1885 roku w Węglewie, w ówczesnym powiecie gnieźnieńskim. Jego ojciec był pochodzenia chłopskiego. Matka Elżbieta była córką powstańca listopadowego, który po jego klęsce zmienił nazwisko na Brońkański (wcześniej Cichocki). Rodzice prowadzili gospodarstwo rolne. Młody Józef od 1894 roku uczył się w niemieckim gimnazjum w Ostrowie Wielkopolskim. Tam zainteresował się życiem politycznym i to zainteresowanie nie opuściło go już przez całe życie. Ponieważ nie dostał promocji do kolejnej klasy, w 1897 roku przeniósł się do gimnazjum w Gnieźnie. Od 1905 roku publikował w prasie (anonimowo lub pod nazwiskiem). Teksty miały charakter patriotyczny. Rok później wstąpił do Stowarzyszenia Religijno-Patriotycznego „Eleusis” i zaangażował się w promowanie abstynencji (ten motyw będzie w jego biografii powracał). Za przynależność do tajnej organizacji i pisanie tekstów patriotycznych został usunięty ze szkoły. Maturę zdał w 1907 roku w Königliches Auguste Victoria Gymnasium w Poznaniu. Miesiąc później zmarł jego ojciec. Bez wąpienia

był to trudny okres dla młodego mężczyzny, ale Kostrzewski nie poddawał się łatwo.

Studia rozpoczął na Królewskim Pruskim Uniwersytecie we Wrocławiu. Początkowo na kierunku medycznym. Jako abstynent chciał zwalczać alkoholizm i inne choroby o podłożu społecznym. W 1909 roku został aresztowany w Warszawie za udział w ogólnopolskim zjeździe filomackim. Spędził w więzieniu kilka tygodni, co spowodowało, że nie zaliczył drugiego roku studiów medycznych. W tym samym czasie umarła matka – Elżbieta z Brońkańskich. Kostrzewski postanowił przenieść się do Krakowa. W latach 1909-1910 studiował tam m.in. filozofię, prehistorię, etnografię, historię sztuki i lingwistykę. Od 1910 roku był sekretarzem stowarzyszenia abstynenckiego „Wyzwolenie”. Redagował też czasopismo pod tym samym tytułem. Dalsze studia kontynuował w Berlinie na kierunku archeologii prehistorycznej.

W trakcie okresu berlińskiego podjął pracę asystenta w Królewskim Muzeum Etnograficznym. Potem, za namową Tadeusza Zgierskiego-Strumiły (swojego mentora, pedagoga, filozofa i twórcy harcerstwa), wyjechał, by podejmować własne prace badawcze w British Museum w Londynie. Do Berlina wrócił latem 1911 roku. W październiku wziął ślub z Jadwigą Wróblewską, pochodzącą z Poznania. W tym samym roku pracował przy pierwszych wykopaliskach nieopodal Berlina. Jako asystent prof. Gustawa Kossiny został zatrudniony w Muzeum Marchijskim (Märkisches Museum) w Berlinie. Rok później zorganizował własne wykopaliska w gminie Jarocin i opublikował pierwszą książkę *Wielkopolska w czasach prehistorycznych* (1914).

Początki kariery

W 1914 roku został asystentem w Muzeum im. Mielżyńskich w Poznaniu. Instytucja ta powstała w 1857 roku i była związana z Poznańskim Towarzystwem Przyjaciół Nauk. Dużą część zbiorów to obiekty rzemiosła artystycznego, mające charakter pamiątek historycznych lub patriotycznych. W lipcu 1914 r. obronił pracę doktorską pt. *Die ostgermanische Kultur*



Józef Kostrzewski

Źródło: Encyklopedia PWN

der Spätlaténezeit. Prof. Kossina ocenił ją celująco. W trakcie I wojny światowej Kostrzewski pracował naukowo i porządkował zbiory muzealne, udzielał wykładów podczas poznańskich kursów naukowych (te staną się zaczątkiem uniwersytetu). Tuż przed wojną urodził mu się pierwszy syn – Zbigniew. W okresie wojennym został ojcem dwóch kolejnych synów: Bogdana i Przemysława. Zimą 1918 roku archeolog uzyskał habilitację na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Wykład habilitacyjny dotyczył pradziejów Wielkopolski (informacja o zatwierdzeniu habilitacji i propozycja objęcia katedry na UJK przyjdą do Kostrzewskiego rok później, przez co odmówi jej przyjęcia).

Rok 1918 to czas bardzo pracowity i radosny – organizowanie polskiej administracji na ziemiach odzyskanych. Józef Kostrzewski był w pełni zaangażowany w liczne prace: odzyskiwanie zbiorów kultury polskiej, tworzenie Wszechnicy Piastowskiej (uniwersytetu), policji obywatelskiej czy zakładanie kilku organizacji stowarzyszeniowych. W styczniu utworzono Katedrę Prehistorii Uniwersytetu Poznańskiego, której – z przerwami – Kostrzewski będzie kierownikiem przez kolejne 40 lat. W tym samym czasie Kostrzewski pracował nad mapami narodowościowymi Wielkopolski, które zostały wykorzystane na konferencji pokojowej w Wersalu. W 1919 roku prowadził wykopaliska w Tucznie (osada neolityczna). W 1920 roku przyczynił się do otwarcia Muzeum Wielkopolskiego w Poznaniu.

Zainicjował też utworzenie Polskiego Towarzystwa Prehistorycznego. W trakcie akcji plebiscytowej na Śląsku wygłaszał wykłady o jego polskości.

W 1923 roku doprowadził do połączenia prehistorycznych zbiorów poznańskich muzeów w jeden zbiór – Dział Prehistoryczny Muzeum Wielkopolskiego, co od dawna forsował, a czemu opierali się różni mecenas. Rok później zostaje szefem tego działu. W tym samym roku rodzi się jego córka Maria. Cały czas kontynuuje intensywne badania terenowe. W 1926 roku zakłada periodyk „Z Otchłani Wieków”, który ma służyć popularyzowaniu najnowszych odkryć archeologicznych. Kostrzewski wspiera działalność ruchów studenckich, zwłaszcza tych patriotycznych.

Niezwykłe znalezisko w Biskupinie

11 października 1933 roku Walenty Szwajcer, nauczyciel z lokalnej szkoły w Biskupinie, informuje prof. Kostrzewskiego, że obniżony stan wód gruntowych Jeziora Biskupińskiego i rzeki Gąsawki odsłonił szereg pali wbitych w ziemię, które na oko stanowią zabytek archeologiczny. Uczony jedzie tam od razu i po wizji lokalnej stwierdza, że jest to osada nawodna z wczesnej epoki żelaznej, czyli mniej więcej z V wieku przed narodzeniem Chrystusa. Pierwszy tekst o odkryciu pojawia się w „Kurierze Poznańskim” zaledwie miesiąc po doniesieniach Szwajcera.

Pierwszy poważny sezon wykopaliskowy w Biskupinie odbył się w 1934 roku. Wzięli w nim udział studenci z Prehistorycznego Koła Naukowego, asystenci katedry i liczna grupa robotników. Pracami, obok prof. Kostrzewskiego, kierował mgr Zdzisław Rajewski. Za pierwszym razem zbadano ok. 500 m² półwy-

spu. Dzięki temu odkryciu studenci mieli możliwość doskonalenia umiejętności badawczych w praktyce. Część zajęć uniwersyteckich została przeniesiona na czas wykopalisk do Biskupina. W kolejnym roku wykopaliska były kontynuowane w jeszcze większym składzie. Przebadane zostaje 2500 m². Kostrzewski popularyzuje wiedzę o tym miejscu poprzez liczne referaty na konferencjach. Wykopaliska są kontynuowane też w kolejnych latach do wybuchu II wojny światowej.

Biskupin okazuje się jednym z ważniejszych odkryć archeologicznych w XX wieku. Jest to osada obronna z przełomu epoki brązu i żelaza. Fakt, że przez wieki pozostawała pod wodą, umożliwił jej dobre zachowanie. Biskupin, jak inne grody drewniane, nie został zniszczony przez pożar, ale z pewnością opuszczony przez swoich mieszkańców. Najbardziej prawdopodobną przyczyną był splot trzech czynników: ochłodzenia klimatu (Biskupin zalewała woda), wyeksploatowania okolicznych ziem przez mieszkańców grodu lub przepędzenie ich przez wrogie plemiona. W trakcie badań nad Biskupinem stosowano wiele interdyscyplinarnych rozwiązań. W ekspedycji brali udział także palinolodzy (specjaliści od pyłków roślin), dendrolodzy (specjaliści od drewna), paleozoologzy (na podstawie szczątków zwierzęcych określali, co jedli mieszkańcy Biskupina), etnografowie i architekci. Stanowisko było dokumentowane nawet poprzez zdjęcia lotnicze i badane przez nurków.

Zdaniem bohatera tego tekstu Biskupin zamieszkiwali Prasłowianie. Ich kulturę trudno badać, ponieważ stosowali oni kremację w jamach jako formę pochówku. Po drugie, do budowy grodów używali najczęściej drewna, któremu trudno było przetrwać do współczesności. Po nich zostało więc niewiele. Nie ma zapisów świadczącym o odrębnym piśmie lub języku (choć pewnie istniał takowy). Sądząc po wyglądzie cmentarzy (podobne pochówki), struktura społeczeństwa była egalitarna. Nie widać też wielu śladów kultu religijnego, poza nielicznymi wizerunkami słońca na szczątkach naczyń. Podstawową formą organizacji społeczności była rodzina, a potem ród. Z kilkunastu rodów składało się najprawdopodobniej plemię. Domy, które budowali przedstawiciele tej kultury, były jednakowe, co także przemawia za brakiem jakiejś skomplikowanej hierarchii. Ludy opisywane przez Kostrzewskiego wybierały trudno dostępne miejsca do budowy grodów. Ciepłe miesiące jednak najprawdopodobniej spędzano poza nimi, zajmując się zbieractwem, hodowlą zwierząt, polowaniem czy uprawami.

Dalsza działalność prof. Kostrzewskiego

Kostrzewski był nieodmiennie bojownikiem o polskość. W 1935 roku udzielił poparcia dla utworzenia uniwersytetu w Toruniu. Zwracał uwagę na potrzebę polskiego ośrodka akademickiego na Pomorzu. Jeszcze w 1935 roku doszło do pierwszej ingerencji dyplomacji niemieckiej w sprawie uczonego. Niemcy uważali, że polemiki uczonego z archeologami niemieckimi (zwłaszcza z Bolko von Richthofenem) na temat pochodzenia ludności polskiej zakłócają dobre kontakty między krajami.

Profesor nie zamierzał niczego odwoływać. Przed wyjazdem Kostrzewskiego na konferencję w Oslo w 1936 roku Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w oficjalnym piśmie sugerowało, żeby nie poruszał żadnych wątków kontrowersyjnych dla delegatów niemieckich. W swoich tekstach publicystycznych zwracał uwagę na niebezpieczną retorykę władz Rzeszy. W tym samym czasie kontynuował wykopaliska w Biskupinie, Gnieźnie i na Ostrowie Tumskim.

Choć przeczuwany, wybuch II wojny światowej wywraca do góry nogami życie prof. Kostrzewskiego i jego rodziny. Podczas kampanii wrześniowej tułają się po Polsce i ostatecznie wracają do Poznania. Tam profesor dowiaduje się, że jest poszukiwany przez Gestapo i zaczyna się ukrywać. W październiku hitlerowcy konfiskują bibliotekę archeologa, co nazywają „zabezpieczeniem wartości naukowych i artystycznych”. Większą część wojny uczonego spędził w majątku Klemensówka dr. Alfreda Wielopolskiego, gdzie pracował jako nauczyciel domowy i pisał książki (w tym czasie powstały: *Kultura prapolska*, *Wielkopolska w pradziejach*, *Pradzieje Polski*). Przetrwał m.in. dzięki Kasie im. Mianowskiego, która go wspierała finansowo. Do Poznania wrócił w marcu 1945 roku. Z jego rodziny nie przetrwał wojny najmłodszy syn Przemysław, który zginął w Auschwitzu.

Podobnie jak po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, także po 1945 r. profesor rzucił się w wir wykładów popularyzatorskich. Otworzył na nowo Muzeum Wielkopolskie, które zmieniło nazwę na Muzeum Prehistoryczne. Wznowił wykłady i seminaria na Uniwersytecie Poznańskim. Swoją dom oddał na potrzeby ofiar wojennych. Ukazują się kolejno książki, które napisał podczas okupacji. Dostaje liczne nagrody za swoją dzia-



Biskupin. Odkopywanie domów i wału obronnego 1934–1939

Źródło: polona.pl

łańność (m.in. nagroda naukowa PAN, nagroda naukowa miasta Poznania, doktorat honoris causa UJ). W 1946 roku wrócił też do Biskupina, by kontynuować wykopaliska. Jeden z synów profesora, Bogdan, poszedł w ślady ojca i uzyskał doktorat z archeologii.

Powojenne losy archeologa

Dobra passa jednak szybko się skończyła, wraz ze zmianą kursu władz komunistycznych, które zamierzały poddać pełnej kontroli ideologicznej wszelkie obszary życia Polaków. W grudniu 1949 roku odebrano Kostrzewskiemu prawo do kierowania Muzeum Prehistorycznym. Zaczęto ograniczać mu też możliwości wyjazdów za granicę. W 1950 r. przeniesiono go na emeryturę, co najprawdopodobniej było spowodowane donosami studentów. Mimo usunięcia z uczelni, nadal prowadził wykłady zlecone, jednak odebrano mu możliwość kierowania pracami w Biskupinie. Polskie Towarzystwo Prehistoryczne zostało połączone z innymi organizacjami zrzeszającymi archeologów i numizmatyków (1953), a Kostrzewskiemu przyznano jedynie członkostwo honorowe. Rok później przypadło 40-lecie pracy naukowej, co łączyło się ze smutnym wydarzeniem. W wieku 68 lat umiera żona Kostrzewskiego Jadwiga. Rok później umiera jego najstarszy syn Zbigniew. Zabiera go gruźlica. Profesor nie załamuje się i kontynuuje badania nad kulturą łużycką na Pomorzu. Jest inwigilowany przez Służbę Bezpieczeństwa ze względu na swoją przynależność do Klubu Inteligencji Katolickiej i Filareckiego Związku Elsów.

Sytuacja poprawiła się nieco podczas „odwilży” w 1956 roku. Kostrzewskiego przywrócono wtedy na stanowisko profesora

UP, gdzie pracował do swojej ponownej emerytury w 1960 r. Przywrócono mu też czynne członkostwo w Prehistorycznym Towarzystwie Naukowym. W 1957 roku został członkiem rzeczywistym Polskiej Akademii Nauk. W czerwcu 1958 roku przechodzi zawał, który jednak lekceważy („nie był to zawał, a kawał”). Nadal działa w organizacjach patriotycznych. W 1959 roku bierze udział w tajnym spotkaniu członków KIK-u i Organizacji Młodzieżowej „Odrodzenie”. Celem jest „zwalczanie ideologii komunistyczno-socjalistycznej jako obcej dla narodu polskiego”.

W kolejnych latach stan zdrowia prof. Kostrzewskiego pogarsza się, ale on nadal kontynuuje działalność naukową. Nawet po udarze mózgu (1968) stara się prowadzić badania, choć już głównie gabinetowe. Na 50-lecie pracy katedry, którą stworzył, przygotował jeszcze referat *50 lat archeologii prehistorycznej w Polsce*. 19 października Józef Kostrzewski zmarł w swoim domu w Strzeszynie w wieku 85 lat. W 1970 roku ukazała się nakładem Ossolineum publikacja pt. *Z mego życia. Pamiętnik*, stąd znamy tak dobrze przebieg życia tej wybitnej postaci.

Mimo że w okresie stalinizmu Kostrzewski stracił przychylnność władz (jak wielu przedwojennych profesorów), to jego koncepcja Prasłowian była nadal nośna. Władzom komunistycznym podobała się idea polskości wywodzącej się z plemion Prasłowian, które dzieliły kulturę i najprawdopodobniej język z ludami zamieszkującymi nowożytną republikę ludową. Także ich egalitarność i brak wielu oznak religijności odpowiadały ideologom komunistycznym. Jak sądzę, pozwalały łączyć koncepcje Prasłowian z ponadpaństwową społecznością komunistów.

Książki nadesłane

Andrzej KOBAK, *Karol Potkański w życiu i nauce (1861-1907). Między tradycją a modernizacją*, Wyd. UŁ, Łódź 2021.

Leszek PIETRZAK, *Pierwszy demokrat Rzeczypospolitej*, Instytut De Republica, Warszawa 2021.

Danuta CIESIELSKA, Lech MALIGRANDA, Joanna ZWIERZYŃSKA, *W świątyni nauki, mekce matematyków. Studia i badania naukowe polskich matematyków, fizyków i astronomów na Uniwersytecie w Getyndze 1884-1933*, PWN, Warszawa 2021.

Patrycja RUDNICKA, *Gotowość wobec technologii. Konteksty, definicja i pomiar*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Magdalena RODE, *Poznawcze i temperamentalne wyznaczniki kryminogenezy nieletnich*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Dagmara DOBOSZ, *Kobiecość i męskość w popkulturze z perspektywy młodych dorosłych. Studium jakościowe*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Patrycja MŁYNEK, *Współpraca środowisk: szkolnego i rodzinnego z perspektywy rodziców i nauczycieli*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Tomasz BUGAJ, *Pamięć represji. Świadkowie Jehowy w Związku Radzieckim*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Tadeusz SŁAWEK, *A jeśli nie trzeba się uczyć...*, Wyd. UŚ, Katowice 2021, seria: Nowa Edukacja.

Elżbieta GÓRNIKOWSKA-ZWOLAK, *Polityka - edukacja - pieć kulturowa. Z perspektywy antropologii społecznej*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Joanna ALEKSANDROWICZ, *Obrazy Andaluzji w kinie hiszpańskim (1910-2021)*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Zenon MOJŻYSZ, *Kultura muzyczna ewangelików na Śląsku Cieszyńskim w pierwszej połowie XVIII wieku. T.1: Rys historyczny z wybranymi materiałami źródłowymi*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Joanna M. SOSNOWSKA, *Malarz. Józef Chełmoński*, Instytut Sztuki PAN, Warszawa 2021.

Piotr GRACZYK, *Warstwy ochronne. Zbiór szkiców o literaturze i polityce*, Wyd. UJ, Kraków 2021.

Maciej TRAMER, *„Wszystko zmienne”. Pięć szkiców o Władysławie Broniewskim*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Beata GLINKA, Wojciech CZAKON, *Podstawy badań jakościowych*, Polskie Wydawnictwo Ekonomiczne, Warszawa 2021.

Joanna SZEN-ZIEMIAŃSKA, Weronika TRZMIELEWSKA, *U progu akademii. Wyzwania na drodze do doktoratu i kariery naukowej w naukach społecznych (i nie tylko)*, Wydawnictwo Difin, Warszawa 2022.

Weronika DRAGAN, *Kształtowanie układów urbanistycznych i przestrzennych dawnych granicznych ośrodków kolejowych Polski*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Piotr BORON, *Ludzie i pismo. Gliwicy pisarze miejsy do 1744 roku*, Wyd. UŚ, Katowice 2022.

Dawid MADZIAR, *Książę Antoni Paweł Sułkowski (1785-1836) - działalność wojskowa i polityczna*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Dominika RYCHEL-MANTUR, *Polityk dwóch epok. Działalność publiczna Tadeusza Matuszewicza (1765-1819)*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Magdalena HYLA, *Fotografia osobowości. Wizerunek osób o cechach ciemnej triady osobowości*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Tadeusz SŁAWEK, *Furia i szlachetniejszy rozum. Próby o „Burzy” Williama Szekspira*, Wyd. UŚ, Katowice 2022.

Barbara ORZEL, *Kulturowe i społeczne konteksty pandemii COVID-19*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Anna Małgorzata KAMIŃSKA, Łukasz OPALIŃSKI, *Cykle życia publikacji naukowych warunkowane praktyką cytowania piśmiennictwa*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

0 tablicach pamięci

Uniwersytet w Getyndze, mekka matematyków

Przyjeżdżających do Getyngi koleją wita napis „Göttingen. Stadt, die Wissen schafft”. W tym mieście najważniejsza jest nauka i jej luminarze. Tradycja nakazuje umieszczenie tablicy pamiątkowej na budynku, z którym uczony był związany.

Koncepcja uhonorowania wybitnego człowieka za pomocą tablicy przytwierdzonej na budynku, w którym urodził się lub mieszkał, jest dobrze znana również w Polsce. U nas na takich tablicach znajdują się zwykle nazwiska polityków, artystów, wojskowych czy też świętych; uczeni takiego zaszczytu dostępują bardzo rzadko. W Krakowie tablic pamiątkowych jest sporo. Są te upamiętniające krótkie pobyty Goethego i Balzaca pod Wawelem. Pierwszy z nich mieszkał w domu przy Rynku Głównym w dniach 5–7 września 1790 r., drugi w dniach 4–5 maja 1850 w hotelu przy ul. Floriańskiej. Do wyjątków jednak należą tablice poświęcone uczonym i ważnym wydarzeniom naukowym. Takich tablic jest niewiele. Jednak są. Najważniejszą z nich jest zapewne tablica upamiętniająca skroplenie powietrza przez Karola Olszewskiego i Zygmunta Wróblewskiego, umieszczona na budynku Collegium Phisicum im. Hugona Kołłątaja na rogu ulic św. Anny i Jagiellońskiej, tam gdzie wydarzenie to miało miejsce. Poza tym pewne tablice w Krakowie poświęcone są kilku uczonym, głównie lekarzom. W mieście postawiono też kilka pomników osobom o znaczących osiągnięciach naukowych. Uczeni bywają też patronami ulic; Kraków jest pod tym względem miastem wyjątkowym, gdyż kilkanaście ulic nosi imiona matematyków. Jednak do tego, jak zostali uczczeni matematycy i fizycy w Getyndze, naszemu miastu nadal bardzo daleko.

Przyjeżdżających do Getyngi koleją wita napis „Göttingen. Stadt, die Wissen schafft”. W tym mieście najważniejsza jest nauka i jej luminarze. Tradycja nakazuje umieszczenie tablicy pamiątkowej (Gedenktafel) na budynku, z którym uczony był związany, czyli tam, gdzie mieszkał lub pracował. Tablic pamiątkowych w mieście – dziś liczącym mniej niż 120 tysięcy mieszkańców – jest dużo, bardzo dużo, prawie 350. To tak, jakby w moim rodzinnym Krakowie umieszczono ponad 2 tysiące tablic upamiętniających wybitnych studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego i uczonych związanych z tym miastem.

Goethe o kolorach

Czytelnika może zainteresować fakt, że po długich badaniach udało mi się znaleźć tylko jedno wspólne nazwisko upamiętnione w Getyndze i Krakowie – Johanna Wolfganga Goethego. Goethe, postrzegany w Polsce głównie jako poeta, był człowiekiem renesansu, filozofem, przyrodnikiem, a szczególnie zapalonym geologiem. W letniej podróży 1790 roku przez Dolny Śląsk dotarł dalej: do Krakowa, Olkusza i Wieliczki. W królewsko-stołecznym mieście spędził zaledwie trzy dni: 5–7 września 1790. O jego krótkim pobycie niewiele wiadomo. Fascynował się minerałami, a wizyta w kopalni w Wieliczce zrobiła na nim duże wrażenie. Wizyta Goethego w Getyndze miała miejsce ponad 10 lat później. Jako młodzieniec marzył



Tablice pamiątkowe Johanna Wolfganga Goethego: w Krakowie (po lewej) i Getyndze

o studiach na tym uniwersytecie, ale obiekcje do miasta i uczelni (wtedy liczącej mniej niż 50 lat) miał jego ojciec. W 1801 roku Goethe, wracając z pobytu w sanatorium w Prymonicy, zatrzymał się w Getyndze na cztery tygodnie: od 17 lipca do 14 sierpnia. Z podróży tej pozostał w jego sztabuchu wiersz *Zum Bildchen: Ruine Pleß bei Göttingen* [Do obrazków: ruiny Pleß pod Getyngą].

Z Getyngą związana jest również twórczość naukowa Goethego. W latach 1791–1792 opublikował on rozprawę na temat optyki (*Beiträge zur Optik*, późniejszy tytuł nowego wydania *Zur Farbenlehre*). W pracy tej zawarł tezy, w których sprzeciwiał się newtonowskiej optyce. Uważał, że światło ma jednorodną naturę, a kolorem dominującym jest biel. Według niego w naturze występowały tylko dwa czyste kolory: niebieski i żółty. Goethe zwrócił uwagę także na aspekt psychofizyczny odbioru koloru przez obserwatora. Dodatkowo zaś przypisał kolorom cechy etyczne: czerwony – piękny, pomarańczowy – szlachetny, żółty – dobry, zielony – użyteczny i niebieski – podły. Rozprawa Goethego wzbudziła zainteresowanie. W związku z zawartymi w niej tezami korespondował z nim Georg-Christopher Lichtenberg, słynny profesor fizyki na Uniwersytecie w Getyndze. I tak wracamy do głównego tematu. Lichtenberg to jeden z wielu upamiętnionych w Getyndze uczonych prowadzących badania w zakresie nauk ścisłych. Przedstawiciele nauk ścisłych doczekali się w Getyndze ponad 50 tablic pamiątkowych, ale Lichtenberg został uwieczniony nie tylko



Pomnik Georga-Christophera Lichtenberga na rynku w Getyndze

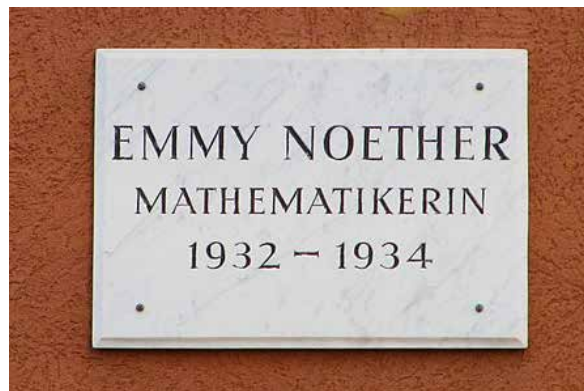


Obelisk upamiętniający pierwszą elektromagnetyczną komunikację

na tablicy (Gotmarstraße 1), lecz również dwoma pomnikami. Jeden z nich jest na miejskim rynku. Mała figurka człowieka odzianego we francuski frak i koszulę z żabotem, dzierżącego w ręce kulę („królewskie jabłko”) z plusem i minusem na niej zaznaczonymi jest hołdem dla faktu, że to Lichtenberg jako pierwszy użył tych znaków do oznaczenia biegunów prądu stałego. Lichtenberg to odkrywca efektu powstawania obrazów na papierze w wyniku wyładowań elektrycznych (figury Lichten-



Tablica pamiątkowa Carla Friedricha Gaussa, Kurze Geismarstraße 25



Tablice pamiątkowe: Dorotei Schläözer i Emmy Noether

berga), a zasada ta stanowi podstawę działania współczesnych maszyn kopiujących.

Miasto matematyków i uczonych kobiet

Najsłynniejszym uczonym Getyngi – zdaniem nie tylko matematyków – był Carl Friedrich Gauss. W mieście samych tablic ufundowano mu aż trzy: przy Gotmarstraße (gdzie mieszkał jako student) oraz przy Kurze Geismarstraße 25 oraz Geismarlandstraße 11 (tam mieszkał już jako profesor uniwersytecki). Poza tym w Getyndze jest ulica jego imienia i pomniki jemu poświęcone. Dla współczesnych najciekawszy jest zapewne pomnik w kształcie obelisku, na ścianach którego umieszczono cztery tablice z napisami w 27 językach. Tekst nawiązuje do wspólnego osiągnięcia Gaussa i Wilhelma Webera, którym było przesłanie na odległość informacji za pomocą fali elektromagnetycznej. Był to praprapoczątek jakże nam bliskiej telefonii komórkowej. Tablica poświęcona Weberowi znajduje się na tym samym budynku, co jedna z gaussowskich tablic – przy ulicy Geismarlandstraße 11; uczeni bowiem nie tylko współpracowali, ale przez pewien czas byli sąsiadami. Z drugiej zaś strony na budynkach przy ulicy Webera – taka też tam jest – znajdują się tablice upamiętniające wybitnych matematyków Felixa Kleina (nr 3), Davida Hilberta (nr 29), Richarda Couranta (nr 21) oraz laureata Nagrody Nobla z fizyki Eugena Wignera (nr 22). Klein i Hilbert doczekali się w Getyndze także ulic swego imienia, a jedno z miejskich gimnazjów nosi imię Kleina.

Dzisiaj wiele osób pyta o kobiety w nauce i jej historii. I w tym zakresie w Getyndze mamy pozytywną odpowiedź. Tak, kilka kobiet zajmujących się naukami ścisłymi doczekało pamiątkowych tablic. W pierwszej kolejności trzeba wymienić Dorotheę Schläözer. W wieku 17 lat w 1878 roku uzyskała na Uniwersytecie w Getyndze doktorat i tym samym została pierwszą Niemką z tym stopniem. Na egzaminie, który zdawała przy tej okazji, zadano jej również pytania z zakresu matematyki. Dorothea Schläözer była córką wybitnego historyka Augusta Ludwiga, profesora getyńskiej wszechnicy, który zadbał o jej wykształcenie i któremu zapewne zawdzięcza możliwość uzyskania stopnia. Przez całe życie prowadziła badania naukowe. Interesowała się między innymi mineralogią i optyką. Była bardzo barwną postacią, osobą bezpruderyjną. Po śmierci ojca w 1809 roku przeniosła się do Getyngi, tablica na domu przy Lange Geismarstraße 49 upamiętnia jej pobyt w tym okresie. Kolejna uhonorowana badaczka to rosyjska chemiczka Julia Lermontowa. Ona jest pierwszą Rosjanką z doktoratem z chemii. Studiowała w Petersburgu u Dymitra Mendelejewa, potem w Niemczech w Heidelbergu i Berlinie. Władze tamtejszych uniwersytetów nie zgodziły się na przeprowadzenie procedury doktorskiej dla kobiety. Postępowa

Getynga przyjęła jej wniosek i przeprowadziła postępowanie zakończone summa cum laude. Krótki pobyt Lermontowej w Getyndze związany z tym wydarzeniem upamiętnia tablica znajdująca się na budynku przy Hospitalstraße 10. Koniecznie trzeba wymienić jeszcze Emmy Noether. Badaczka w swych pracach koncentrowała się przede wszystkim na algebrze, ale rezultaty jej badań znane są w innych działach matematyki, fizyce, kilkanaście twierdzeń i pojęć nosi jej imię (kilka kolejnych imię jej ojca Maxa, profesora matematyki w Erlangen; czasem cytujący nie wiedzą, czy odnoszą się do wyników ojca, czy córki). Od 1915 roku Emmy Noether związana była z Uniwersytetem w Getyndze. W 1919 roku, po licznych petycjach Kleina i Hilberta słanych do pruskich władz, dopuszczono ją do habilitacji. Została pierwszą Niemką, która uzyskała veniam legendi, jednak wykłady musiała prowadzić „w zastępstwie” Hilberta. Chociaż była wybitną uczoną, jednym z największych matematyków jej czasów, pomimo podejmowanych prób nigdy nie uzyskała katedry w Niemczech. W 1933 roku, tak jak prawie wszyscy jej koledzy matematycy, została usu-



Dom przy Planckstraße, na którym umieszczono tablicę pamiątkową Hugona Steinhausa



Zdjęcie ze spuścizny Władysława Dziwulskiego. W centrum Władysław Dziwulski i Albert Einstein, poniżej klęczący Wacław Dziwulski, Getynga, rok nieznany

w artykule *David Hilbert i Polacy* (FA 11/2021).

Mam nadzieję, że liczba uhonorowanych w Getyndze Polaków wzrośnie. W mojej opinii na tablicę pamiątkową zasłużył astronom Władysław Dziwulski, w Getyndze student i asystent Karla Schwarzschilda. Władysław Dziwulski jako członek kierowanego przez Schwarzschilda zespołu badawczego prowadził przełomowe badania z zakresu fotometrii. Dziwulski to uczyony wielce zasłużony dla nauki polskiej. Założył dwa obserwatoria astronomiczne: po I wojnie światowej w Wilnie, a po II wojnie światowej w Toruniu. Dziś wileńskie obserwatorium działa jako część uniwersytetu litewskiego. Dziwulski, podobnie jak Ingarden i Stein-

Źródło: „Początki Astronomii i Urania” 1993, t. 44, nr 1.

nhaus, był wybitnym uczonym o światowej sławie, zasługującym na honor, jakim jest tablica pamiątkowa.

Może taka pamiątka przyczyni się też do wyjaśnienia zagadki związanej z nim, a właściwie jego spuścizną. Wśród dokumentów znajduje się zdjęcie, na którym uwiecznieni zostali obaj bracia Dziwulscy, ale także Albert Einstein. Jako miejsce wykonania została wskazana Getynga. Prawdopodobny rok wykonania zdjęcia to 1913, czyli rok uzyskania przez Wacława Dziwulskiego doktoratu z fizyki na Uniwersytecie Georga-Augusta. Czy zdjęcie to istotnie jest dowodem na to, że Einstein był w 1913 w Getyndze i prawdopodobnie uczestniczył w odbywającym się tam kongresie fizyków? Historycy fizyki sądzą, że Einstein, wbrew pierwotnym planom, na kongres nie dotarł. Może Dziwulski zostawił dowód, że było zupełnie inaczej?

Dr Danuta Ciesielska, matematyk, historyk matematyki Instytut Historii Nauki PAN im. L. i A. Birkenmajerów w Warszawie

Dr Danuta Ciesielska, matematyk, historyk matematyki Instytut Historii Nauki PAN im. L. i A. Birkenmajerów w Warszawie

Polskie tablice

Polaków upamiętnionych Gedenktafel w Getyndze jest dwóch. Jako pierwszego uhonorowano filozofa Romana Ingardena. W Getyndze studiował on matematykę, fizykę, filozofię w latach 1912-1914, a przede wszystkim zetknął się z Edmundefem Husserlem, twórcą fenomenologii. Tablicę na budynku, w którym Ingarden mieszkał jako student, przy Herzberger Landstraße 17, odsłonięto w listopadzie 2001 roku. Kolejny Polak doczekał się podobnego zaszczytu w czerwcu 2018 roku, kiedy na budynku przy Planckstraße 1 upamiętniono Hugona Steinhausa. Steinhaus od 1907 roku studiował na getyńskiej wszechnicy matematykę i jej zastosowania i uzyskał doktorat ze szczególnym wyróżnieniem (summa cum laude). O jego studiach i doktoracie wspominałam



Przed Obserwatorium Astronomicznym. Od lewej: Otto Birck, Hugo Kistler, Heinrich Blasius, Johannes M. Knapp, Władysław Dziwulski (siedzący), Albert von Brun, Karl Schwarzschild, Burt Leroy Newkirk, Leopold Ambronn, Bruno Meyermann, Martin Linnemann, Getynga, lipiec 1903

Nałkowcy

Posługiwanie się pseudonauką nie jest niczym nowym, ale zawsze wprawia w zdumienie. Są tacy, których zachwyca, bo iście fantastyczną cechą jej jest to, że ktoś z manipulacji wiedzą, inteligencją i logiką może ciągnąć gigantyczne korzyści przyjemnościowe, a także materialne, finansowe.

Tak, podejrzewam, ma właśnie prezydent Rosji Putin wraz z przyległymi autorytetami. Bezpodstawnie twierdzi, że narodowość ukraińska została wymyślona, i to w celach antyrosyjskich, bo tak zwani Ukraińcy to szczerp Rosjan i powinni być uważani za gorszych członków ich narodu, takich do fizycznego wytępienia. To samo jest z ich językiem, „podobno ukraińskim, a w rzeczywistości zepsutym rosyjskim”.

Przekrećć można wszystko, ale czy to się przyjmie, zależy od metod wdrażania danej bzdury, szczególnie zaś od opracowania i wymodelowania publiczności, do której idiotyzm ten jest adresowany. Nie wystarczy mieć świetnego pomysłu na sprawę, trzeba dysponować pomysłem na tłok, za pomocą którego będzie się to wdrażać, a ściśle – wciskać, ale przede wszystkim dysponować specyficznym charakterem manipulatora, który podaje się za naukowca albo twierdzi, że opiera się „na badaniach”, tylko że ani tych badań nie wymienia, ani nie podaje ich źródła. Bo nie istnieją.

Co ważne, w procesie wpuszczania do obrotu pseudonauki nie ma znaczenia, kim jest odbiorca, byleby był obrobiony. Może to być zarówno wybitny naukowiec, jak i prymitywny absolwent przedszkola. Ludzie są na to podatni wcale nie ze względu na wykształcenie, ale głównie z powodu nasilenia emocji, zwłaszcza negatywnych, i nacisków środowiskowych. Można to stwierdzić, przeglądając polską prasę codzienną. Tytuł pseudonaukowych bzdur, jakie teraz widujemy w mediach, nie było jeszcze nigdy. A wszystko służy oczywiście polityce, chwilowej propagandzie.

Działa to nawet w zakresie Nagrody Nobla, ale zanim zaczęła być przyznawana, wielcy manipulatorzy przez wieki poczynali sobie całkiem dorzecznie – wiedzieli doskonale, że każda bzdura odpowiednio podana może zostać uznana za objawienie i wielką prawdę.

Tak było i nadal jest przecież z homeopatią. W 1796 roku wymyślił ją niemiecki lekarz Samuel Hahnemann, który cierpiał z powodu braku pacjentów. Podręczniki historii medycyny podają, że doktor szukał metody na przyciągnięcie klientów i kierując się obserwacją świetnie prosperujących znachorów, wpadł na pomysł, żeby zacząć à rebours traktować leczenie w medycynie, która tradycyjnie stosuje allopatię („przeciwym leczyć przeciwne”). Skoro „terapia naukowa” działa przeciwko przyczynom chorób, to należy zacząć twierdzić, że to błąd, ponieważ „chorobę można wyleczyć jedynie przez podawanie czynników jej objawy wywołujących”, tyle że stosowanych w ogromnym rozcieńczeniu. Dla wzmocnienia efektu należy preparat „zdynamizować”, to jest wielokrotnie wstrząsnąć.

Hahnemann ogłosił powyższą zasadę jako tak zwane „prawo przeciwnieństw” i uruchomił szeptaną kampanię propagandową. Pacjenci pojawili się niemal natychmiast. Nie informował jednak, że już przy zalecanym rozcieńczeniu sześćdziesięciokrotnym (tzw. 60D) z substancji tych nic w roztworze nie zostaje. Dla przykładu lek zwany „oscillococcinum” (cukier spożywczy + cukier mleczny) ma rozcieńczenie czterystukrotne.

Następcy Hahnemanna przez wieki pododawali do tego systemu ogrom równie wyspanych z palca pomysłów i teorii i w ten sposób stworzyli „medycynę” zwaną homeopatią. Wielokrotne, wykonywane z gigantycznymi nakładami finansowymi przez najlepsze międzynarodowe zespoły naukowe, świetnie udokumentowane badania dowiodły całkowitej nieskuteczności homeopatii, ale to nie spowodowało jej zaniku w praktyce medycznej. Pieniądz to pieniądz. Nasza Naczelna Izba Lekarska uznaje praktykowanie homeopatii przez lekarzy i lekarzy dentyistów za błąd w sztuce lekarskiej i kwalifikuje je jako niegodne etyki lekarskiej. Niestety niektórzy tego nie przestrzegają. Nawet Ministerstwo Zdrowia i nie tylko polskie. A przecież nieraz „leczenie” homeopatyczne prowadzi do nieszczęścia przez zaniechania leczenia prawdziwego a skutecznego...

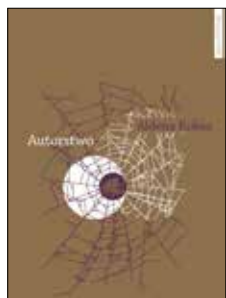
Ludzkość chyba lubi być głupia. Metody nienaukowe, jałowe odkrycia i błędne wynalazki w medycynie, nawet zbrodnicze (sic!), bywały przecież nagradzane Nagrodą Nobla.

W 1926 r. Duńczyk Johannes Fibiger otrzymał ją za „odkrycie” rzekomej pasożytniczej przyczyny nowotworów. Potem próbowano przemodelować uzasadnienie wyróżnienia, ale się nie udało.

W 1996 roku Amerykanin Stanley Prusiner otrzymał tę Nagrodę za odkrycie białek zwanych prionami, które rzekomo mają być przyczyną niektórych chorób zakaźnych, takich jak scrapie (u owiec i bydła), choroba Creutzfeldta-Jakoba i kuru u człowieka. Do dziś nie wiadomo, czy priony tylko towarzyszą tym chorobom, czy są ich przyczyną, ale autor bezdowodowo twierdzi, że prawdą jest to drugie.

I w tym zestawieniu fakt przerażający. W 1949 roku Portugalczyk António Egas Moniz otrzymał Nagrodę Nobla za opracowanie i wdrożenie lobotomii, niszczenia płata czołowego mózgu, zbrodniczej chirurgicznej metody leczenia chorób psychicznych, w tym depresji, chorób neurologicznych takich jak padaczka, a nawet bólu głowy i homoseksualizmu. Jedną z najbardziej znanych ofiar tej brutalnej chirurgii była siostra prezydenta Johna Kennedy’ego – Rosemary, która po zabiegu wykonanym w wieku 23 lat została dożywno umieszczona w zakładzie opiekuńczym jako niepełnosprawna, z kooperacyjnym upośledzeniem chodzenia, mówienia i ze znacznie obniżonym poziomem inteligencji. W Polsce operacji tej po roku 1960 szczęśliwie nie wykonano ani razu.

Ideologie autorstwa



Książka Aldony Kobus jest pierwszą tego rodzaju pozycją w polskiej literaturze przedmiotu. W krajowym literaturoznawstwie podejmowano wielokrotnie zagadnienia szczególnie wiążące się z fenomenem autorstwa, jednak nie opisano jak dotąd tego, co jest zasadniczym tematem tej książki, czyli ideologii autorstwa, charakterystycznej dla nowoczesnej kultury zachodniej. Jak jednak rozumieć sformułowanie „ideologia autorstwa”? Najkrócej rzecz ujmując, nie chodzi ani o teorię tytułowego pojęcia, ani o jego historię, ale o to, jak

zagadnienie autorstwa funkcjonalizowano – czyniono narzędziem pozwalającym na realizację rynkowych i/lub interpretacyjnych interesów.

Książka składa się z czterech rozdziałów. Pierwszy został poświęcony „narodzinom fantazmatu autorskiego” w kulturze zachodniej od XVIII do XIX wieku – to właśnie wtedy pojawia się figura autora, tak jak rozumiemy ją dzisiaj, czyli jednostkowego podmiotu, który jest stwórcą i dysponentem wytworzonych przez siebie znaczeń oraz tekstów, w których owe znaczenia się materializują. W rozdziale drugim (*Wykluczone z autorstwa. Kobiecość w dyskursie autorskim*) Aldona Kobus przechodzi do zagadnienia autorstwa kobiecego, w rozdziale trzecim (*Postromantyczny dyskurs autorstwa*) wraca do wątku opisanego w rozdziale pierwszym i rozwija dalsze losy romantycznej idei autora. Książkę wieńczy rozdział czwarty pt. *Autorstwo zbiorowe. Od kultury kontrybucji do współautorstwa*.

W tak krótkiej recenzji nawet nie zasugeruję bogactwa kwestii poruszonych przez autorkę w jej monografii, zamiast więc próbować je wyczerpać, zaryzykuję panoramiczne uogólnienie. Otóż zasadniczym jej przedmiotem jest pewien moment historyczny, czyli romantyzm, to właśnie wtedy bowiem, dzięki splotowi wielu czynników (politycznych, gospodarczych, społecznych i kulturowych) kulminuje przekonanie, że autorstwo wiąże się z pojęciem własności, własności męskiej (często wybitnej) jednostki. Tej przedstawionej w rozdziale pierwszym idei przeciwstawiają się bohaterowie wszystkich pozostałych rozdziałów.

Robią to na różne, często sprzeczne ze sobą sposoby. Przykładowo Michel Foucault zżymał się, mówiąc: „A co to za różnica, kto mówi?” (pytanie to padło w słynnym eseju *Kim jest autor?*, który często wymienia się obok *Śmierci autora* Rolanda Barthes’a jako drugi najsłynniejszy przykład antyromantycznego podejścia do idei autorstwa). Pytania tego na pewno nie zadałyby badaczki feministyczne, one również negowały romantyczne podejście do idei autora, przeciwstawiały się jednak nie idei osoby (jak robili to Foucault i Barthes), ale idei męskości jako jedynej akceptowalnej pozycji, którą dana osoba może zająć, aby uprawiać literaturę. W rozdziale trzecim i czwartym Kobus bardziej bezpośrednio powraca do kwestii romantycznego autorstwa. Mówiąc w największym skrócie, próba porażenia sobie z dziedzictwem romantyzmu polega na dwóch zasadniczych strategiach: różnych wersjach idei śmierci autora i (także różnorodnych) koncepcjach autorstwa niejednostkowego. Śmierć autora to najważniejszy temat rozdziału trzeciego. Opisując tę koncepcję, Aldona Kobus słusznie zwraca uwagę na niesłuszność jej potocznej ujęcia: Barthes, pisząc swój słynny esej, wcale nie uśmiercił autora, ale zaproponował inną jego koncepcję (jako kogoś, kto stwarza sam siebie w momencie pisania). Koncepcje autorstwa niejednostkowego to przedmiot rozdziału ostatniego, który w udany sposób próbuje pokazać, że romantyczna idea autora jako jednostki jest nieadekwatna przede wszystkim z uwagi na zbiorowy charakter wytworzenia tekstu i ze względu na zmianę środowiska produkcji i rozpowszechniania tekstów, czyli przejście od druku do internetu.

Książka Aldony Kobus jest pracą, by tak rzec, sprawozdawczą. Nie tworzy nowych idei, ale zbiera, problematyzuje i w twórczy sposób interpretuje idee wytworzone w anglojęzycznej głównie literaturze przedmiotu. W niczym to nie umniejsza jej wartości, przeciwnie: włącza polską humanistykę w toczoną od lat na Zachodzie dyskusję.

Paweł Bohuszewicz

Aldona KOBUS, *Urynkowanie literatury i fantazmat podmiotu autorskiego*,

Wydawnictwo Naukowe Mikołaja Kopernika, Toruń 2021.

Cykle życia publikacji



Żadna praca naukowa nie powstaje w odebraniu od całego dotychczasowego dorobku nauki. Dlatego wskazywanie na istnienie relacji między pracą własną i pracą cudzą – czyli cytowanie – jest esencją piśmiennej komunikacji naukowej. Cytowania świadczą o uczciwości naukowej, jakości tekstu, znajomości tematu i zasięgu źródłowych poszukiwań autora. Z punktu widzenia czytelnika informują o najbardziej interesujących publikacjach powiązanych z danym tematem lub określonymi badaniami. Pośrednio, poprzez wskaźniki bibliometryczne opierające się na liczbie cytowań, są

istotnym elementem systemu ewaluacji nauki. Istotne więc jest, aby publikacja była cytowana jak najczęściej i przez jak najdłuższy czas. Dlatego warto analizować, w jaki sposób naukowcy selekcionują, dobierają i cytują źródła literaturowe oraz w jaki sposób procesy te przekładają się na cykle życia publikacji – od narastania cytowań, przez osiągnięcie maksimum cytawalności, po starzenie się i wygaśnięcie (śmierć).

To szerokie zagadnienie jest przedmiotem książki dwojga bibliologów, którzy opierając się na światowej literaturze, wyznaczyli najważniejsze nurty badań oraz trendy dotyczące cytawalności i starzenia się publikacji naukowych. Opisali m.in. ujęcie normatywne, według którego cytowania zależą od użyteczności dokumentów dla cytujących badaczy, w tym przypadku zachowania w zakresie cytowań wiążą się przede wszystkim z zawartością znaczeniową oraz wartością poznawczą. Z kolei w świetle konstruktywizmu cytowania są tworem podporządkowanym potrzebom cytującego, uzależnionym m.in. od czynników społecznych i psychologicznych. Wspomniano też o cytowaniach jako narzędziu perswazji, które świadomie lub podświadomie wykorzystywane jest do manipulowania cytatami. Mnogość teorii związanych z cytowaniami pokazuje, że wciąż nie wypracowano jednej, uniwersalnej teorii. Być może jest to po prostu niemożliwe. Autorzy analizują też techniki stosowane w analizie cytowań i problemy, jakie można napotkać podczas ich tworzenia. Przedmiotem zainteresowania badaczy są też analizy zachowań w zakresie cytowań z uwzględnieniem analizy kontekstu, zawartości semantycznej i motywacji.

Wskazano też na główne kierunki badań w odniesieniu do procesu starzenia się, który jest nieuniknionym etapem cyklu życiowego publikacji naukowych. Opisano genezę szeregu wskaźników i metod, używanych do ustalania tempa starzenia się publikacji oraz synchroniczną (retrospektywną) i diachroniczną (prospektywną) metodologię badań starzenia się literatury. Zaprezentowano funkcjonujące w literaturze typologie cykli życiowych dokumentów, wśród których największą uwagę zwrócono na tzw. artykuły opóźnione i „śpiące królowy”, a także metody probabilistyczne, które są przydatne w określeniu przyszłej cytawalności. Nie pominięto też cykli życiowych dotyczących publikacji elektronicznych, procesy starzenia się zachodzą tam szybciej, a liczba pobrań nie zawsze przekłada się na wzrost liczby cytowań.

Choć tematyka książki nawiązuje do wielu dyscyplin, w największym stopniu powinna zainteresować bibliotekarzy – w kontekście szeroko pojętego zarządzania kolekcjami oraz procesów gromadzenia i selekcji zbiorów, a także naukowców – wskazując, jakie czynniki wpływają na cytawalność oraz szybkość starzenia się publikacji naukowych. Na podkreślenie zasługuje też wybór i liczba pozycji bibliograficznych, na które powołują się autorzy: spośród niemal sześciuset wymienionych publikacji zaledwie ok. 15% to pozycje odnoszące się do piśmiennictwa w języku polskim, spośród nich tylko nieliczne są poświęcone zagadnieniom związanym z cyklami żywymi i starzeniem się publikacji. To potwierdza słowa autorów, że zjawiska te nie wzbudziły dotąd większego zainteresowania w polskim środowisku naukowym. Choćby z tego względu monografię można traktować jako pozycję unikatową, która może zainspirować do podjęcia badań nad cyklami życia publikacji w polskim piśmiennictwie.

Jolanta Szczepaniak

Anna Małgorzata KAMIŃSKA, Łukasz OPALIŃSKI, *Cykle życia publikacji naukowych warunkowane praktyką cytowania piśmiennictwa*,

Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2021.

Państwo to ona



Jak opowiedzieć o mieście, w którym nawet chodniki są jedyne w swoim rodzaju, „układa się je z niewielkiej, wapiennej i bazaltowej, kostki brukowej, przy czym czarna bazaltowa kostka służy do układania mozaikowych wzorów na przeważnie białym bruku wapiennym”. Z pewnością, wycuciem i pasją, jak czyni to Barry Hatton. W książce *Lizbona Królowa mórz* stolica Portugalii, która za czasów rzymskich nosiła nazwę Olisipo, za Maurów była Al-Uxbuną, zaś chrześcijanie obdarzyli ją mianem Lixboa, jest przedstawiona jako miejsce pełne światła, czaru i trudnej historii. Zgra-

niczny korespondent, od 30 lat pracujący w kraju Pessoi i Camõesa, podjął się ambitnego zadania opowiedzenia o europejskiej metropolii inaczej niż tylko za pomocą popularnych skojarzeń typu żółte tramwaje. Autor, niczym wytrawny gawędziarz, wyczuwalnie zauroczony atmosferą i duchem Lizbony, prowadzi nas krętymi ścieżkami minionej przeszłości. Zaglądając w kolejne zaułki i zatrzymując się na placach czy ulicach o dźwięcznie brzmiących nazwach, odkrywamy, warstwa po warstwie, fascynujący świat miasta.

Ow nietypowy bedeker, stworzony w nieco sentymentalnym stylu, stanowi prawdziwą skarbnicę wiedzy. Dzięki zamieszczonym wskazówkom można nakreślić unikatową mapę wędrówek, zaznaczając na niej punkty, gdzie warto odpocząć, gdzie napić się aromatycznej kawy i zjeść słynne pastéis de nata, na jakim tarasie oglądać zachód słońca, a z którego miejsca najlepiej widać majestatyczną sylwetkę zamku São Jorge. Tropiąc dzieje Lizbony, podane przez autora w niezwykle interesującej formie, warto zatrzymać się przy fragmentach opisujących znaczącą rolę rzeki w historii kraju. To właśnie Tag był początkiem ekspedycji zamorskich, to stąd wyruszali kolejni odkrywcy nowych lądów, przynosząc na lata Portugalii miano morskiego mocarstwa. Dwa mosty, 25 kwietnia i Vasco da Gama, stanowią do dzisiaj nie tylko symbole rozwoju stolicy, ale są także mocnym spoiwem łączącym przeciwległe brzegi. Szczególnie ten drugi robi imponujące wrażenie. Jego otwarcie, jak czytamy, połączeniem było z wystawną imprezą dla gości, których usadzano przy stole ciągnącym się przez całą długość konstrukcji, czyli 17,2 km. Dla biesiadników przygotowano 17 tys. porcji gulaszu z fasoli. Dania niestety nie starczyło dla wszystkich i część zaproszonych musiała obejść się smakiem.

Wyjątkowość Lizbony, jak pisze autor, tkwi m.in. w mieszanke kultur, w tym ludzkim tygry, który przez lata zapełniał place i arterie, pozostawiając echo bytności w rozbrzmiewających do dzisiaj w tych miejscach dźwiękach wielu języków. Warto zaznaczyć, że przy całym swoim oczarowaniu Hatton nie jest bezkrytycznym pochlebcą. Nie zadowala się roztaczaniem wyidealizowanej wizji stolicy, ale zagląda także za jej zewnętrzne dekoracje, pokazując, że istnieje też ciemniejsza strona miasta, a kształtowanie się tkanki społecznej nie przebiegało w rytmie jednostajnym dla wszystkich, zaś istniejące rozwarstwienie zaczynało się już na poziomie dzielnicy.

Narracja historyczna w książce nie jest linearna, co stanowi, jak przyznaje autor, celowy zabieg. Przekazywane treści są oczywiście oparte na pracach portugalskich uczonych. Te ostatnie wykorzystywane są jednak wyłącznie jako źródło wiedzy na temat przeszłych wydarzeń, a nie jakiegokolwiek ograniczające opowieść ramy. W końcu cała rzecz nie aspiruje przecież do miana naukowej rozprawy, ale jest raczej wyrazem podziwu dla uroczego, a jednocześnie boleśnie doświadczanego przez trzęsienie ziemi uznawane za najsilniejsze w dziejach nowożytnej Europy, miasta.

Lizbona jest niekwestionowaną królową i jak przystało na prawdziwą władczynię, nie znosi konkurencji, a to sprawia, że, jak pisze Hatton, „po siedmiu wiekach od przeniesienia stolicy w to piękne miejsce nad Tagiem Portugalia nadal cierpi na makrocefalię, ponieważ cała władza i wszystkie zasoby kraju skupiają się w metropolii”.

Aneta Zawadzka

Barry HATTON, *Lizbona. Królowa mórz*, tłum. Barbara Gutowska-Nowak, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2022, seria: MUNDUS.

Z czego się śmiejecie?



Internetowy Słownik Języka Polskiego definiuje „bareizm” jako „coś absurdalnego, przypominającego sytuację z filmów komediowych Stanisława Barei”. Zdzisław Pietrasik pisał o bareizmie jako kultywowaniu filmów Barei i nie tylko, utrwalających w potocznej świadomości obraz PRL-u jako krainy surrealistycznej, pełnej paradoksów, w której przy odrobinie poczucia humoru i przystosowaniu się do konwencji, daje się jednak żyć. Ale bareizm miał również zgoła inne znaczenie. Na początku lat 70. Kazimierz Kutz określił tym mianem filmy niskiego lotu, tandetne, bez artystycznych ambicji i zaangażowania społecznego. Nie Kutz był jednak twórcą samego terminu. „Bareizmem” jeszcze w czasie studiów w Łódzkiej „filmówce” na początku lat 50. nazywano specyficzne, błyskotliwe i nieco abstrakcyjne poczucie humoru Stanisława Barei, to właśnie, które teraz „przypominają sytuację z jego filmów komediowych”. Jeśli można powiedzieć, że „bareizm” to również ogół zagadnień związanych z życiem i twórczością popularnego reżysera, to bareizmowi w takim znaczeniu poświęcona jest najnowsza książka Doroty Skotarczak.

Jest to biografia pełna. Życiorys prywatny (rodzinny, ale też związany z działalnością opozycyjną) przeplata się tu z zawodowym, poznajemy opinie rodziny i znajomych o artyście, ale też okoliczności powstawania filmów, problemy z cenzurą, z krytyką, ze środowiskiem. Zapoznajemy się z ówczesną recepcją filmów Barei (m.in. recenzje Kałużyńskiego, Toeplitza czy Sobolewskiego). Również sama autorka poddaje analizie i interpretacji jego dzieła (*Poszukiwany, poszukiwana, Miś, Alternatywy 4* i inne). A wszystko to na tle społecznych i politycznych osobliwości PRL-u.

Czyta się tę książkę świetnie. Abstrahując od kilku niedociągnięć redakcyjnych (powtórzenia cytatów), jest właśnie taką biografią, jaką prawdopodobnie chciałby przeczytać każdy, kto dopiero zaczyna przygodę z Bareją i stara się zrozumieć jego fenomen, jak i ten, który sypie cytatami z jego filmów i pamięta PRL, ale zapewne nie zna stylu pracy, charakteru i ceny, jaką Bareja płacił za swoją twórczość.

W książce znajdziemy m.in. tak ciekawe rzeczy, jak lista scen, ujęć i zdań z *Misia* proponowanych przez cenzurę do usunięcia lub przeformułowania, jak pomysły na filmy, które nigdy nie zostały zrealizowane czy – niepozabawione niespodzianek – okoliczności kręcenia filmów, również w domu reżysera. Książka jest też refleksją nad miejscem komedii jako gatunku filmowego w ówczesnym ustroju, gatunku niecenionego, uważanego (niesłusznie) za płytki, niezaangażowany i niewiele wnoszący, za to lubianego przez publiczność. Bareja, pytany, czy nie przejmują go głosami krytyki, odpowiedział: „Owszem martwią mnie jej zarzuty, ale gdybym posłuchał jej rad, to sądzę, że straciłbym widzów”.

Nasuwa się pytanie: jak w ogóle było możliwe, że filmy ukazujące absurdy PRL-u, tak krytyczne wobec ówczesnej rzeczywistości, trafiały na ekrany? Okazuje się, że zastanawiano się nad tym już wtedy. Tadeusz Konwicki widział w tym swego rodzaju „wentyl bezpieczeństwa”. Zygmunt Kałużyński uważał, że to dowód postępującej demokracji. Tak czy inaczej, w okresie relatywnie liberalnych rządów Gierka – pisze autorka – zakres wolności społecznej był wyznaczany również przez poziom słabości ekipy rządzącej. Być może to nie tyle kontrolowana wolność, ile utrata kontroli nad środowiskiem artystycznym przez władzę, powodowana większymi problemami, sprzyjała działalności Barei.

Stanisław Bareja wylania się z książki jako człowiek serdeczny, życzliwy i optymistyczny, zarazem czytany erudyta. Autorka – co na pierwszy rzut oka może się wydawać zaskakujące – zalicza jego twórczość do nurtu kina moralnego niepokoju. Dostrzega też, że coraz bardziej krytyczne wobec rzeczywistości PRL-u filmy Barei, „stawały się też w gruncie rzeczy coraz smutniejsze. Przyciągały do kin, bo świetnie oddawały ówczesną atmosferę i warunki życia. Zobaczenie na ekranie znanej sobie rzeczywistości, przedstawionej jednakże w formie komediowej groteski, musiało mieć walor swoistego katharsis.

Anna Jawor

Dorota SKOTARCZAK, *Stanisław Bareja. Jego czasy i filmy*, wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2022.

Zmiany w czasie zarazy



Ciekawą analizę zjawisk społecznych związanych z pandemią COVID-19 przeprowadziła dr Barbara Orzeł z Instytutu Nauk o Kulturze Uniwersytetu Śląskiego. Zaczęła od omówienia pandemii, które zdarzały się w przeszłości. Szczególną uwagę zwróciła na „hiszpankę”. Zalecenia sanitarne w tamtym czasie były zaskakująco zbliżone z obecnymi, ale wygląda na to, że również na początku dwudziestego wieku, kiedy zbierała ona żniwo, duże znaczenie miała dezinformacja. Powszechna nazwa choroby sugeruje, że źródło zakażenia znajdowało się w Hiszpanii, co nie było prawdą.

Trwała wówczas pierwsza wojna światowa i władze państw biorących w niej udział nie chciały się dodatkowo paniki, cenzurowały więc wszelkie informacje na temat choroby dziesiątkującej zarówno walczące oddziały, jak i ludność cywilną. Hiszpania w tym czasie była neutralna, a jej gazety nie ukrywały informacji o groźnej chorobie. Kiedy więc Francuzi, Brytyjczycy i Amerykanie dowiedzieli się o masowych zgonach w Madrycie, zaczęli nazywać nową chorobę „hiszpańską grypą”. Tymczasem we Francji zaraza trwała o wiele dłużej niż u sąsiada.

Dyskusje o nazwie pojawiły się i przy COVID-19. Najpierw słyszeliśmy o chińskim wirusie z Wuhan, później o wariantach brytyjskim. Być może doświadczenia z „hiszpanką” wpłynęły na naciski tych państw, by używać oficjalnych nazw zaproponowanych przez WHO.

Wirus, nie przejmując się jednak terminologią, rozlał się po świecie i zmienił nasze zachowanie. Jednym z głównych powodów tych zmian była konieczność utrzymania dystansu. Większość naszych aktywności na długo przeniosła się do domu. „Dom został odkryty na nowo [...] – pisze dr Orzeł. – Stał się niezwykle «pojemny»: zmieścił w sobie biuro, szkolną klasę, siłownię i restaurację, bardziej niż zwykle stał się łącznikiem ze światem”. Wszędzie można było napotkać hasła #zostanwdomu, powstał nawet serial on-line pod tym tytułem. Do nowej rzeczywistości zaczęły dostosowywać się spoty reklamowe, akcentując przestrzeń mieszkalną i sposoby spędzania w niej czasu. Również produkcja klipów często odbywała się w domu – pracę zdalną podejmowały przecież całe firmy, a część z nich do dzisiaj przy niej pozostała. To pociągnęło za sobą rozwój mody domowej, a nawet „pandemicznej estetyki wnętrz”. W pandemii rozkwitł handel w internecie i znacznie wzrosły potrzeby na usługi kurierskie. Odkryliśmy, że wiele można zrobić w domu lub z domu. Zdalnie spotykaliśmy się nawet z lekarzem, a wiele przychodni utrzymało możliwość telekonsultacji, ta opcja, wymuszona pandemią, zamknęła jednak możliwość diagnostyki wielu ludziom.

Rola nowych mediów w pandemii jest jednak nie do przecenienia. Autorka zwraca uwagę, że dzięki mediom został zintensyfikowany rozwój nauki i medycyny, m.in. przez prognozowanie przebiegu pandemii oraz przyspieszenie obiegu informacji na temat prac nad lekami i szczepionkami. Aplikacje mobilne wykorzystano przy monitoringu osób zakażonych oraz wyszukiwaniu ich kontaktów. Coraz więcej ludzi zaczęło płacić kartą, smartfonem czy smartwatchem, by uniknąć dotykania pieniędzy. Komunikatory oraz oprogramowanie do prowadzenia telekonferencji umożliwiły pracę i naukę zdalną, a technologia streamingu – transmisje na żywo wydarzeń i udział w nich milionów osób bez wychodzenia z domu. Media społecznościowe stały się głównym sposobem na komunikację oraz przyczyniły do rozwoju „mód covidowych”, np. morsowania. Z jednej strony tego typu aktywności wypełniały czas spędzany dotąd na siłowniach czy w klubach fitness, które zostały zamknięte na początku pandemii. Z drugiej – zdrowy tryb życia kojarzony z morsowaniem miał być jednym ze sposobów ochrony przed koronawirusem, co oczywiście ma tylko pośredni wpływ na zwiększenie odporności.

Nie chcąc umniejszać negatywnego wpływu pandemii na funkcjonowanie społeczeństwa, trzeba jednak przyznać, że przyczyniła się ona do dużego postępu w rozwoju medycyny i technologii. Znacznie zmieniła też nasze zachowania. Trudno powiedzieć, ile z tych zmian zostanie z nami na dłużej i jakie długofalowe efekty przyniosą lekcje, które dostajemy od życia od dwóch lat.

Justyna Jakubczyk

Barbara ORZEŁ, *Kulturowe i społeczne konteksty pandemii COVID-19*,

Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2021.

Elk w dawnych wiekach



Fascynacja lokalnością na trwałe weszła w krąg zainteresowań nauk humanistycznych i społecznych. Poziom najnowszej historiografii określonych miejscowości i okolic podwyższa się dzięki sięganiu do źródeł, które z powodu barier językowych lub innych przyczyn były eksplorowane dotychczas minimalnie. W tym kontekście niemiecko-polska edycja dzieła XVIII-wiecznego autora, Ludewiga Reinholda von Wernera (1726–1756), *Historyczne opisanie miasta Elku i jego herbów*, jest przedsięwzięciem godnym uwagi. Książka, wydana po raz pierwszy w 1751 r., oferuje partykularną fakto-

grafię, w której współczesny badacz i miłośnik Mazur znajdzie wyselekcjonowany odpowiednio materiał, obejmujący elckie dzieje do połowy XVIII stulecia. Kraina ta ma swoich wcześniejszych i bardziej znanych historyków, Krzysztofa Hartknocha i Caspara Hennebergera.

Co prawda zestawienia chronologiczne, listy osób pełniących funkcje urzędnicze czy kościelne, daty i kronikarskie (konsekwentnie lapidarne) opisy wydarzeń wymagają uzupełnień i objaśnień. Sprawne tropienie przestrzeni mikrohistorycznej w tej książce umożliwiają sporządzone indeksy nazw geograficznych i nazwisk.

Zdziwić może ogromna liczba przypisów. Nadmiar odnośników stanowił nie lada jakie wyzwanie dla tłumacza. Poszerzają one zakres poznawczy tego dziełka, ale utrudniają lekturę. XIX-wieczny historyk Mazur Max Toeppen twierdził, że Werner w swoim opracowaniu nawiązał do „inwentarzy ratuszowych”, które sporządzano urzędowo według ustalonego schematu za czasów Fryderyka Wilhelma I. Oceniał, że prace Wernera, zarówno o Elku, jak i Angerburgu, Johannsburgu i Lötzen (współcześnie Węgorzewo, Pisz i Giżycko), „są przydatne ze względu na swoją treść”, choć ich forma, płatanina komentarzy pod bezsensownymi akapitami nie mogła być już bardziej przerażająca.

Historyczne opisanie miasta Elku i jego herbów oferuje czytelnikowi także szansę przesłedzenia dróg rozwoju historiografii „perły Mazur”, jak niegdyś określano Elk. Książka bowiem stanowi przyczynek do poznania pewnego etapu rozwoju nauk historycznych. Jak kompetentnie zauważa Radosław Poniata, Ludewig Reinhold von Werner po pierwsze odsłania „przed nami fakty z dziejów Elku, których inaczej byśmy nie poznali. Po drugie, otrzymujemy sposobność wejścia w świadomość historyczną XVIII-wiecznych mieszkańców Prus, a w każdym razie ich wykształconych przedstawicieli. Po trzecie wreszcie, co może jest mniej oczywiste przy pobieżnej lekturze, zyskujemy możliwość zobaczenia, w jaki sposób dawniej postrzegano zadania i warsztat historyka”.

Szkic o Wernercie w istocie traktuje o specyfice warsztatu XVIII-wiecznego (przedwcześnie zmarłego) dziejopisa, który zgłębiał przeszłość bez potrzeby włączania jej w narrację. Uprawiał historię w sposób nieinstrumentalny? Według Poniaaty był „badaczem-antykwarem, osobą zainteresowaną przeszłością dla niej samej, badającą rzeczy, które w jego oczach są ważne przede wszystkim dlatego, że są stare. Jego twórczość składa się przede wszystkim z przyczynków, dodatków i szczegółowych opracowań źródłoznawczych”.

Niemiecki historyk ustalił fakty dotyczące lokalnej geografii, dziejów religii, administracji, gospodarki, Kościoła ewangelicko-augsburskiego, szkolnictwa, ruchu wydawniczego, literatury, erudycji warstw wykształconych i przedstawicieli innych dziedzin życia społeczno-państwowego, związanych z Elkiem i Mazurami. Mnie zainteresowały informacje o tutejszej Szkole Prowincjonalnej, w której uczono po polsku. Zastanawia skrupulatność, z jaką Werner odnotowywał nazwiska person odpowiedzialnych za funkcjonowanie instytucji i kwoty, które były wydatkowane w związku z ich działalnością. Przejrzystość życia publicznego i jego finansowania nie są wynalazkami naszych czasów.

Zbigniew Chojnowski

Ludewig Reinhold von WERNER, *Historyczne opisanie miasta Elku i jego herbów*,

w przekładzie Andrzeja Szymańskiego, ze wstępem Radosława Poniaaty, pod red. Kazimierza Bogusza

i Jarosława Ławskiego, Białystok–Elk 2022.



Fot. Srećan Ciecchan

Leszek Szaruga

Osiem miliardów

Przyrost naturalny przyspiesza – niby to banał, ale warto o tym pamiętać. Z młodzińskich lat zapamiętałem, jeszcze chyba ze szkoły podstawowej, gdy „wielkie liczby” robiły wrażenie, że mieszkańców naszej planety jest trzy i pół miliarda. Dziś przeczytałem, że niebawem tych miliardów ludzkich istnień ma być osiem.

Czy istnieje, a jeśli tak, to jaka jest dla tej planety, graniczna wielkość przyrostu naturalnego? 10 miliardów, 15? Jeszcze więcej? Zapewne już jakieś symulacje komputerowe są wykonane i skorelowane z innymi danymi dotyczącymi zmian klimatycznych, rozwoju przemysłu czy dynamiki migracji. Nie sposób odrzucić w tym kontekście perspektywy apokaliptycznej, jakiegos armagedonu demograficznego. Choć z drugiej strony patrząc, nie sposób ograniczyć się jedynie do tych danych, które są dzisiaj dostępne. Zapewne znajdą się sposoby załagodzenia skutków tego procesu czy to przez wykrycie nowych, dziś nieprzewidywalnych źródeł energii, czy rozwinięcie utopijnych dzisiaj pomysłów zagospodarowywania przestrzeni skrytych pod powierzchnią oceanów bądź – a czemuż to ograniczać wyobraźnię? – kolonizacji Księżyca czy Marsa. Dlaczego nie? Jeśli pierwszy miliard ludzkość osiągnęła w roku 1804, to na rok 2040 przewiduje się już 9 miliardów – niebawem, zagęszczenie wzrośnie jeszcze bardziej.

Bez wątplenia dynamika przyrostu naturalnego od dawna stanowi przedmiot uwagi nauki i podstawę snucia wizji dość wstrząsających. Wystarczy poczytać publikacje Klubu Rzymskiego. Pędzi to wszystko przerażająco szybko. I nie skłania do optymizmu. Gdy jednak spojrzeć z nieco innej perspektywy, rzecz wydaje się przynajmniej nieco mniej przerażająca: wraz z rosnącym przyrostem naturalnym następuje bowiem wzrost potencjału badawczego ludzkości, zaś przy wzroście skokowym, jak w ciągu ostatnich dwóch stuleci, także skokowo przyrasta liczba odkryć, co oczywiście stwarza nadzieję, że któreś z nich doprowadzi do rozwiązania kryzysu, do jakiego prowadzi obecna dynamika demograficzna.

Jest też oczywistością, że ani kierunku, ani charakteru takiego przełomu – który zresztą może nas oczekiwać w każdej chwili – przewidzieć niepodobna, gdyż nawet poetycka wyobraźnia nie jest w stanie przeniknąć zasłony naszej niewiedzy. Niewiedza jest bowiem obszarem nieogarnionym, zaś złudzenie, że można ten obszar zmniejszyć, jest w najlepszym wypadku naiwnością dziecka. Więcej nawet: ten obszar – wiemy to raczej intuicyjnie – nieustannie się powiększa wraz z relatywnym przy-

rostem naszej wiedzy, przy czym nie ma w tym nic paradoksalnego, a przeciwnie – każdy, kto świadomie poszerzał pole swego poznania, wie, że wraz z pogłębianiem rozpoznania dokonywanych w świecie narasta poczucie, że wraz z nim rozrasta się przestrzeń niewiadomych. Rzecz bowiem w tym, że każde nowe odkrycie uruchamia serię nowych pytań o to, co dalej.

Marzenie o ogarnięciu Całości jest stare jak ludzkość i jest też impulsem działalności badawczej. Jednocześnie jednak każdy, kto w takim procesie uczestniczył, coraz lepiej zdaje sobie sprawę z faktu, że raczej nie osiąga celu, lecz otwiera nowe ścieżki, że jest w środku procesu, którego istoty – wyjąwszy perspektywę teleologiczną – zrozumieć do końca się nie da. Obraz świata zmienia się nieustannie i nie ma żadnego powodu, dla którego zmieniać miałby się przestać, co tyleż jest pesymistyczne, ile optymistyczne. Otwartym zresztą pozostaje pytanie o istnienie tej wyobrażonej Całości... Nasze istnienie w tym procesie ma charakter przygodny, co niekoniecznie musi znaczyć, że przypadkowy – choć dla wielu, może nawet większości, tak właśnie jest – ale też, że jest rodzajem przygody i wyzwania. A tym właśnie jest poznanie.

Otóż z tego punktu widzenia nasza przygoda z istnieniem na tej planecie może być postrzegana zarówno w perspektywie pesymistycznej, a nawet apokaliptycznej, wpisanej zresztą w większość mitów i wyobrażeń, bądź optymistycznej, wyrażającej przekonanie o sprawczej i ocalającej ciągłości naszego bytowania mocy poznawczej człowieka. Myślę zatem, że to, co od dawna budzi przerażenie, a więc dynamika wzrostu demograficznego, można potraktować jako szansę wydobywania się z pułapki, w jakiej się znaleźliśmy za sprawą opanowywania planety przez nasz gatunek. Czynienia sobie ziemi poddanej nie należy chyba rozumieć wyłącznie jako zachęty do, jak to się potocznie pojmuję, zawładnięcia nią, lecz także jako zadanie troszczenia się o jej dobrostan. Być może zatem, paradoksalnie, wzrost demograficzny, a zatem i wzrost potencjału poznawczego, stanowi szansę na przezwyciężenie obecnego kryzysu, co nie znaczy, że rozwiązanie doraźnych problemów nie przyczyni się do powstania nowych, jeszcze trudniejszych. Można nawet z wielkim prawdopodobieństwem prognozować, że lekko i w przyszłości nie będzie, co oznacza konieczność wzmocnienia wysiłków edukacyjnych pozwalających na przygotowanie do konfrontacji z nowymi, nieznаныmi nam kryzysami. A i obecny da się, jeśli to możliwe, opanować wyłącznie poprzez daleko idące reformy szkolnictwa na każdym poziomie.



Zespół Pieśni i Tańca Uniwersytetu
Warszawskiego „Warszawianka”

50 lat



Fotografie UW



Politechnika
Wroclawska



Europejska Nagroda Naukowa im. Stanisława Lema

Stanisław Lem European Research Prize (Lem Prize)

Lem Prize została ufundowana, aby upamiętnić 100. rocznicę urodzin wybitnego polskiego pisarza i wizjonera, Stanisława Lema, wyróżnionego tytułem doktora *honoris causa* Politechniki Wrocławskiej w 1981 roku. Nagroda jest adresowana do młodych naukowców (poniżej 40. roku życia). Promuje odkrycia, które odznaczają się kreatywnością, interdyscyplinarnością i wizjonerstwem, zawierając przy tym istotny element technologiczny. Wysokość nagrody to 100 000 złotych.

Jury

Nagrodę przyznaje międzynarodowa kapituła, której przewodniczącym jest prof. Reimund Neugebauer, prezes Towarzystwa Fraunhofera.

Terminy

Na aplikacje kandydatek i kandydatów czekamy do 30 września 2022 r.

Zwycięzca zostanie ogłoszony 15 listopada podczas Święta Politechniki Wrocławskiej.

Więcej informacji: lemprize.pwr.edu.pl

Kontakt: lemprize@pwr.edu.pl +48 71 320 22 68

#LemPrize